

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA



Jak **ELON
MUSK**
pokochał
TRUMPA ▶20



**WYSOKIE
OBCASY**
Katarzyna Górna:
Stworzyłam Wenus
na swój wzór

FOT. LEON NEAL/POOL VIA REUTERS



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Wakacje z HAŁASEM

▶ 4-6

FOT. AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



Ostatnie takie igrzyska
Jak blisko jesteśmy granicy
wytrzymałości ludzkiego
ciała ▶12

**Wybory Ducha
Świętego**
Jak abp Jędraszewski
Franciszka oczarował ▶22

**Historia
niebieskiego**
Jak wygląda niebo
tych, których stać ▶37

Traumy Romów
Skazani
na zagładę
i osiedlenie ▶44

Agnieszka
KublikZawieś Babiara, nożyce
się odezwą. Fałszywie

Sytuacja, w której Duda, Kaczyński, Szydło, Świrski czy Czabański, walczą z cenzurą i o dziennikarską niezależność jest nieznośnie irytująca. Nie torturujcie już nas tym fałszywym przywiązaniem do konstytucji. Za długo ją szarpaliście, by wam uwierzyć.

Prezydent Polski, lider opozycji, byli premierzy rzucili się na wyprzódki, by komentować zawieszenie sportowego sprawozdawcy za polityczny komentarz o „Imagine” Johna Lennona.

TVP nie tylko popełniła błąd, zawieszając Przemysława Babiara, ale i fatalnie rozegrała to komunikacyjnie. Bo zamilkła. Czym sprawiła ludziom PiS prezent – pretekst do napaści.

Kaczyński: „To skandal i dowód na to, że po prostu zniesiono w Polsce wolność słowa, a TVP jest właśnie takim miejscem, gdzie tej wolności w sposób radykalny nie ma”.

Duda: „U nas zapanowała jakaś nowość, że jednak nie wolno przedstawiać swojego punktu widzenia”.

Morawiecki: „Wasze czyny będą zapamiętane, a cenzura polegnie”.

Szydło: „Babiarz po prostu powiedział prawdę – no ale mówienie prawdy faktycznie się nie mieści w standardach zagarniętej przez ludzi Tuska TVP. Takie potraktowanie red. Babiara pokazuje ideologiczne opętanie tej ekipy”.

Gdy po zwycięstwie PiS poseł opozycji zapytał, ilu dziennikarzy TVP i Polskiego Radia zostanie zwolnionych, Beata Kempa, szefowa kancelarii premiera rzuciła: Wszyscy!

Maciej Świrski, szef KRRiT: „Nakazałem wszczęcie postępowania wyjaśniającego w sprawie zawieszenia red. Przemysława Babiara pod kątem sprawdzenia czy nie naruszone zostało prawo do wolności wypowiedzi dziennikarza”.

I kto to mówi?! Ludzie, którzy w przejętych mediach publicznych kreowali własną rzeczywistość za naszą kasę, by utrzymać się jak najdłużej u władzy. Była cenzura, propaganda, nagonki. Gdy na początku 2016 r. w sejmie poseł opozycji zapytał, ilu dziennikarzy TVP i Polskiego Radia zostanie zwolnionych, Beata Kempa, szefowa kancelarii premiera rzuciła: „Wszyscy!”.

I tak było. W TVP odbyły się bezprecedensowe czystki – zwalniali nie tylko dziennikarzy i wydawców, ale też prezenterów, nawet operatorów. Na miejsce zwalnianych Jacek Kurski ściągał ludzi m.in. z TV Trwam i TV Republika, mediów braci Karnowskich i „Gazety Polskiej” Tomasza Sakiewicza.

Babiarz, który witał na Woronicza nowego szefa, nie protestował. A Duda, Morawiecki, Szydło byli zachwyceni. Bo Kurski wprowadzał wizję Kaczyńskiego, że „w Polsce za pomocą telewizji można wykreować obraz, jaki się chce, bo społeczeństwo nie analizuje tego, co tam widzi, tylko przyjmuje jako prawdziwe”.

Na to wszystko państwo – czyli my, niezależnie od politycznych sympatii –łożyło gigantyczne pieniądze. Dopiero teraz prezydent Duda zablokował to Bizancjum. Przypadkiem wtedy, gdy bliską mu partię wymieciono z Woronicza i placu Powstańców.

Jeśli jest jakaś korzyść ze sprawy Babiara, to taka, że PiS nie chcący pokazał się jako największy picer w kraju. ●

Andrzej rysuje



Pretoria

Charley przechodzi na emeryturę



FOT. REUTERS/ALET PRETORIUS

43 letni Charley, ostatni słoń w zoo w Pretorii żegna się ze swoim wybiegiem. Zamieszkał tu 23 lata temu, kiedy szczęśliwie skończyła się jego kariera cyrkowa. Wkrótce zostanie przewieziony do prywatnego rezerwatu przyrody na północ od stolicy RPA. 31 lipca 2024 r.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Kod dostępu
do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco
przez cały weekend ***

87FR5M1

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 3-4.08.2024 r.

Liczba dnia

100

MINUT TYGODNIOWO
aktywności fizycznej
o umiarkowanej intensywności wystarcza, aby
obniżyć ryzyko wystąpienia depresji

Superbroń Kamali Harris
Mamala i pasierbica

Szanse Kamali Harris analizowane są na wszystkie strony. Póki co najbardziej widocznym efektem jej pojawienia się na scenie jest znaczący wzrost poparcia wśród najmłodszych wyborców, od 18 do 34 lat. W tej grupie ma nad Donaldem Trumpem przewagę aż 20 punktów procentowych. A to młodzi odegrali kluczową rolę w zwycięstwie Bidena cztery lata temu, ale w ostatnim czasie wycofali poparcie dla urzędującego prezydenta.

Na łamach „Independent” publicystka Katie Rosseinsky pisze, że wkrótce Kamala Harris może zdobyć jeszcze większą popularność wśród millenialsów oraz zetek, a to za sprawą swojej 25-letniej pasierbicy Elli Emhoff. Rodzina Harris wkroczyła do kampanii za sprawą J.D. Vance’a, ultrakonserwatysty, którego Donald Trump wskazał jako potencjalnego wiceprezydenta. Media wyciągnęły Vance’owi słowa sprzed trzech lat, kiedy to wytknął kilku politykom amerykańskiej lewicy – w tym Harris – że nie mają dzieci, nazywając ich „bezdzielnymi kocieciami”. Sęk w tym, że Kamala od lat wychowuje z mężem dwójkę jego dzieci. Pasierbica Kamali Elle odpowiedziała na Instagramie: „Jak można być bezdzietną, mając dwójkę takich słodziaków, jak Cole i ja?”. ●



FOT. JEFF KRAVITZ/FILMMAGIC

Zarówno dzieci Emhoffa, jak i sama Kamala nie byli fanami określenia „macocha” („stepmom”), więc wspólnie ukuli dla Harris słowo „Momala”.

Dziennikarka „Independent” pisze, że Ella może być prawdziwą wunderwaffe kandydatki do Białego Domu. Urodzona w 1999 r. ma imię na cześć Elli Fitzgerald, i jest dość kolorowa jak na dziecko polityków. Już jej pierwsze publiczne pojawienie się podczas zaprzysiężenia Joe Bidena wywołało falę komentarzy, bo wystąpiła w ekscentrycznym płaszczu Miu Miu – skończyła prestiżową nowojorską szkołę sztuk pięknych Parsons School of Design. Wspiera zbiórki na rzecz czarnych osób transpłciowych czy pomoc humanitarną dla ofiar w Strefie Gazy.

Drew Barrymore w kwietniu tego roku w swoim talk show powiedziała do Harris: „Potrzebujemy, żebyś została Momalą tego kraju”. ●

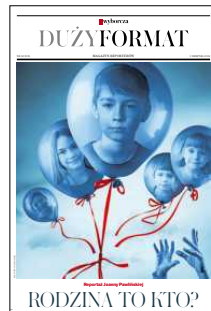
Natalia Waloch

W poniedziałek w „Dużym Formacie”

Więzy krwi. Historia
o szukaniu tożsamości

Miał marzenie, żeby wszystkie jego siostry i bracia usiedli razem przy wspólnym stole. Kiedy ich poznał, zrozumiał, że to się nie uda. Miał 13 sióstr i braci

Joanna Pawlińska



Bilans pół roku Tuska

„Bo przyjdzie zły PiS” już nie wystarczy

Przed premierem stoi poważne wyzwanie: musi stworzyć nową opowieść, atrakcyjną dla wyborców.

Kaczyński taką miał.

Wielowieyska



Rząd Tuska rządzi ponad pół roku. Wyborcy Koalicji 15 Października mogą odczuwać niepokój. Ostatnimi czasami nagromadziło się sporo konfliktów i różnic zdań w obozie rządowym.

Lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz prowadzi kampanię pod hasłem: „Jestem asertywny, przeciwstawiam się dominacji Tuska”. Jest naciskany przez aparat PSL, by skuteczniej zabiegał o interesy swojego ugrupowania. Jednocześnie stara się zagospodarować konserwatywny elektorat anty-PiS, bo wystraszył się słabego wyniku ludowców w wyborach europejskich. Tymczasem posłanki Lewicy burzą się, bo PSL blokuje realizację ich obietnic w sprawie aborcji i związków partnerskich.

Można domniemywać, że blokowanie niektórych ustaw przez PSL przyczyni się do osłabienia Polski 2050. Jej zwolennicy w większości popierają np. związki partnerskie, są bardziej liberalni od elektoratu PSL. Teraz wyborcy centrowi, którzy głosowali na Trzecią Drogą, mogą sobie pluć w brodę, bo tym samym wzmocnili konserwatystów w Sejmie. Te głosy już popłynęły i popłyną w przyszłości albo do Koalicji Obywatelskiej, albo do Lewicy. Ludowcy więc myślą chyba o rozstaniu z Hołownią, bo grają tylko na siebie.

Koalicja rządząca nie jest w stanie ruszyć do przodu. Bo nie tylko w tych dwóch sprawach rządzący nie mogą się dogadać.

Bardzo ważna jest zmiana dotycząca składki zdrowotnej. To właśnie Polski Ład Morawieckiego, który zmienił zasady jej naliczania, sprawił, że sporo obywateli, niezbyt zainteresowanych wyborami, nagle się ocknęło, że polityka ma jednak wpływ także na ich życie. Byli wściekli, że ich obciążenia skokowo wzrosły. Oczekują, że Tusk coś w tym zrobi. Póki co nie ma jednak porozumienia wewnątrz ekipy rządzącej, jak te zmiany mają wyglądać.

Dorzućmy do tego długą listę niezrealizowanych obietnic KO z katalogu 100 konkretów w 100 dni. To przykłady tylko ze sfery gospodarki.

- Kwota wolna 60 tys. zł;
- zasiłek chorobowy od pierwszego dnia nieobecności pracownika będzie płacił ZUS;
- zniesienie podatku od zysków kapitałowych (podatek Belki) dla oszczędności i inwestycji w tym także na GPW (do 100 tys. zł, powyżej 1 roku);
- 0 proc. VAT na transport publiczny, aby obniżyć ceny biletów dla Polaków;
- 600 zł dopłaty na wynajem mieszkania dla młodych.

Od początku było wiadomo, że realizacja wszystkich postulatów nie jest możliwa. Według szacunków Money.pl i Forum Obywatelskiego Rozwoju, think tanku Leszka Bałcerowicza, koszt obietnic wyborczych KO to 120,3 mld zł. Niemniej część wyborców może się poczuć rozgoryczona.

Nagłówki w portalach internetowych, nawiązujące do sporów i zamieszania w rządzie, mnożą się jak króliki, a do tego prokuratura poniosła klęskę w sprawie aresztu dla byłego wiceministra sprawiedliwości Marcina Romanowskiego, bo sąd pierwszej instancji uznał, iż chroni go immunitet członka Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy.

Pamięć społeczna jest krótka. Ludzie żyją tym, co wydarzyło się w ostatnim miesiącu. A wydarzyły się rzeczy psujące wizerunek koalicji rządzącej. Za mgłą niepamięci już jest to, że PiS odebrano TVP i prokuraturę, że uchwalono finansowanie in vitro i podwyżki dla nauczycieli. Że udało się odblokować pieniądze z Unii Europejskiej, przede wszystkim Krajowy Plan Odbudowy. Że skończyły się represje wobec sędziów. Że zatrzymano rozkradanie publicznych pieniędzy, które w końcówce rządów PiS przybrało zastraszające rozmiary. Że polska odzyskała swoją pozycję w świecie, zakończyliśmy bezsensowne wojenki z naszymi sojusznikami. To naprawdę niemały dorobek.

A przecież jeszcze zostały powołane komisje śledcze do zbadania afer PiS. Choć tu akurat koalicja rządząca nie odniosła spektakularnych sukcesów. Generalnie komisje potwierdziły już to, co wiedzieliśmy wcześniej, a przesłuchania ludzi Kaczyńskiego nie wyglądały spektakularnie. Za mało było błyskotliwych ripost i wnikliwych pytań. Przeważały ideowe akty strzeliste i szarpanina, która nie miała większego znaczenia. Toczą się jednak prokuratorskie śledztwa w sprawie nadużyć za czasów PiS, i ważne jest to, że w przypadku afery Funduszu Sprawiedliwości sąd zgadzał się na areszty dla innych głównych bohaterów tej historii. To oznacza, że choć na efekty tych działań przyjdzie jeszcze poczekać, zarzuty są dobrze udokumentowane.

Duże emocje wzbudził przed wyborami europejskimi spektakl przygotowany przez Romana Giertycha z Tomaszem Mrazem w roli głównej. Skala patologii w Funduszu Sprawiedliwości robiła wrażenie. Ale już kolejna odsłona z udziałem Arkadiusza Cichockiego nie była tak emocjonująca. Cichocki, niegdyś członek grupy hejterskiego w ministerstwie sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry, w dużej mierze opowiadał to, co już wiedzieliśmy. Media pisały o tym przy okazji ucieczki na Białoruś Tomasza Szmydta, innego zioobrowego pseudosędzi.

Giertych z pomocą Cichockiego próbował wrócić na dawne tory demaskatora afer PiS i odbudować swoją pozycję po tym, jak sprawa głosowania w sprawie aborcji zepchnęła go na margines KO. Ale rewelacji nie było, emocjonować tym mogli się tylko ci,

którzy nie pamiętali artykułów sprzed kilku tygodni.

Mimo to nie widzę zagrożenia dla Koalicji 15 Października, bo choć boryka się z wieloma problemami, to głównym spoiwem dla niej jest... Jarosław Kaczyński. Dopóki będzie stał na czele PiS, rozpadu sojuszu rządzącego nie będzie. Dla każdej partii jest jasne, że jeśli przyłoży rękę do powrotu Kaczyńskiego do władzy, to wyda na siebie wyrok politycznej śmierci.

Oczywiście PiS kokietuje PSL. Kosiniak-Kamysz może twardo stawiać postulaty Tuskowi, ale wie, że alians z Kaczyńskim skończy się dla niego tak, jak za „pierwszego PiS” 20 lat temu skończył się dla LPR i Samoobrony. Kaczyński od dawna starał się zniszczyć ludowców i przejście na stronę obecnej opozycji mogłoby być dla nich opłacalne, gdyby przestałby być liderem PiS. A na to się nie zanoś, przeciwnie, jego pozycja jest bardzo silna.

80-lecie Powstania Warszawskiego zaplanowano z rozmachem, ale dobrze byłoby świętować również zwycięstwa. Zdumiewa, że 20-lecie Polski w Unii i 35-lecie wyborów 4 czerwca minęły bez ogólnopolskich obchodów, koncertów, radosnych parad

Niemniej idea antyPiS i wspólny przeciwnik to za mało, by zabezpieczyć się przed utratą poparcia. KO umacnia w sondażach przewagę nad PiS, ale to nie powinno usypiać czujności Tuska. Wiele wydarzeń znajduje odbicie w sondażach z kilkumiesięcznym opóźnieniem.

Przed premierem stoi poważne wyzwanie: musi stworzyć nową opowieść, atrakcyjną dla wyborców. PiS taką opowieść kreował. Była w dużej mierze negatywna i destrukcyjna, sprowadzała się do hasła „pogonić elity”, skłócania z UE i ograniczania rolę demokratycznych instytucji na rzecz centralnej władzy o cechach autorytarnych – ale miała też elementy pozytywne, jak np. CPK, który poprzedni rząd rozreklamował z wielkim rozmachem tak, że projekt zapisał się w świadomości Polaków jako symbol naszych aspiracji do bycia znaczącym państwem w Europie.

Tusk, mając dobry słuch społeczny, projekt CPK realizuje, dokonał tylko niezbędnej korekty. To jednak nadal jest projekt PiS. A Koalicja 15 Października potrzebuje swojej agendy, która wywoła pozytywne emocje, dumę z naszego kraju, wskaże cel i, jak to się mówi, mapę drogową. Póki co tej opowieści nie ma. A bez niej polską politykę zdominują spory wewnątrz koalicji.

Kiedyś taką rolę odgrywało Euro 2012. Byliśmy gospodarzami mistrzostw Europy, oznaczało to mobilizację, inwestycje, przygotowania, by jak najlepiej ugościć kibiców i wiarę w to, że pokażemy się od najlepszej strony. Tusk zawsze doceniał związki emocji sportowych z polityką, o czym wspominał w książce „Wybór”, napisanej wspólnie z Anne Applebaum. Teraz nie wiadać po stronie KO burzy mózgów w sprawie jakiejś „wielkiej narracji”. Słychać tylko, że o ile w czasie kampanii wyborczej największe ugrupowanie ówczesnej opozycji korzystało z banku pomysłów szerokiego grona doradców, tak dziś Tusk ograniczył konsultacje i grono interlokutorów do minimum.

Może zdumiewać, że takie rocznice jak 20-lecie Polski w Unii Europejskiej czy 35-lecie wyborów 4 czerwca, które zapoczątkowały III RP, przeszły bez echa. Już z większym rozmachem zaplanowano obchody 80-lecia Powstania Warszawskiego. I bardzo dobrze, trzeba oddać cześć bohaterom – warto jednak tak samo świętować zwycięstwa, a nie tylko klęski. Wydawało się, że obecna koalicja jest tego świadoma. Można było z pomocą samorządów zorganizować ogólnopolskie obchody, koncerty, spotkania, radosne parady.

Bądź co bądź jednym z efektów ostatnich wyborców samorządowych jest to, że KO nie tylko utrzymała władzę w największych miastach, ale jeszcze poszerzyła wpływy w miastach średnich. A tu nic. Cisza. Był tylko miejsce zryw ad hoc w postaci partyjnego wiecu Koalicji Obywatelskiej. To za mało.

Symptomatyczne było rozgoryczenie byłego marszałka Senatu Tomasza Grodzkiego, który narzekał, że media w ogóle nie odnotowały uroczystości 35-lecia istnienia Senatu III RP. Prywatnie z odczuciami senatora Grodzkiego się solidaryzuję z powodów rodzinnych. Jedną z postaci biorących udział w tych uroczystościach był mój ojciec, który budował tę izbę od zera i miał bardzo ciekawe wspominkowe przemówienie. Tyle tylko, że obrażanie się na media, iż nie chcą odnotowywać oficjałek, jest bez sensu. Na organizację tego typu uroczystości trzeba mieć ciekawy pomysł, który przyciągnie uwagę opinii publicznej. Tak jak w przypadku rocznicy Powstania Warszawskiego.

A baza do budowania nowej opowieści jest niezła: w ostatnim rankingu popularności polityków, przygotowanym przez IBRiS, dominują Rafał Trzaskowski i Tusk, który dziś ma wyjątkowo silną pozycję międzynarodową. Prezydent Andrzej Duda spadł na trzecią pozycję. Potrzebne są tylko dobre pomysły. Potrzebna jest nowa opowieść o celach i planach tej koalicji, która zjednoczy na nowo rządzące partie, zdominuje przekaz dotyczący Koalicji 15 Października i da Polakom poczucie, że naprawdę rozpoczął się nowy, dobry rozdział w historii Polski. ●

Dominika Wielowieyska

ZRÓBMY *hałas* DLA *CISZY*

1 Zaśmiecamy wspólną przestrzeń hałasem, bo nie widzimy w tym nic szkodliwego. Jak kiedyś w dymie papierosowym wydmuchiwanym w twarz niepalącym

– Nienawidzę hałasu. Napisz o tym – powiedział kolega. O czym konkretnie? O jego sąsiadach na działce, którzy ostatnio głośno puścili muzykę czy o tym, jak kolega poszedł na koncert Metalliki, zespołu nazywanego najgłośniejszym na świecie?

O tym, że ludzie puszczały muzykę na plaży. Nie mogą założyć słuchawek?

Widocznie nie mogą. Uważają, że pięknie jest postawić głośnik przy parawanie albo iść na Kasprowy Wierch z głośnikiem w plecaku. Takie osoby spotkał ostatnio na szlaku.

Zaśmiecamy wspólną przestrzeń hałasem, bo nie widzimy w tym nic szkodliwego. Jak kiedyś w dymie papierosowym wydmuchiwanym w twarz niepalącym.

Zresztą, właśnie z biernym paleniem eksperci od zdrowia porównują narażenie na hałas. Podnosi ciśnienie, zwiększa ryzyko zawału serca, udaru mózgu, wywołuje stres, zmęczenie, problemy z koncentracją. Powoduje niepokój, rozdrażnienie, agresję. Nie dość, że rośnie nam ciśnienie, to rośnie w nas gotowość do ataku na sprawcę hałasu.

W 1905 r. Robert Koch bakteriolog, laureat Nagrody Nobla napisał: „Nadejdzie dzień, w którym człowiek będzie musiał walczyć z hałasem tak nieustępliwie jak z cholerą i dżumą”. Wizjoner. Nie przewidział jednak, że nie zawsze możliwe będzie ustalenie, czym jest hałas.

Co gorsze: Kap, kap, kap czy sportowy wydech nad ranem

– Hałas jest pojęciem bardzo subiektywnym, nie każdy dźwięk musi być postrzegany przez każdą osobę jako hałas. Przykładowo: dźwięk sportowego samochodu. Dla jednych to hałas, dla innych coś przyjemnego. Kąpiąca woda z kranu w ciągu dnia nie będzie przez nas zauważana, ale w nocy uznamy ten dźwięk za głośny i irytujący.

My, akustycy, definiujemy więc hałas jako dźwięk, który przeszkadza danej osobie w danej chwili – mówi prof. Roman Gołębiowski, fizyk i akustyk z Katedry Akustyki Wydziału Fizyki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

W ocenie, czym jest hałas często chodzi więc o emocje, a nie zawsze o decybele. – Gdy idziemy na koncert oczekujemy, że poziom głośności będzie wysoki – zauważa prof. Gołębiowski. Sam lubi chodzić na koncerty. Mniej lubią koncerty mieszkańców okolic stadionów czy klubów. Kto ma ogród, nie

lubi jadać obiadu przy dźwiękach kosiarki sąsiada. My sami, oczywiście, wiemy, kiedy jest najlepszy dzień i właściwa pora na strzyżenie trawnika.

Są dźwięki, które większość z nas określi jako hałas. Np. ryk silnika pod oknami. Naukowcy niedawno zbadali, jakie cechy osobowości łączą się z upodobaniem do jazdy z przerobionym tłumikiem.

– Spaceruję na uniwersytet z domu i regularnie jestem zaskakiwana przez głośne samochody ze zmodyfikowanymi tłumikami, które odstraszają mnie, innych pieszych, kierowców i zwierzęta w okolicy – tak prof. Julie Aitken Schermer, psycholożka z The University of Western Ontario tłumaczy, skąd pomysł na badanie.

Jego wyniki pokazują, dlaczego często mamy problem ze zwróceniem uwagi osobom, które przychodzą z głośnikami na plażę lub puszczały głośno muzykę na działce.

Psychopatę poznasz po tłumiku?

– Byłam naprawdę ciekawa, kto chce prowadzić tego typu samochody, zwłaszcza że te modyfikacje są nielegalne – wyjaśnia psycholożka. Jej badanie opublikowane w czasopiśmie „Current issues in personality psychology” łączy ryk silnika z byciem mężczyzną. A także z osiągnięciem „wyższych wyników na skali psychopatii i sadyzmu”. Chodzi o mniejszy poziom empatii, egoizm i instrumentalne traktowanie innych.

Jak tłumaczy autorka badania osoby, które lubią głośne samochody, cechuje bezduszne lekceważenie innych oraz czerpanie przyjemności z denerwowania ludzi.

Instynkt każe nam unikać konfrontacji z takimi osobami. Może z góry wiemy, że nasze skargi nie przyniosą skutku. Puszczanie głośno muzyki też jasno dowodzi, że nie dba się o samopoczucie innych ludzi. Choć pewnie są i takie osoby, które naprawdę myślą, że czynią dobro, puszczając na plaży hit disco polo.

Robią hałas samochodem, bo jadą do ciszy

Głośna muzyka na plaży to chwilowy stres. Zawsze możemy próbować znaleźć cichsze miejsce. Inaczej jest, jeśli w mieszkaniu czy pracy jesteśmy narażenie na przewlekły hałas, a ucieczka wydaje się niemożliwa. To może powodować uczucie zmęczenia, rozdrażnienie, problemy ze skupieniem się. Możemy nawet nie łączyć tego wyczerpania z hałasem.

W mieście stałym, denerwującym tłem mogą być samochody. Mogą, bo nie wszędzie hałas jest jednakowy.

Paradoksalnie w centrum miast może być dziś o wiele ciszej niż na osiedlach peryferyjnych.

– Wprowadzenie stref z maksymalną prędkością 30 km/godz. realnie zmniejsza hałas w okolicy – mówi prof. Gołębiowski.

Na trasach prowadzących do miast ruch w dużej mierze robią ci, którzy wyprowadzili się, żeby uciec od hałasu. Mają ogrody, domy, garaże i auta, którymi nieustannie jeżdżą do miasta i z powrotem. Jeżdżą pod oknami tych, którzy w mieście zostali. Mu-

Nasza ulubiona piosenka puszczone przy otwartym oknie samochodu to nie hałas, nasz pies, który szczeka na balkonie, to nie hałas

szą znosić hałas samochodowy, choć często sami samochodu nie mają.

Hałas mierzy się w miastach jak smog. Wiemy, że lepiej, gdy poziom zanieczyszczenia jest niski, ale gdy jest wysoki, niewiele możemy poradzić. Im więcej hałasu wokół nas, tym więcej jest przepisów, norm i wymagań, które mają spełniać inwestorzy i wykonawcy dróg, lotnisk czy budynków.



FOT. TATIANA KOLESNIKOVA/GETTY IMAGES

Prof. Gołębiewski nadzoruje kierunek studiów, które w nazwie mają ochronę przed hałasem. To dziś osobna, ważna branża. – Inwestorzy muszą udowodnić, że ich działania nie wpłyną negatywnie na środowisko, także pod względem hałasu. Mogą stawiać ekrany akustyczne wzdłuż dróg, używać cichych nawierzchni drogowych czy ograniczyć dopuszczalną prędkość dla samochodów – wymienia akustyk.

Jakich dźwięków najbardziej nie lubimy?

– Tych o wysokich częstotliwościach, czasem takie dźwięki generują tramwaje na krzyżowni torów. Dźwięk karetki też bywa postrzegany jako dokuczliwy, ale co ciekawe, nie zawsze. Jeśli identyfikujemy ten dźwięk z pomocą niesioną ludziami, nie uznajemy tego sygnału za drażniący.

Do hałasu można się przyzwyczaić, znam osoby, które mieszkają pod korytarzem powietrznym w po-

blizu lotniska i już nie narzekają na odgłos samolotów – opowiada prof. Gołębiewski.

Czy cisza to luksus?

Jesteśmy podatni na dźwięki jak na zapach czy dotyk. Korzystają z tego sklepy. Przy muzyce klasycznej łatwiej akceptujemy wysokie ceny, bo kojarzy się z luksusem.

Przy szybkich dźwiękach kupujemy impulsywnie. – W czasie wyprzedaży, przy dużej liczbie osób w centrum handlowym, muzyka może pomóc sterować przepływem ludzi. Jeśli nadawcy muzyki zależy na zwiększeniu przepływu klientów, w tle usłyszymy dynamiczną muzykę z mocno zaznaczonym pulsem. Wtedy klienci mimowolnie będą synchronizować swoje procesy fizjologiczne, jak praca serca i oddech, z „akustyczną tapetą”. Tempo muzyki przełoży się na tempo poruszania się odbiorcy.

Jeśli nadawca uzna, że mimo gorączkowych zakupów, mamy mieć dobry nastrój, będzie wybierał np. utwory w tonacjach durowych – mówi dr hab. Sylwia Makomaska, muzykolożka.

Niektórzy właśnie z powodu muzyki, czyli nieustającego hałasu, omijają centra handlowe. Skoro tak trudno uciec od samochodów, niechcianej muzyki, kosiarki, budowy drogi, cisza wydaje się trudno dostępna.

Czy jest luksusem? – Tak, w potocznym w rozumieniu tego słowa. Luksus jest jednym z najczęściej nadużywanych pojęć. Tam, gdzie należałoby raczej użyć słów „komfort” czy „dogodność” mówi się „luksus”. Na pewno jednak zaśmiecanie przestrzeni hałasem jest przeciwieństwem luksusu – mówi Justyna Adamczyk, ekspertka luksusu, która doradza międzynarodowym koncertom, polskim markom oraz funduszom inwestycyjnym.



1 RF

Obrzydliwość

Barbara Nowak: „Znicz olimpijski w rękach drag queen to była tylko zapowiedź coming outu Francji. Najstarsza córa Kościoła wybrała piekło czyli zagładę.



Michał Rusinek

M ało która inauguracja igrzysk olimpijskich wywołała taką falę wściekłych komentarzy, jak paryska. Jakby zapomniano, że ich idea polegała na tym, by na czas igrzysk wszelkie wojny zostały zawieszone. Tegoroczna inauguracja wywołała wojnę.

Prawicowi komentatorzy najczęściej posługiwali się przymiotnikiem „obrzydliwe”: „Pierwsze igrzyska będące wprost wyrazem nie ducha klasycznego, ale obrzydliwego nawet dla Greków starożytnych festiwalu hedonizmu, libertynizmu i afirmacji nieograniczonej rozwiązłości. Pogański kraj złożył pogański pokłon swoim złotym cielcom”. Skąd komentator wie, że starożytni Grecy byłiby zde gustowani – trudno dociec. Na wyżyny słowotwórstwa wzniosła się TV Republika umieszczając na pasku zdanie: „Komunistyczno-trans-queerowa prowokacja na olimpiadzie”.

Marianna Schreiber, nasza arbitra elegantiarum, napisała na platformie X: „Syf, bezguście, cringe, dewiacja, obleśność. Znacicie jakieś inne określenia na ten paryski cyrk? Rzyg”. W podobnym tonie wypowiedziała się europosłanka Konfederacji, Ewa Zajączkowska-Hernik: „Promocja dewiacji, zboczenia i pedofilii, doprawiona profanacją fantastycznego religijnego dzieła Leonarda da Vinci. Boże, miej w opiece Francję!”. Największe wzburzenie komentatorów i komentatorek wywołał bowiem performance, na którym queerowe osoby ustawiły się podobnie do postaci na obrazie „Ostatnia Wieczerza”. Odezwali się przedstawiciele duchowieństwa: „Dno, kretynizm, chrystianofobia, głupota, brak tolerancji, szacunku, w końcu wyrzuty sumienia i zagłuszanie prawdy, że promowana ideologia drag queen to pustka i ucieczka od prawdy. Krótkowzroczność – za rogiem idzie islam” (ks. Daniel Wachowiak), „Demon nie jest kreatywny. Stać go tylko na papugowanie i szyderstwo ze świętości” (ks. Janusz Chyla). Redakcja „Tysolu” opisała inkryminowaną inscenizację następująco: „W inscenizacji wzięli udział między innymi brodaty mężczyzna w kobiecym przebraniu, wyzywająco przebrane dziecko i kobieta z nadwagą w swego rodzaju tiarze na głowie, mającej przypominać aurołę, w centralnej części stołu”. Wszystko, co najgorsze. I jeszcze ta nadwaga! Zaiste, obrzydliwość.

Miała szczęście brazylijska grupa Porta dos Fundos, że polscy komentatorzy nie widzieli jej filmu „Ostatni kac”. Miał szczęście Mel Brooks, że uszedł ich uwadze film „Historia świata. Część pierwsza” i zawarta w nim parodia „Ostatniej Wieczerzy” (z wysoce niestosownym pytaniem, kto za nią zapłaci). Mieli podobne szczęście twórcy seriali „South Park” i „Simpsonowie” czy „Billions” i „Rzykanci” oraz niezliczeni artyści różnych gatunków, którzy dokonywali trawestacji (nie „papugowania”) dzieła Leonarda da Vinci.

Warto przypomnieć, że dzieło to nie jest fotografią biblijnego wydarzenia, ale wizją artysty i służy jako inspiracja innym twór-

com. Nie jest symbolem religijnym – jak krzyż czy półksiężyc – ale tekstem kultury. Na pewno bardziej znanym niż obraz „Le Festin des Dieux” Jana van Bijlerta, przedstawiający stół, za którym siedzi – pośrodku – koronowany Apollo, a przed nim tańczy Bachus. To prawdopodobnie raczej ten obraz był inspiracją do inscenizacji.

W niektórych komentarzach pojawił się nawet delikatny żal, że chrześcijanie nie są zdolni do takich reakcji na bluźnierstwo, jak fundamentaliści islamscy. Tego nie jestem pewien. Jestem za to pewien, że żaden fundamentalista, bez względu na swój religijny fundament, nie są zdolni do posługiwania się alegorezą, czyli niedosłownym interpretowaniem tekstów kultury. Wszystko rozumieją dosłownie, więc wszędzie też widzą bluźnierstwo, nawet jeśli to jest twórcza trawestacja i intertekstualność. Warto dodać, że po kilku godzinach od ceremonii polscy komentatorzy na portalu X odnotowali z pewną satysfakcją – że jej reżyserem był Żyd.

Igrzyska miały na szczęście swojego bohatera-Polaka. Nie był nim Jakub Józef Orliński (nazywany przez komentatorów TVP tenorem, choć to – wprost przeciwnie – kontratenor), który przepięknie zaśpiewał arie z opery Rameau, ale Przemysław Babiara, dziennikarz sportowy, który wcielił się w rolę subtelny interpretatora tekstu piosenki Johna Lennona „Imagine”, wykonanej przez Juliette Armanet. Skomentował on ów tekst następująco: „Świat bez nieba, narodów, religii i to jest wizja tego pokoju, który wszystkich ma ogarnąć. To jest wizja komunizmu, niestety”. W czasie inauguracji igrzysk olimpijskich w Pekinie podobnie wyraził się o tej piosence: „To z jednej strony apel o pokój równość i braterstwo dla całej ludzkości, utopijna wizja świata, ale trzeba dostrzec, że kompozycja zawiera stanowczy i kontrowersyjny przekaz o komunistycznym, anarchistycznym, antyreligijnym barbarwieniu”.

Owszem, sam Lennon nie ukrywał, że kilka tez zawartych w jego tekście jest zbieżnych z tezami „Manifestu komunistycznego”, ale podkreślał, że nie uważa się za komunistę. W wywiadzie udzielonym Davidowi Scheffowi powiedział, że bezpośrednią inspiracją do napisania tej piosenki był modlitewnik, który podarował mu amerykański pisarz, komik i aktywista Dick Gregory. Tam znalazł „ideę pozytywnie modlitwy”: „Jeśli potrafimy wyobrazić sobie świat bez wojen, bez wyznań religijnych – nie bez religii, ale bez takiego podejścia, że mój Bóg jest lepszy od twojego Boga – taki świat staje się możliwy” – mówił Lennon. Co to za modlitewnik? Nie wiadomo. Ale jeśli ktoś z Państwa chciałby znaleźć w Biblii podobnie „komunistyczne” idee, odsyłam do profilu fejsbukowego Błażeja Strzelczyka, dziennikarza (do niedawna „Tygodnika Powszechnego”) i pisarza. Sporo ich zebrał.

Po wypowiedzi Babiara głos zabrała nieoceniona Barbara Nowak. „Znicz olimpijski w rękach drag queen to była tylko zapowiedź coming outu Francji. Najstarsza córa Kościoła wybrała piekło czyli zagładę. Francji zwycięskiej Joanny d’Arc już nie ma, została ruja i porubstwo. Mądry komentarz Przemysława Babiara. Polacy, pilnujmy Polski!”. Można powiedzieć, że była to wypowiedź kasandryczna: z jednej strony nieco bełkotliwa, z drugiej – pro-rocza. Przemysław Babiara stał się bowiem współczesną Joanną d’Arc: nie spłonał wprawdzie na stosie, ale został – dość lekkomyślnie – odsunięty od komentowania igrzysk. I natychmiast został męczennikiem tych wszystkich, którzy uważali inaugurację igrzysk olimpijskich w Paryżu za „obrzydliwość”. ●

Bierzcie i jedzcie te symbole

Lennon nie wzywa do przemocy i Babiara też nie



Marcin Matczak

S zukam odpowiednio szumnej nazwy dla tego, co w polskiej przestrzeni publicznej zdarzyło się w zeszłym tygodniu. „Ostatnia wieczerza Babiara”? „Uczta obrażonych bogów”? Nic chyba nie odda tego koktajlu uczuć, który przelał się ostatnio przez serca Polaków, i tych, którzy mają je po lewej, i tych, którzy mają je po prawej stronie. Ale jest z tego pewna korzyść – jak zawsze w sytuacjach kryzysu ujawniła nam się pewna prawda o nas samych, jakiś półdekalog nam się wyłonił, czyli Pięć Przykazań Prawdziwego Polaka.

1. Broń wolności słowa, ale tylko wtedy, gdy ktoś z niej korzysta po twojej myśli.

Polacy kochają wolność słowa, ale bez przesady – gdy ktoś używa jej niezgodnie z naszymi oczekiwaniami, stajemy się co najmniej ćwierćtalibami, chcemy pozywać, karać i zawieszać. Już nie tylko z prezydentem trzeba uważać, ale z każdym elementem kultury, bo przecież może być dla kogoś ważny. Stara, filozoficzna zasada, że zrozumieć coś znaczyc uczynić to swoim, u nas nie działa.

„Szanować, nie reinterpretować” – to nasze podejście do autorytetów i tradycji. Kiedy w USA nawet spalenie wartościowego dla kogoś symbolu jest chronione wolnością słowa (patrz sprawa Texas v. Johnson – spalenie flagi USA nie jest zbezczeszczeniem, ale wypowiedzią), u nas nie przejdzie nawet owinięcie pomnika Jezusa tęczową flagą.

A już artystyczne wykorzystanie „Ostatniej wieczerzy”? Daj Panie pokój, kto to widział! A przecież to normalne mówienie symbolami, do którego wszyscy mają prawo. To komunikacja, że także osoby LGBTQ są zaproszone do wspólnoty, do stołu, do chrześcijańskiej miłości. Niestety nie u nas, bo to przecież katolicki kraj.

2. Pamiętaj, abys jak najczęściej czuł się czymś obrażony.

„Ależ wodzu, co wódz?” – klasyczna fraza z „Antresolki Profesorka Nerwosolka”, kierowana w stronę wiecznie obrażającego się bohatera tej opowieści, ciągle jest u nas żywa. Polacy, jak Wódz, chyba lubią czuć się obrażeni. Jak napisał w jednym z felietonów Mariusz Szczygieł – lubimy być pomnikami, podczas gdy taki dla przykładu Czech woli być gołębiem, ze wszystkimi tego konsekwencjami dla pomnika.

Skąd ta wrażliwość? Może tylko wtedy mamy patriotyczne poczucie, że naprawdę nam na czymś zależy. Dlatego w Polsce zabrania się reinterpretacji i innych wariacji! Pod karą medialnej chłosty i obowiązku wieczystego przeproszania. Codziennie jakaś obraza majestatu. Ale gdybyś pomyślał, że część Polaków cierpi na przeczulicę patriotyczną-religijną, nagle ujawnia się jej drugi, bardzo zaraźliwy wariant – przeczulica lewicowa. Babiara zostaje zawieszony za interpretację piosenki Beatlesa.

3. Toleruj, ale wspomnij, że mógłbyś zabić.

Za każdym razem, gdy ktoś „obraża” katolików, pojawia się argument „spróbuj tak z Mahometem, cwaniaku?”. Tym, którzy

używają tego argumentu, coś się głęboko w głowie nie ułożyło – przecież to jest argument z najgłębszego zamordyzmu, porównujący chrześcijaństwo z wynaturzoną, najgorszą moralnie interpretacją islamu.

Dlaczego argumentujemy z anomalii? Czy wzorem dla naszej demokracji ma być taliban? Rozumiem, że jak w Polsce ktoś krytykuje Andrzeja Dudę, to mu powiecie „Spróbuj tak zrobić z Kimem w Korei Północnej, cwaniaku?” i ten przestanie? Ale chyba tacy chcemy być. Za wypowiedź, obraz, słowo organizować ludziom drugą masakrę „Charlie Hebdo”? A może by tak jednak przyjąć, że nasza wiara i nasza religia czymś się różni od podejścia tych, którzy na wizji podrzynają innym gardło, twierdząc, że wielbią tym swojego Boga?

4. Od czasu do czasu wpadaj w mistyczną szajbę.

Żyjemy w matriksie, bo to nie może być normalna rzeczywistość. Obrażeni już są i prawi, i lewi, a na to wszystko wchodzi Ziobro i mówi, że po wygranej Tuska nic nie jest przypadkiem, a wszystko znakiem. „Zawieszenie Przemysława Babiara to nie zwykła nadgorliwość neoprezesów TVP, tylko realizacja agendy LGBT narzuconej przez Donalda Tuska To element walki z naszą chrześcijańską tożsamością – jak prowokacyjne zatrzymanie ks. Olszewskiego w Wielki Czwartek”.

Czym sobie zasłużyliśmy na polityków, którzy nie umieją rozwiązać ważnych problemów społeczeństwa, ale zawsze chętnie uderzą w dzwon mistycyzmu? Ziobro przez osiem lat nie potrafił usprawnić sądów, ale – żeby zacytować klasyka – widzi buzię w każdym tęczu. A więc ksiądz Olszewski jako Jezus, Tusk jako Judasz, a zaraz ktoś zostanie oskarżony, że na propozycję odwieszenia Babiara zakrzyknął „Odwieście Barabasza!”. Zaprawdę, kto żyje w Polsce, ten się w cyrku nie śmieje.

5. Nie niuansuj – myśl młotem.

W dyskusji o reinterpretacji symboli chrześcijańskich pisze mi niezadowolona pani: „zawsze można wziąć zdjęcie pana żony czy dziecka, wymazać krwawą jakąś świni i powiesić na szubienicy, każdy ma w końcu prawo do własnej ekspresji”.

Patrzę ponownie na tę paryską „Ostatnią wieczerzę” czy może „Ucztę bogów” – wieloznaczność nawiązania także jest wartością. I zastanawiam się, co pozwoliło tej pani zbudować jej porównanie. Co w tej reinterpretacji jest odpowiednikiem świńskiej krwi, a co odpowiednikiem szubienicy? I wychodzi mi na to, że dla niej tą świńską krwią jest inny człowiek – że jego inność budzi u niej taką samą odrazę. I to jest niewymownie przykre.

Bo wydawałoby się, że to jest Europa, która ma wielowiekową tradycję interpretacji swoich symboli, nie taliban. Kultura, w której symbole żyją, bo ciągle są dla kogoś ważne. A te, których nie wolno interpretować, bo trzeba się bać „niewłaściwej” interpretacji, umierają.

Dopóki ktoś chce przerabiać „Ostatnią wieczerzę”, jest ona doniosła. Dopóki ktoś widzi w „Imagine” Lennona manifest jakiejś idei, nawet komunistycznej, ten utwór nie jest pusty. Reinterpretacja symboli nada je im nowe życie. „Bierzcie i jedzcie”, chciałoby się powiedzieć. Konsumujcie te symbole bez oskarżeń, że nie wasze, bez zarzutu kulturowego przywłaszczenia. Ale komunikujcie coś pozytywnego – troskę, chęć przynależności, miłość. Nie to, co symbolizuje świńska krew. „Ostatnia wieczerza” w Paryżu nie wzywa do przemocy, Lennon nie wzywa, Babiara też nie. A krew i szubienica wzywają. ●



Witold Gadomski

W rządach III RP ministrowie finansów mieli zwykle silną pozycję. Sześciu z nich pełniło jednocześnie funkcję wicepremiera. Czasami traktowani byli wręcz jako dodatkowy element rządzącej koalicji, z którym muszą się liczyć pozostali partnerzy. Ministrowie zwykle wywodzili się ze środowisk akademickich. Dziesięciu miało tytuł profesora, kilku było doktorami.

Po 2015 r. PiS zerwał z tą tradycją. W ciągu ośmiu lat jego rządów przez gabinet przy ulicy Świętokrzyskiej 12 przewinęło się aż siedmiu ministrów, których nazwisk nie znała większość Polaków, a czasami nawet sami posłowie.

Donald Tusk postanowił kontynuować ten model zarządzania finansami państwa.

Człowiek rynków kapitałowych

W grudniu ub. r. ministrem finansów został 43-letni Andrzej Domański, mło-

Kim jest Andrzej Domański?

PIENIĄDZE SĄ IBĘDĄ

Donald Tusk powiedział ministrowi finansów: masz znaleźć pieniądze na sfinansowanie stu przedwyborczych obietnic, a jak – to już twoja sprawa.

Niektóre ze „stu konkretów” minister delikatnie krytykuje. Nie jest entuzjastą nieoprocentowanego kredytu na zakup pierwszego mieszkania, uważając, że trzeba skupić się ułatwieniach dla budownictwa mieszkaniowego

nedżerskich na rynku kapitałowym, jest przyznawany przez CFA Institute – amerykańską organizację pozarządową zrzeszającą profesjonalistów w zakresie finansów. W Polsce organizacja reprezentowana jest przez lokalne stowarzyszenie CFA Society Poland.

Przez 15 lat pracował w różnych funduszach inwestycyjnych, zarządzając portfelami aktywów powierzonych przez klientów: KBC TFI, Noble Funds TFI, Eques Investment TFI. Zdobywał nagrody „Alfa” dla najlepszego zarządzającego funduszami giełdowymi oraz „Złoty Portfel” gazety giełdowej „Parkiet”. Zyskał opinię „człowieka rynków kapitałowych”, rozumiejącego działanie rynków, cieszącego się też zaufaniem instytucji finansowych.

Dzięki pracy w funduszach jest człowiekiem dość majątnym, choć daleko mu do Mateusza Morawieckiego – jednego z najbogatszych polskich polityków. Jako specjalista od zarządzania portfelami aktywów silnie zdywersyfikował swoje oszczędności. Z oświadczenia majątkowego złożonego w kwietniu wynika, że posiada oszczędności w polskiej walucie – 483,5 tys. zł, a także 23,2 tys. dolarów, 811 tys. euro, 7,1 tys. franków szwajcarskich, obligacje o wartości 879,5 tys. zł, udziały w kilku spółkach oraz dwa mieszkania o wartości blisko 2 mln zł. Spłaca też kredyt hipoteczny indeksowany we frankach. Do spłaty pozostało mu jeszcze 579,8 tys. zł.

Domański nie ma tytułów naukowych (poza stopniem magistra), ale był wykładowcą finansów behawioralnych na Uczelni Łazarskiego oraz na Uniwersytecie SWPS.

Ma żonę i córkę, ale o prywatnym życiu wypowiada się niechętnie.

Ekonomista wrażliwy

W orbicie Platformy Obywatelskiej znalazł się na przełomie lat 2020 i 2021. Współpracę zaproponował mu kierujący Instytutem Obywatelskim, think tankiem PO, Jarosław Makowski. Znali się od czasów studiów w Krakowie. Starszy od Domańskiego o osiem lat Makowski studiował filozofię w Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie [obecnie Uniwersytet Papieski Jana Pawła II], a po studiach związał się ze środowiskiem „Tygodnika Powszechnego”.

Domański z Makowskim spotykali się podczas różnych dyskusji o polityce, gospodarce i społeczeństwie. Wiele spraw mieli zbieżne poglądy – liberalne, ale dalekie od rynkowej ortodoksji, z silnym akcentem na sprawy społeczne. Domański stał się współpracownikiem Instytutu Obywatelskiego, a później jego wiceprezesem i głównym ekonomistą. Dołączył do niego, gdy notowania PO dołowały, a partia nie miała silnego przywódcy. Donald Tusk jeszcze był przewodniczącym Rady Europejskiej i nie był zdecydowany, czy wróci do polskiej polityki.

W Instytucie Domański zajmował się jednak nie tylko czystą ekonomią. Wypowiadał się o klimacie i transformacji energetycznej, a także o problemach społecznych. W biuletynie Instytutu pisał, że Polska ma „najbrudniejszą” energetykę w Unii Europejskiej i stan taki nie jest do utrzymania, gdyż zmiany zostaną wymuszone przez rosnące koszty uprawnień do emisji CO₂, które podnoszą hurtowe ceny energii elektrycznej w Polsce. Konieczne jest przejście na energetykę odnawialną, choć proces ten będzie kosztowny. Krytykował rząd Morawieckiego za doprowadzenie do wysokich kosztów energii i zaniechanie transformacji.

„Powiedzmy otwarcie: dla polskiego górnictwa ratunku nie ma. Winne są temu nie unijne dyrektywy, ale prosty rachunek ekonomiczny” – pisał, podkreślając, że plany poprzedniego rządu, żeby utrzymywać przy życiu górnictwo aż do 2049 r., są zwykłym kłamstwem mającym uspokoić nastroje wśród górników. Opowiadał się za powołaniem ministra odpowiedzialnego za energetykę atomową i realizację inwestycji w tym obszarze.

W rozmowie z posłanką PO Marzeną Okła-Drewnowicz zastanawiał się nad konsekwencjami niekorzystnych zmian demograficznych w Polsce, opowiadał się za większą pomocą dla osób starszych, podkreślał, że w modelu rodziny zachodzą zmiany i coraz więcej dzieci rodzi się w związkach nieformalnych.

Był też autorem podcastów Instytutu Obywatelskiego. Do jednego z nich zaprosił dr. Pawła Bukowskiego z Instytutu Ekonomicznego PAN. Bukowski należy do grupy ekonomistów związanych z fundacją Dobrobyt na Pokolenia, która kwestionuje teorię ekonomiczną głównego nurtu. Specjalizuje się on w badaniu nierówności i twierdzi, że wbrew danym Głównego Urzędu Statystycznego i Eurostatu w Polsce są one zdecydowanie większe niż w innych krajach UE i stale rosną. Domański nie kwestionował też Bukowskiego. Opowiadał się za polityką zmniejszania nierówności, uznając, że będzie to dobre nie tylko dla społeczeństwa, ale też gospodarki i ogólnego bogactwa. Jednym ze sposobów zmniejszania nierówności ma być według Domańskiego wzmacnianie pozycji związków zawodowych. W innym podcaście krytykował nadmierną ingerencję państwa w gospodarkę, jaka miała miejsce za rządów PiS. Dał się więc poznać jako ekonomista przywiązany do idei rynku, aczkolwiek nie przesadnie, wrażliwy na problemy społeczne, środowiskowe i europejskie.

Trudno znaleźć wypowiedzi Domańskiego sprzed objęcia funkcji ministra ostrzegające przed rosnącym zadłużeniem państwa i nadmiernymi wydatkami budżetu. Nie krytykował kosztownych i nie najlepiej skonstruowanych programów socjalnych PiS.

Minister, który znajdzie pieniądze

– Między Domańskim i Tuskiem jest chemia – mówi Paweł Graś, jeden z najbardziej zaufanych ludzi premiera. Podkreśla, że niewiele osób nadaje z premielem na tej samej fali. Domańskiemu to się udało.

– Tusk chciał mieć ministra, który nie będzie mu mówił jak Rostowski czy Szczurek, że na coś nie ma pieniędzy – twierdzi poseł Trzeciej Drogi.

Potrzebował takiego, który znajdzie pieniądze na sfinansowanie stu przedwyborczych obietnic Platformy, nie próbując krytykować nawet tych szkodliwych. Tusk mu powiedział: masz to zrobić, a jak – to już twoja sprawa. Domański wie, że jego pozycja zależeć będzie od tego, czy wywiąże się z zadania. Nie jest od wielkich reform systemowych, ale od tego, by na bieżąco nie było kłopotów.

Atutem ministra są dobre relacje z inwestorami, którzy kupują polski dług. Stara się ich przekonać, że Polsce nie grozi skokowy wzrost zadłużenia, że rząd będzie prowadził odpowiedzialną politykę. Ale jeżeli zdarzy się jakieś zawirowanie, rentowność obligacji wzrośnie – jak jesienią 2022 r., gdy przekraczała 8 proc. – Tusk Domańskiego wymieni.

Formalnie Andrzej Domański stoi na czele Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów – organu rządu, który przygotowuje i uzgadnia stanowiska w sprawach istotnych dla gospodarki. Jest to jednak funkcja raczej formalna – kieruje spotkaniami kilku ministrów i wysokich urzędników, przy czym tylko część z nich należy do Koalicji Obywatelskiej. Jego pozycja zależy od premiera, który od swoich ministrów oczekuje, by nie sprawiali mu kłopotów.

Bomba zegarowa od PiS

Minister finansów odziedziczył budżet skonstruowany przez rząd poprzedni i nie dokonał w nim niemal żadnych zmian. W ustawie przyjętej w styczniu wpisano po stronie dochodów 6 mld zł wpłaty z zysku NBP, choć już w końcu ubiegłego roku było wiadomo, że bank ma dużą stratę i żadnej wpłaty do budżetu nie dokona. Nic nie stało na przeszkodzie, by tę pozycję wyrzucić, zwiększając planowany deficyt lub znajdując inne źródło dochodu. Ale Domański dostał zaraz po objęciu stanowiska od premiera przykazanie, że budżet ma być przyjęty w terminie, by nie daćzydentowi pretekstu do rozwiązywania Sejmu. A czasu było niewiele.

W gruncie rzeczy Tusk mógł sprawę przeciągać, gdyż notowania koalicji były dobre i była szansa na duży sukces w przyspieszonych wyborach. Ale nie chciał ryzykować, a Domański nawet nie starał się wyjaśnić „kierownikowi”, jak politycy PO nazywają Tuska, że głosowanie budżetu z absurdalną pozycją wpłaty z NBP jest trochę dziwne.

Domański zdawał sobie sprawę z tego, że sytuacja finansów państwa jest trudna i że PiS swoją rozrzutną polityką podłożył pod nowy rząd bombę zegarową. Pod koniec września 2023 r. rząd Morawieckiego opublikował dokument „Strategia Zarządzania Długiem Sektora Finansów Publicznych w latach 2024–2027”, który był załącznikiem do projektu ustawy budżetowej. Został opublikowany na stronach resortu finansów kilka tygodni przed wyborami.

Z dokumentu wynika, że w najbliższych czterech latach dług sektora instytucji rządowych i samorządowych będzie nieustannie rósł i w roku 2027 wyniesie 58,7 proc. PKB pod warunkiem znacznego „dostosowania fiskalnego”. Ten fachowo

• Minister Finansów Andrzej Domański i jego zastępca szef Krajowej Administracji Skarbowej Marcin Łoboda podczas briefingu prasowego w sprawie Krajowego Systemu e-Faktur. Warszawa, 19 stycznia 2024 r.

FOT.DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

dy jak na polskie zwyczaje polityk, któremu w ostatnich wyborach premier wyznaczył piąte miejsce na warszawskiej liście. Dostał się do Sejmu z dość słabymi wynikami 6848 głosów. To był jego drugi start. W wyborach w 2019 r. bezskutecznie kandydował do Sejmu w okręgu krakowskim – otrzymał 1329 głosów.

Domański do niedawna był osobą znaną tylko niektórym działaczom Platformy Obywatelskiej. Zaraz po studiach w Akademii Ekonomicznej w Krakowie podjął pracę jako specjalista ds. analiz sektorowych w Biurze Analiz Ekonomicznych banku BPH. Jego przełożonym był wówczas Ryszard Petru. – Domański był pracownikiem solidnym, ale rzadko się z nim spotykałem – mówi Petru.

Banki zostały wówczas przez Komisję Nadzoru Finansowego zobowiązane do analizy ryzyka w różnych sektorach gospodarki i określania, które sektory są dla banków bardziej, a które mniej bezpieczne. Takimi analizami zajmował się Domański. Pracował w BPH mniej więcej rok.

Zdał egzamin na Certyfikowanego Analityka Finansowego (CFA). Certyfikat, który jest przepustką do stanowisk me-

wy termin oznacza po prostu trwale cięcie niektórych wydatków lub podniesienie podatków.

Poprzedni rząd planował w latach 2025-27 dokonać cięć wydatków lub wzrost podatków na łączną sumę 129 mld zł. Nie obyłyby się bez znacznego odchudzenia programów socjalnych, w rodzaju 800+, 13. i 14. emerytury czy obietnic podwyższenia zasiłku pogrzebowego. Bez takiego „dostosowania fiskalnego” dług już w 2026 r. przebijie wartość 63 proc. PKB, a w 2027 r. wyniesie 67,4 proc. PKB.

To narazi Polskę na spór z Komisją Europejską, która właśnie nałożyła na nasz kraj procedurę nadmiernego deficytu. Procedura ta nakładana jest wówczas, gdy deficyt budżetowy przekracza 3 proc. PKB (w tym roku planowany jest deficyt 5,1 proc. PKB) lub gdy dług publiczny trwale przekracza 60 proc. Na razie nasz dług jest poniżej tej granicy, ale szybko zmierzamy, by ją przebić.

Sto konkretów na kilkadziesiąt miliardów

Jest pewną zagadką to, że ani Andrzej Domański, ani inni politycy PO przed wyborami nie wykorzystali dokumentu rządu Morawieckiego, by go zaatakować. Mogli pokazać, że to PiS planuje cięcia budżetowe i przynajmniej, że sytuacja finansów państwa jest zła. To było gotowe narzędzie do uderzenia w przeciwników. Wyjaśnieniem tej zagadki zapewne jest to, że Platforma nie chciała w ogóle mówić wyborcom o stanie finansów. Obiecywała nie „konsolidację fiskalną”, ale zwiększenie wydatków w ramach stu obiecanych konkretów. Domański był jednym z autorów tego programu.

Obietnice były rzeczywiście konkretne i bardzo szczegółowe, np.: „Wprowadzimy 600 zł dopłaty na wynajem mieszkania dla młodych”, „Obniżymy VAT dla sektora »beauty« do 8 proc.”, tylko że nie tworzyły spójnego programu naprawy gospodarki i finansów. Nie były dziełem zespołu ekonomistów, ale specjalistów od PR, którzy uznali, że program zmian systemowych będzie dla wyborców niezrozumiały, a 600 zł dopłaty do czynszu każdy wyborca zrozumie. Nie wszystkie „konkrety” wiązały się z dużymi kosztami dla budżetu. Część obietnic nie dotyczy w ogóle spraw finansowych. Niemniej realizacja wszystkich oznaczałaby dodatkowe wydatki rzędu kilkadziesiąt miliardów złotych, w sytuacji gdy i bez nich dług niepokojąco rośnie.

Najbardziej kosztową z obietnic jest zapowiedziane podniesienie kwoty wolnej od podatku PIT z 30 do 60 tys. zł rocznie. Obniżyłoby to wpływy budżetu o blisko 50 mld zł. Nawet jeżeli ubytek zostałby częściowo zrekompensowany większymi wpływami z VAT, wyrwa byłaby znaczna. Podniesienie kwoty wolnej raczej nie zostanie wprowadzone od 2025 r. Rząd i minister Domański mają wygodną wymówkę – procedurę nadmiernego deficytu, którą Unia nałożyła na Polskę za zbyt wysoki deficyt w 2023 r. Można więc winę zrzucić na razie na PiS. Ale Domański obiecuje, że do końca kadencji wywiąże się ze wszystkich obietnic, a więc także z tej.

Niektóre ze „stu konkretów” minister delikatnie krytykuje. Nie jest entuzjastą nieoprocentowanego kredytu na zakup pierwszego mieszkania, uważając, tak jak Polska 2050 i Lewica, że trzeba skupić się na stronie podażowej, czyli ułatwieniach dla budownictwa mieszkaniowego. Ale oficjalnie rząd z tego punktu nie zrezygnował. Zgadza się natomiast na projekt, najmocniej forsowany przez Lewicę, tzw. renty wdowiej (nie było go wśród „100 konkretów”), czyli podniesienie świadczeń emerytalnych dla wdów i wdowców. Ministra chwali za to Lewica. Jej rzecznik Łukasz Michnik przyznał, że szef resortu finansów „ma w sobie wrażliwość lewicową i widzi proble-



FOT. PATRYK OGÓRZALEK / AGENCIA WYBORCZA.PL

Jeżeli premier uzna, że reforma Domańskiego może być dla Platformy Obywatelskiej problemem, może ją zatrzymać, a nawet usunąć jej autora

my Polaków”. Trudno jednak, by Domański skrytykował projekt, który oficjalnie poparł premier.

„Zobowiązaliśmy się wszyscy, że w Sejmie będziemy wspólnie pracowali i wspólnie jako cała koalicja rządowa głosowali za takim kształtem projektu, który wynika ze stanowiska rządu” – powiedział na konferencji prasowej premier Tusk, stojąc obok minister rodziny, pracy i polityki społecznej Agnieszki Dziemianowicz-Bąk, której resort projekt przygotował. Renta wdowia ma wejść w życie stopniowo. W 2025 r. ma kosztować od 3,2 mld do 4,2 mld zł, w 2027 r. – od 11,9 mld do 15,8 mld zł.

Skarbonki premiera

Politycy PO nie wspominali przed wyborami o trudnej sytuacji finansów państwa, gdyż mieli w pamięci wypowiedź Marka Belki z 2001 r., który kilka tygodni przed wyborami ostrzegł, że dziura w budżecie nie pozwoli spełnić wielu obietnic Lewicy. Belka, gdy to mówił, był kandydatem na ministra finansów w lewicowym rządzie (rzeczywiście nim został). Leszek Miller uważał, że ta wypowiedź kosztowała SLD kilka mandatów, których zabrakło do utworzenia rządu jednopartyjnego.

Domański pytany tuż przed wyborami przez dziennikarzy „Dziennika Gazy Prawnej” o stan finansów, powtarzał: „Pieniądze są i będą, zwłaszcza na wydatki prorozwojowe, co przełoży się na wyższe wpływy podatkowe”. Obiecywał przeprowadzenie audytu finansów państwa oraz szybki napływ pieniędzy z Krajowego Planu Odbudowy, które miał w Brukseli odblokować Donald Tusk. Krytykował rząd Morawieckiego za chaos, jaki wprowadził tzw. Polski Ład, ale niewiele mówił o sposobie naprawienia systemu podatkowego.

Rząd Morawieckiego doprowadził do nieładu nie tylko w podatkach, ale w ogóle w całym systemie finansów publicznych, wprowadzając kilkaset miliardów złotych poza przyjmowany ustawą sejmową i kontrolowany przez Sejm budżet. Platforma to krytykowała w czasie kampanii wyborczej, ale niewiele wskazuje na to, by zrezygnowała z wygodnego dla rządu narzędzia, jakim są fundusze pozabudżetowe, przede wszystkim

Polski Fundusz Rozwoju. O ile przesunięcie pieniędzy w oficjalnym budżecie wymaga nowelizacji budżetu, o tyle PFR jest czymś w rodzaju skarbonki, z której premier może dość dowolnie wydawać pieniądze na cele, które pojawiają się w ciągu roku. Nie ma nawet zapowiedzi, by dochody i wydatki PFR stały się od przyszłego roku częścią ustawy budżetowej.

Reforma finansów Domańskiego

Sztandarowym projektem ministra Domańskiego ma być za to reforma finansów samorządów terytorialnych. Samorządy poniosły straty w wyniku wprowadzenia Polskiego Ładu, a wcześniej podniesienia do 30 tys. kwoty wolnej od podatku. Rząd PiS wyrównywał ubytek dotacjami przyznawanymi według subiektywnych kryteriów. Domański chce zwiększyć dochody własne samorządów, ale też ich odpowiedzialność za pozyskiwanie dochodów. Podstawą kalkulacji będą dochody firm i mieszkańców, a nie jak dotychczas płacone przez nich podatki. Projekt przewiduje także subwencję ogólną dla samorządów, których dochody będą niższe od potrzeb finansowych. Proponuje odejście od kilku rozdrobnionych rezerw subwencji ogólnej i utworzenie jednej „dużej” rezerwy na uzupełnienie dochodów.

Dochody z PIT dla samorządów wzrosną z obecnych 88 mld do 173 mld zł, zaś z CIT z 23 mld do prawie 30 mld zł. Obecnie wpływy z PIT stanowią ponad 36 proc. dochodów samorządowych, z CIT – 10 proc., a najpoważniejszą pozycją jest subwencja (niespełna 55 proc.). Reforma sprawi, że z wpływów z PIT pochodzić będzie 69,5 proc. dochodów samorządów, a z subwencji niewiele ponad 19 proc.

Na reformie zyskać mają wszystkie samorządy, choć w różnym stopniu. Najwięcej zyskają duże miasta: Warszawa ok. 1,25 mld zł, Poznań 190 mln zł, Kraków 367 mln zł. Wśród najmniejszych gmin minimalny wzrost dochodów sięgnie miliona.

Projekt nie jest zatem pozbawiony politycznego ryzyka. Poprzedni rząd do wartościowywał mniejsze miejscowości, szczególnie w południowej i wschodniej Polsce. Zapewne propaganda PiS

będzie utrzymywać, że rząd koalicyjny dba przede wszystkim o mieszkańców dużych miast kosztem Polski „B”. Nie wiadomo, czy reformę zaakceptują koalicjanci. Lewica tradycyjnie obawia się nadmiernego przesunięcia odpowiedzialności na samorządy, uważając, że to pogłębia nierówności. Reforma powinna uruchomić w gminach inicjatywy, które zwiększą średni poziom dochodów mieszkańców – rozmaite ułatwienia, które będą zachęcać do osiedlania się osób szczególnie bardziej zamożnych i przedsiębiorczych, zakładania firm. Taki ferment może pozytywnie wpływać na rozwój Polski, ale niektórzy mogą się obawiać, że w tym wyścigu przegrają. Jeżeli premier uzna, że reforma Domańskiego może być dla Platformy Obywatelskiej problemem, może ją zatrzymać, a nawet usunąć jej autora. Na razie dał jej zielone światło, ale na pewno nie będzie tolerował wpadek takich, jakie towarzyszyły Polskiemu Ładowi nieudolnie przygotowanemu przez ekipę Morawieckiego.

Program dla rynków, wyborców i Konfederacji

Paweł Graś twierdzi, że Domański wraz z ministrem aktywów Jakubem Jaworowskim pracują nad szerszym programem gospodarczym, który będzie wychodził poza sto obiecanych konkretów. Tusk podobno wspiera te wysiłki, ale czy autoryzuje ostateczny rezultat – nie sposób powiedzieć. Program ma być pokazany jesienią. Nie wiadomo, czy będzie to program Koalicji Obywatelskiej, czy całego rządu. O to drugie jest trudno, gdyż każde ugrupowanie wspierające rząd chce, by zostały uwzględnione jego priorytety.

Odbiorcami programu będą z jednej strony rynki finansowe – banki i fundusze, które pożyczają polskiemu rządowi i chcą zobaczyć ścieżkę prowadzącą do stabilizacji długu, przyspieszenia wzrostu gospodarczego i poprawy warunków do inwestowania w Polsce. Z drugiej – wyborcy, a także politycy i media, które będą program recenzować. Musi on więc przewidywać deregulację pewnych obszarów gospodarki, być może nawet prywatyzację niektórych „niestrategicznych” spółek, takich jak Polski Holding Nieruchomości, wzmocnienie instytucji, poprawę usług publicznych. Powinien także odpowiadać na wyzwania demograficzne – starzenie się społeczeństwa i kurczenie się rynku pracy.

Jeżeli Tusk uzna, że program jest udany, będzie on ważnym instrumentem w przyszłorocznej kampanii prezydenckiej, a jego autor awansuje w hierarchii partyjnej. Perspektywa wyborów, które odbędzie się zapewne na przełomie maja i czerwca 2025 r., hamowała dotychczas wiele działań rządu i Koalicji Obywatelskiej.

Z jednej strony Andrzej Duda niechętnie podpisuje rządowe ustawy, z drugiej zaś PiS wykorzystuje przeciwko rządowi każdą wypowiedź polityka koalicji i rządowy projekt. Wybory mają więc być przełomem, który odblokuje inicjatywy rządu. W takim rozumowaniu jest jednak pułapka. Jeżeli w obozie PiS nie dojdzie do rozłamu, można z dużym prawdopodobieństwem przewidzieć wyniki pierwszej tury wyborów.

Kandydaci PiS i Koalicji Obywatelskiej otrzymają nieco ponad 30 proc. głosów, a trzecie miejsce zajmie kandydat Konfederacji, na którego zgłasza kilkanaście procent wyborców. To w dużej mierze młodzi mężczyźni o poglądach wolnorynkowych, krytycznie oceniający działania kolejnych rządów wobec ludzi przedsiębiorczych. To nie są zwolennicy PiS, ale daleko jest im też do skracającej coraz bardziej w lewo Platformy Obywatelskiej. Program Domańskiego musi zawierać dla nich ofertę. W przeciwnym razie zgłoszą na PiS, przesądzając o wyniku wyborów. ●

• **Marathon des Sables,**
najbardziej morderczy
bieg świata, edycja 2023

Paryż 2024.
Ostatnie igrzyska, jakie znamy?

PIERWSZY MOCZ MOŻNA WYPIĆ

Gdybyśmy porównali enzymy we krwi biegacza po ukończeniu biegu i kogoś, kto właśnie przeszedł zawał, ich poziom byłby niezwykle podobny

Z **MARCUSEM RANNEYEM**
ROZMAWIA
KASPER KALINOWSKI

KASPER KALINOWSKI: Zgodzi się pan, że maraton to jedno z bardziej wymagających fizycznie zadań, jakie może wykonać człowiek?

MARCUS RANNEY: Na pewno niezwykle wymagające – potwierdzam to po przebiegnięciu kilku. Oznacza zmuszenie własnego organizmu do przekroczenia fizycznych barier. Ale czy najbardziej wymagające? Bardziej obciążające są niektóre formy wspinaczki. I właśnie pomyślałem o moim przyjacielu, który niedawno przepłynął kanał La Manche.

Tyle że dla mnie nie ma znaczenia, czy zdobycie Mount Everestu jest większym wyzwaniem niż przebiegnięcie maratonu albo odwrotnie. Liczy się szukanie własnych granic, ich przekraczanie i osiąganie niesamowitych rzeczy.

Który moment na trasie maratonu jest najtrudniejszy?

– Najtrudniejszy jest trening. Kiedy już biegasz, to biegasz, no i każdy bieg jest inny, każdy zawodnik inaczej rozkłada siły. Ale niezależnie od pogody czy warunków, na trasie otaczają cię tłumy, które cię wspierają, i przesch do mety, gdzie czekają twoi bliscy. To łatwiejsze niż treningi, kiedy budzisz się o 4 rano, przemierzasz puste drogi, nikt cię nie okłaskuje, a ty musisz jakoś przenieść ciało do 42. kilometra, aby upewnić się, że jesteś w formie.

W tym czasie stopy krwawią, a płuca pękają.

Czy w sporcie wyczynowym jesteś blisko granicy fizjologicznej wytrzymałości ludzkiego ciała?

– Bez wątplenia. I to chyba jeden z powodów, dla których tak wiele emocji budzi nowa formuła zawodów – Enhanced Games. To organizowana przez australijskiego biznesmena Arona D'Souzę, planowana na przyszły rok międzynarodowa impreza, gdzie sportowcy nie będą poddawani testom antydopingowym. Dozwolony będzie dowolny, nieograniczony regulaminami sprzęt, nowe technologie i biohacking. Ciekawe, jakie rekordy zostaną wtedy pobite.

Tylko czy tak ekstremalny wysiłek jest zdrowy? Możemy mówić o jakichkolwiek korzyściach?

– Nie oszukujmy się. Uszkodzenia fizyczne wskutek przebiegnięcia maratonu są olbrzymim obciążeniem dla ciała. Tak wielkim, że gdybyśmy porównali enzymy we krwi biegacza po ukończeniu biegu i kogoś, kto właśnie przeszedł zawał, ich poziom byłby niezwykle podobny.

Ciśnienie krwi i tętno są bardzo podwyższone. Zapasy paliwa we krwi uległy całkowitemu wyczerpaniu. Mięśnie są pełne mikrouszkodzeń. To wyczyn, który nie przynosi żadnych krótkoterminowych korzyści. Uwalnia jednak cały strumień substancji chemicznych, które wzmacniają mózg i sprawiają, że czujesz się lepiej. Dlatego możemy mówić o długoterminowych korzyściach psychologicznych.

Obowiązujący konsensus głosi, że dystans, który daje ciału fizyczne korzyści, to mniej więcej 8-10 km. Każda trasa powyżej dla większości ludzi wiąże się w dłuższym okresie czasu ze szkodami.

Podobno nasz organizm zachowuje się zupełnie inaczej podczas biegów sprinterskich.

Ruch to niekoniecznie zdrowie

8-10

KM BIEGU

• **to dystans, który daje ciału fizyczne korzyści**

13,7

STOPNI CELSIJUSZA

• **wynosiła temperatura ciała Anny Bågenholm, narciarki przywróconej do życia po tym, jak utknęła pod lodem w zamrzniętej rzece**

251

KM

• **to dystans pustynnego ultramaratonu Marathon des Sables. Organizatorzy zapewniają tylko wodę i namioty**

5

PROC.

• **gdyby o tyle był wyższy Everest, już nie dałoby się go zdobyć bez dodatkowego tlenu**

– Kluczowa różnica polega na tym, że maraton to dość zrównoważony wysiłek, aktywność aerobowa, w czasie której tlen jest łatwo dostępny dla komórek. Metabolizm tlenowy – obfitujący w tlen i niezbędny dla wytwarzania energii cząsteczki ATP – dostarcza energii wolniej niż metabolizm beztlenowy, ale można go podtrzymać przez długi czas.

Biegi sprinterskie to już aktywność beztlenowa. Nie można jej podtrzymać długo z powodu kwasu mlekowego gromadzącego się w mięśniach. Za jego sprawą jest ograniczona do około 60 sekund. Po tym czasie komórki nie są już w stanie się kurczyć, wytwarzać energii i napędzać dalej ciała.

Oprócz tego maraton i sprint wymagają aktywności innych włókien mięśniowych. Dlatego fizjologowie sportu mawiają: „Pokaż mi biopsję mięśnia, a powiem ci, czy powinieneś być sprinterem, czy maratończykiem”. Jeśli masz większą liczbę włókien typu I, nie zostaniesz sprinterem, ale jesteś w stanie podtrzymać poziom aktywności dłużej niż osoby z przewagą włókien typu II, tzw. białych. Te są szybsze, jednak ich rezerwy paliwa również szybciej się wyczerpują. Włókna białe, w których mitochondria nie są tak gęsto rozmieszczone, określa się szybko kurczliwymi – umożliwiają krótkie zrywy aktywności.

Jednak nie jesteśmy niewolnikami genów – nowsze badania wykazują, że trening może wpłynąć na obecność i rozkład typów mięśni.

Czyli jednak trudno określić limit możliwości ludzkiego ciała.

– Na igrzyskach w Paryżu prawdopodobnie padnie nowy rekord świata w maratonie, biegu na 100 czy 400 m. Dla nas, zwykłych śmiertelników, to obszary zarezerwowane dla nadludzi, lecz każdy z nas może poszukiwać własnych granic wytrzymałości, i to w każdy weekend.



FOT. MARATHON DES SABLES (2)

Czy w sporcie wyczynowym jesteśmy blisko granicy fizjologicznej wytrzymałości ludzkiego ciała? **Bez wątpienia**

O wytrzymałości ludzkiego ciała dużo mówi historia norweskiej narciarki Anny Bågenholm.

– Jako studentka medycyny Anna Bågenholm uprawiała narciarstwo przelajowe. Kiedyś straciła grunt pod nartami i wpadła do zamrożonej rzeki. Utknęła pod 20-centymetrową warstwą lodu. Po godzinie walki o życie Anny jej serce przestało bić. Ciało przetransportowano ponad 200 km do szpitala uniwersyteckiego, gdzie zmierzono jej temperaturę – wyniosła 13,7 st. C. Wszyscy myśleli, że nie żyje, ale doświadczony lekarz postanowił stopniowo ogrzewać jej ciało. Po 4,5 godz. przywrócono pracę serca, po pięciu dniach odłączono ją od aparatury podtrzymującej życie, a rehabilitacja sprawiła, że Anna jest dziś radiolożką w tym samym szpitalu. I wciąż uprawia narciarstwo.

Jej przypadek – jeden z pierwszych udokumentowanych, w których obniżenie temperatury ciała doprowadziło do przeżycia – zmienił postrzeganie granicy między życiem a śmiercią. Od tego czasu to standardowa procedura medyczna w niemal każdym szpitalu. Przed poważną operacją temperatura ciała jest obniżana, co zmniejsza zapotrzebowanie metaboliczne komórki, która jest w stanie dłużej pozostać przy życiu w trudniejszych warunkach, bo potrzebuje mniej tlenu i glukozy, aby wytworzyć energię.

A co pan jako lekarz sądzi o najtrudniejszym wyścigu na ziemi – pustynnym Marathon des Sables? Dla mnie to forma samobójstwa.

– Ten bieg, znany też jako Maraton Piasków. To sześciodniowy, 251-kilometrowy ultramaraton – sześciokrotność zwykłe-

go. Organizatorzy zapewniają tylko wodę i namioty do spania. O resztę musimy zadbać sami, włącznie z jedzeniem, które nosisz na plecach.

W przekraczaniu granic wytrzymałości istnieje wiele rzeczy, które ludzie robią bezsensownie i nielogicznie. Na Marathon des Sables jest tylu chętnych, że trzeba się rejestrować z dwuletnim wyprzedzeniem. A przecież upał jest czymś, co czyni bieganie szczególnie niebezpiecznym, bo dodatkowo temperaturę podnosi samo ciało w czasie biegu.

Marathon des Sables to kilka maratonów z rzędu, bez odpoczynku, w najgorętszym miejscu na świecie, bez żadnego wsparcia. Sam niedawno zarejestrowałem się na podobny, choć nieco krótszy, ultramaraton w Indiach pod koniec roku. Prawdopodobnie ta informacja to odpowiedź na twoje pytanie.

Jeden z biegaczy musiał pić krew nie-toperzy oraz własny mocz, aby przeżyć. Czy możemy pić własny mocz?

– Chodzi o Mauro Prosperiego, który wskutek burzy piaskowej zgubił się na 10 dni bez żywności i wody. Jeśli ktoś utknie na pustyni, to pierwszy mocz może być jeszcze spożyty, ponieważ jest najbardziej rozcieńczony. Nie możemy jednak pić kolejnych partii, bo będzie coraz bardziej toksyczny. Zwłaszcza z powodu gromadzenia się mocznika.

Jak chłodzi się organizm podczas takich biegów?

– Istnieje wiele mechanizmów. Sama skóra działa niczym ogromny grzejnik. W czasie biegu maleńkie naczynia krwionośne, naczynia włosowate, które mamy na całym ciele, zaczynają się otwierać. Więcej gorącej krwi wchodzi

w kontakt ze skórą, która przenosi ciepło z naszego ciała do chłodniejszego powietrza wokół.

Drugim podstawowym sposobem jest pocenie się. Ono jest obciążeniem metabolicznym dla organizmu, ale gdy ciało wytwarza pot przez gruczoły potowe, woda, która następnie odparowuje ze skóry, wywołuje efekt chłodzenia, co ponownie obniża temperaturę skóry. Na całym ciele mamy średnio 3 mln gruczołów potowych, ale ilość wytwarzanego potu to skomplikowana wypadkowa naszej wagi, sprawności, równowagi płynów ustrojowych, wieku i innych czynników.

Uczestniczył pan w jednych z najbardziej ekstremalnych zawodów sportowych na północnej Syberii, pobił rekord Guinnessa w biegu tyłem, wspinał się na Mount Everest. Z którego osiągnięcia jest pan najbardziej dumny?

– Każde z tych życiowych doświadczeń to inna radość. Mam nadzieję, że zgromadzę ich jeszcze wiele na koncie. Za kilka tygodni jedziemy z żoną wspiąć się na najwyższy możliwy do zdobycia szczyt w Indiach – Kancenzongę. Każdego roku chciałbym dodawać nowy rozdział do księgi przygód.

Jeśli chodzi o Syberię, były to zimowe międzynarodowe igrzyska organizowane przez rosyjski rząd. W tak ekstremalnych warunkach rywalizowano w trekkingu czy narciarstwie biegowym. Po raz pierwszy zetknąłem się z tak zimnym środowiskiem. Monitorowaliśmy różne zmiany fizjologiczne u uczestników. Wróciłem do Arktyki dwa lata temu, tym razem do Szwecji, na wędrowkę, która była znacznie trudniejsza, bo odbyłem ją samodzielnie.



Był pan też oficerem medycznym w Królewskich Siłach Powietrznych oraz w Centrum Kosmicznym NASA. Czego tam nauczył się pan się o ludzkim ciele?

– W RAF – konkretnie w siłach rezerwowych RAF – spędziłem cztery lata, co pozwoliło mi pracować z pilotami myśliwców, czyli osobami, które dobrowolnie umieszczają własne ciało w niesamowitych maszynach z dużymi przeciążeniami.

Praca w NASA miała zupełnie inny charakter. Byłem częścią załogi wsparcia medycznego podczas jednej z misji promu Atlantis na Międzynarodową Stację Kosmiczną. Obserwowałem astronautów podczas startu wahadłowca, a potem mierzyłem zmiany w ich ciałach. Przebywali na stacji dwa tygodnie. Tyle wystarczyło, żeby okazało się, że głównym wyzwaniem zdrowotnym związanym z lotem w kosmos jest brak grawitacji.

Nie myślimy o tym na co dzień, ale nasze ciało grawitacja nieustannie ciągnie w dół z siłą 9,8 m na s. To wpływa na pracę serca, ciśnienie krwi, do takich warunków przystosował się nasz układ oddechowy, narządy równowagi, mięśnie, kości... Dlatego kolonizacja innych planet to duże wyzwanie medyczne, nie tylko techniczne.

Na Everest wspinał się pan z ekipą lekarzy. Jaki był cel eksperymentu?

– Chodziło o zbadanie wpływu środowiska o niskiej zawartości tlenu na ludzkie ciało. Wraz ze wzrostem wysokości ciśnienie się zmniejsza. Wdychamy również mniej tlenu. To wyzwanie dla organizmu, który musi się przystosować.

Brzmi jak fanaberia, ale to bardzo ważne naukowo, bo każdego dnia miliony ludzi na całym świecie walczą o przetrwanie w środowisku o niskiej zawartości tlenu. Mam na myśli cierpiących na zapalenie płuc, przebywających na oddziałach intensywnej terapii czy poddawanych długotrwałym zabiegom chirurgicznym i utrzymywanych przy życiu za pomocą aparatury. Na podstawie tego, co się dzieje z fizjologią zdrowych osób na dużych wysokościach, próbowaliśmy się dowiedzieć, co można zrobić, aby poprawić jakość opieki nad chorymi w środowisku szpitalnym.

Istnieje wiele fizjologicznych adaptacji – układ sercowo-naczyniowy staje się bardziej wydajny, oddychamy głębiej. Lecz ostatecznie to, co odkryliśmy, sprowadza się do wydajności mitochondriów, małych organelli znajdujących się w niemal wszystkich naszych komórkach, które przekształcają paliwo w energię przy użyciu tlenu. Wydajność mitochondriów oszczędniej spalających tlen pozwala niektórym radzić sobie lepiej na wysokości lub przy niskim poziomie tlenu.

W 2019 r. Nobla w dziedzinie fizjologii lub medycyny przyznano trzem naukowcom zajmującym się właśnie tą tematyką. Zastanawiali się, jak komórki „wyczuwa-

ją i dostosowują się do dostępności tlenu”, i odkryli czynnik indukowany hipoksją – Hypoxic Inducible Factor, HIF – regulujący zależne od stężenia tlenu reakcje obserwowane w komórkach.

A jakie to uczucie znaleźć się na szczycie?

– Niestety, prowadziłem badania tylko do wysokości 5600 m, tuż nad słynnym obozem Everest Base Camp. Mam jednak wielu przyjaciół, którzy ukończyli wyprawę, niektórzy z tlenem, inni bez. To wyzwanie, które trwa zaledwie kilka chwil. Po-tem, ze względu na ekstremalnie niesprzyjające warunki, trzeba bardzo szybko wracać na dół.

Tak naprawdę to powrót jest najważniejszy. Myślimy o wspinaczce górskiej jako o próbie zdobycia szczytu, ale to tylko połowa drogi w skrajnie nieprzystępnych warunkach. Główną podróżą jest powrót do domu. Wtedy zyskujesz poczucie spełnienia, możesz spojrzeć wstecz, na górę i powiedzieć: tak, byłem tam.

Ostatnie 100 m wspinaczki zajmuje kilkanaście godzin. Dlaczego?

– Z powodu braku tlenu i niezdolności organizmu do nadążania z dostarczaniem energii, której komórki potrzebują, abyś mógł zrobić więcej niż jeden krok.

Homo sapiens ma dwa odruchy obronne przeciwko wychłodzeniu – tzw. zagrzebanie śmiertelne, terminal burrowing, oraz rozbieranie. Wiemy, czemu służą tak nieintuicyjne, sprzeczne z rozsądkiem zachowania?

– Pierwsze potrafimy wyjaśnić. Zagrzebywanie śmiertelne to mechanizm samoobrony zwany też reakcją „ukryj się i umrzyj”. Osoba dotknięta hipotermią stara się schronić w niewielkiej, zamkniętej przestrzeni. To odruch autonomiczny, sterowany przez pień mózgu, w ostatnim stadium hipotermii. Podobne zagrzebywanie można zaobserwować u zwierząt hibernujących zimą.

Jeśli chodzi o drugi, to nie wiemy. Istnieje teoria, że gdy ciało zbliża się do końca życia, następuje nagły wyrzut adrenalinu. To mechanizm służący przetrwaniu. Przyływ adrenaliny powoduje wzrost akcji serca oraz wzrost temperatury ciała. Ale wtedy odczuwasz gorąco i zdejmujesz wszystkie ubrania. W wyższych partiach Everestu jest ponad 200 ciał rozebranych z kilku warstw ubrań. Jednak to tylko teoria.

Możemy się przystosować do takich środowisk?

– Mieszkańcy Tybetu, indyjskiego regionu Ladakh, Nepalu czy górzystych terenów Ameryki Południowej przystosowali się do dużych wysokości. Ludzie żyjący w bardzo zimnych – ale też w bardzo go-



• Lekarz i wyczynowy podróżnik Marcus Ranney podczas jednej z wysokogórskich wypraw badających fizjologiczne możliwości organizmu F OT, ARCHIWUM PRYWATNE

jących regionach – mają pewne fizjologiczne adaptacje. Cała populacja jest na przykład niższa, bardziej krępa albo ma więcej brązowego tłuszczu. Tzw. brunatne adipocyty, czyli komórki tłuszczowe, zawierają liczne niewielkie kropelki tłuszczu – podczas gdy tłuszcz biały ma duże kropelki – i dużo większą niż „białe” liczbę mitochondriów kryjących w sobie żelazo – stąd ich charakterystyczny kolor. Dzięki temu mitochondria łatwiej „spalają” tłuszcz w celu wytwarzania energii, a zatem i ciepła.

Kiedyś myślano, że brązowy tłuszcz mają tylko noworodki, ale niedawne badania na dorosłych pokazują, że w organizmach ludzi spędzających dużo czasu w chłodnym klimacie komórki te się utrzymują.

Everest leży na granicy ludzkiej wytrzymałości. Gdyby był odrobinę wyższy, nikt by go nie zdobył?

– To wielki kosmiczny zbieg okoliczności. Gdyby Everest był raptem o 5 proc. wyższy, już nie dałoby się go zdobyć bez dodatkowego tlenu. To jedna z tych dziwnych rzeczy, które trudno wyjaśnić.

Innym takim zbiegiem okoliczności jest średnica Księżyca wynosząca dokładnie 1/400 odległości od Słońca. Dzięki temu możemy podziwiać całkowite zaćmienie Słońca. Minimalnie inna wartość sprawiłaby, że nie byłoby to możliwe. A spójrzmy na złote proporcje i ciągi Fibonacciego w całym świecie przyrody. Mamy dwa rozwiązania – albo to zwykły zbieg okoliczności, albo tak zostało zaprojektowane.

Lepiej wróćmy do ciepła. Jak rozpoznać pierwsze oznaki udaru?

– Z powodu wzrostu temperatury ciała i spadku poziomu soli i elektrolitów nie jesteśmy w stanie chodzić w linii prostej i wykonywać prostych zadań motorycznych. Problem polega na tym, że odruch pragnienia pojawia się, gdy jesteśmy odwodnieni o 2 do 3 proc. – a nawet 1-procentowy spadek nawodnienia może prowadzić do 10-12-procentowego spadku wydajności. Musimy więc przypominać wszystkim, aby w gorących temperaturach nie tylko pili wodę, ale także uzupełniali sól i elektrolity.

Na pocieszenie – skoro nasz organizm ma takie zdolności przystosowawcze, to jakoś tam jesteśmy przygotowani na globalne ocieplenie klimatu?

– Nie sądzę. Właśnie skończyłem swoją część książki, która zostanie przedstawiona na Zgromadzeniu Ogólnym ONZ we wrześniu. Roztrząsamy w niej różne aspekty zmian klimatycznych zagrażające naszym organizmom i szerzej, zdrowiu publicznemu.

Wskutek wysokich temperatur znacznie wzrośnie liczba chorób układu sercowo-oddechowego na całym świecie, pogorszy się stan cierpiących na choroby serca, nadciśnienie i zaburzenia sercowo-naczyniowe. Obniżenie jakości powietrza zwiększy liczbę chorób układu oddechowego w rodzaju astmy, obturacyjnej choroby płuc i różnych alergii. Będzie więcej infekcji.

Jeśli dodamy do tego migracje wymuszone przez klimat i kurczące się grunty rolne, musimy przemyśleć nasze wyobrażenia tego, na czym polega dobre życie. ●

dr Marcus Ranney

• lekarz, fizjolog, biegacz długodystansowy, badał funkcjonowanie ludzkiego organizmu m.in. na kole podbiegunowym i w Alpach. Jego książka „Granice wytrzymałości. W poszukiwaniu barier ludzkiego organizmu” w przekładzie Aleksandry Paszkowskiej ukazała się właśnie nakładem wydawnictwa Copernicus Center Press. Jest dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34328799

WE WTOREK I ŚRODĘ W „WYBORCZEJ”

Co zmieni się w emeryturach i rentach w 2025 roku

EMERYTURY

Wzrosty emerytur w 2025 roku

Ile wzrosną emerytury od marca przyszłego roku?

Przed wstąpieniem do emerytury należy pamiętać o aktualizacji danych w systemie emerytalnym. Sprawdź, czy Twoje dane są aktualne, aby uniknąć problemów z wypłatą emerytury.

Wzrosty emerytur w 2025 roku

Wzrost emerytury
Wzrost emerytury w 2025 roku

RENTY

Wzrosty rent w 2025 roku

Owe świadczenia dla osób na rencie socjalnej

Przed wstąpieniem do renty należy pamiętać o aktualizacji danych w systemie rentowym. Sprawdź, czy Twoje dane są aktualne, aby uniknąć problemów z wypłatą renty.

Wzrosty rent w 2025 roku

Wzrost renty
Wzrost renty w 2025 roku

SPECJALNE DODATKI



W Hebronie jest ulica, Szuhada, wzdłuż której stoją palestyńskie domy, lecz Palestyńczycy nie mogą nią chodzić. Do swoich mieszkań muszą wchodzić od tyłu, po drabinie, przez dach

limie, w zachodniej Jerozolimie, w izraelskiej bazie wojskowej na końcu drogi, w szpitalu w Ramallah.

Abed miał „zielony” dowód, więc mógł pojechać wyłącznie do Ramallah. Krewnych z „niebieskimi” dowodami prosił, by sprawdzili, czy jego syna nie ma w którymś z jerozolimskich szpitali. Ustalenie tego, co się stało z Miladem, zajęło mu ponad 24 godziny.

Opisując, czym był ten dzień dla Abeda, ale także dla innych Palestyńczyków i Izraelczyków, których ten wypadek w jakiś sposób dotknął, chciałem przede wszystkim pokazać, jak głęboko niesprawiedliwy jest ten system kontroli i segregacji.

Żeby to zrobić skutecznie, potrzebowałem mocnej historii, która pozwoli czytelnikom utożsamić się z bohaterem i nie tylko zobaczyć, ale wręcz poczuć, jak ten system przekłada się na codzienność konkretnego człowieka.

Bo opowieści o tym systemie często brzmią sucho, bezdusznie. Przez to nudzą. Wielokrotnie się o tym przekonałem, kiedy próbowałem komuś tłumaczyć, czym

jest obszar A, B i C, czy o co chodzi z przepustkami.

Bo to jest bardzo skomplikowane. Proszę wyjaśnić.

– Po porozumieniach w Oslo tereny palestyńskie podzielono na trzy strefy. I pomijam teraz tereny zaanektowane przez Izrael w 1967 r., czyli wschodnią Jerozolimę oraz przylegające do niej palestyńskie wioski, do których należy m.in. Anata, skąd pochodzi Abed, częściowo zaanektowana przez Izrael.

Obszar A to obszar, gdzie Palestyńczycy mają największą autonomię, z palestyńską administracją i policją, co nie oznacza, że do miejscowości położonych na tych terenach izraelskie wojsko nie może wejść w każdej chwili.

Miejscowościami na obszarze B zarządza palestyńska administracja, ale już kontrolę nad bezpieczeństwem sprawują siły izraelskie.

Obszar C znajduje się pod całkowitą izraelską kontrolą – administracyjną i służb bezpieczeństwa. Co ważne, obszar

C jest największy, zajmuje ponad 60 proc. Zachodniego Brzegu i jest ciągły.

Obszary A i B to małe wyspy ograniczonej niezależności na tym „morzu” nadzorowanym przez Izrael. W sumie jest ich 165. Na obszarze C znajduje się większość żydowskich osiedli, izraelskie bazy wojskowe, rezerwat przyrody, parki narodowe i drogi szybkiego ruchu przeznaczone wyłącznie dla osadników.

Czytając pana książkę, cały czas musiałam wracać do map, żeby prześledzić, jaką dokładnie trasę jechał autobus, zobaczyć, że tuż obok miejsca wypadku znajdują się izraelski punkt kontrolny, baza wojskowa, osiedle...

– ...skąd mogła przyjść pomoc, lecz nie przyszła.

A z drugiej strony ktoś może powiedzieć – to był po prostu nieszczęśliwy wypadek. Kierowca ciężarówki, jak wykazało śledztwo, był niewykwalifikowany. Autobus, którym jechały dzieci, miał 27 lat i drewniany dach. Co ma do tego system?

– Na jednym z pierwszych spotkań autorskich prowadzący powiedział: „Ta książka opowiada o wypadku, który tak naprawdę nie był wypadkiem”. Spodobało mi się to sformułowanie.

Oczywiście to był wypadek w tym sensie, że kierowca przekroczył prędkość, stracił kontrolę nad pojazdem, a na drodze było bardzo ślisko. A jednocześnie wszystko, co się zdarzyło po tym, gdy ciężarówka wjechała w autobus, było całkowicie przewidywalną konsekwencją systemu, który zamknął te dzieci i ich rodziców w miejscu otoczonego z trzech stron murem i radykalnie pozbawił ich wyboru – dobrej, bezpiecznej szkoły, zabawy w bezpiecznych warunkach, możliwości swobodnego przemieszczania się, szybkiego dostępu do pomocy medycznej itd.

Zresztą to nie pierwszy raz, kiedy przez ten system doszło do tragedii. Kiedyś w tej samej enklawie mężczyzna miał zawał. Ratownicy na punkcie kontrolnym usłyszeli, że nie mogą wjechać karetką bez asysty wojskowej, czekali, w końcu pobiegli do pacjenta, lecz było już za późno.

Innym razem w Kafr Akab, dzielnicy, która też jest odgradzona od Jerozolimy murem, choć administracyjnie do niej należy, wybuchł pożar. I znów wozy strażackie zostały zatrzymane na punkcie kontrolnym, zginęli ludzie.

Ta polityka wpływa na każdy aspekt życia, włącznie z intymnymi wyborami. Abed poważnie rozważał, czy nie ożenić się z kobietą, która ma „dobry” dowód, bo jego praca w Jerozolimie ze względu na to, że ma „zły” dowód, jest zagrożona. Jego brat się na to zdecydował.

Ponieważ Izraelowi zależy na tym, by w obszarze administracyjnym Jerozolimy mieszkało jak najmniej Palestyńczyków, wysłała na drugą stronę muru, do palestyńskich dzielnic, które wciąż administracyjnie należą do Jerozolimy, inspektorów – przychodzą niezapowiedziani i sprawdzają, czy zameldowane pod danym adresem osoby rzeczywiście tam mieszkają.

Co, jeśli nie?

– Jeśli na przykład mieszkają z rodziną w części miasta, która już nie należy do Jerozolimy, ale chcą zatrzymać to mieszkanie dla siebie, to „niebieskie” dowody są im odbierane. A wraz z nimi ubezpieczenie, prawo do korzystania ze służby zdrowia, a także możliwość odwiedzania bliskich, którzy nadal mieszkają w Jerozolimie. Wiele osób żyje więc w strachu, że straci swoje „niebieskie” dowody i status rezydenta.

Budowa muru separacyjnego zaczęła się na początku lat dwutysięcznych, po drugiej intifadzie, z konkretnego powodu – żeby chronić Izraelczyków przed

kolejnymi zamachami terrorystycznymi. Dziś ta zaporą rozciąga się z północy na południe i ma ponad 700 km długości. – Kwestie bezpieczeństwa to oficjalny powód budowy muru. Choć nie należy zapominać, że wiele osób, w tym prawicowi Izraelczycy, byli temu przeciwni, ponieważ mur potencjalnie stanowił przyszłą granicę z Palestyną, a im się marzyła aneksja całego Zachodniego Brzegu.

Inni zwracają uwagę na to, że są obszary, gdzie w murze są „dziury”, przez które Palestyńczycy z Zachodniego Brzegu – przynajmniej przed 7 października 2023 r. – mogli swobodnie przechodzić. No to jak to w końcu jest z tym argumentem o bezpieczeństwie?

Pomysłowi na mur przyświecała jeszcze jedna motywacja, o której wspominałem – wypchnięcie jak największej liczby Palestyńczyków poza Jerozolimę zgodnie z ideą, która przyświeca izraelskiej polityce od lat: maksimum terytorium, minimum Arabów.

Nie mówiąc o tym, że mur, który miał przebiegać wzdłuż „zielonej linii” [linii demarkacyjnej z 1949 r.], w wielu miejscach oddala się od niej, zagarniając ok. 10 proc. palestyńskich ziem.

W samej Jerozolimie mur separacyjny miał jeszcze jedną konsekwencję.

Jaką?

– Całkowicie zmienił okoliczny krajobraz. Kiedy powstał, po izraelskiej stronie ceny nieruchomości tak poszły w górę, że Palestyńczycy z „niebieskimi” dowodami, których przestało być stać na mieszkanie tam, zaczęli się masowo przenosić do dzielnicy po drugiej stronie muru, gdzie naprędce wznoszono kolejne wielopiętrowe bloki. Dziś, niegdyś wiejski krajobraz szpecą ciasno zabudowane blokowiska kiepskiej jakości.

Ciekawe, że główny architekt muru Dany Tirza uważa się za człowieka pokoju.

– Tirza był zaangażowany w negocjacje z Palestyńczykami dotyczące terytorium od samego początku. I to on jako główny ekspert od map wyznaczył strefy A, B i C. Jest też pułkownikiem izraelskich sił zbrojnych, więc było oczywiste, że to jemu przypadnie zadanie nadzorowania tak poważnego przedsięwzięcia, do którego zaangażowano wielu specjalistów. Jednocześnie Dany mieszka w Kefar Adummim – izraelskim osiedlu na Zachodnim Brzegu...

...które – jak inne tego typu osiedla według prawa międzynarodowego – jest nielegalne.

– Dany jest innego zdania. Co więcej, uważa, że jego osiedle może zostać w tym miejscu, stanowić część państwa Izrael, a jednocześnie możliwe jest porozumienie z Palestyńczykami. Jak pani spyta jakiegokolwiek Palestyńczyka, co o tym myśli, odpowie: „Nie ma mowy! Jeśli to osiedle tu zostanie, nie będzie żadnego państwa palestyńskiego”.

Według Dany’ego jego pozycja nie jest wcale wroga, tylko rozsądna. Poza tym „są ważniejsze sprawy niż ziemia, np. gospodarka. A co do reszty, można się jakoś dogadać”. Tak jak pani powiedziała, Dany uważa się za rozjemcę. Kompletnie nie jest w stanie przyjąć palestyńskiego punktu widzenia.

Innym ciekawym bohaterem jest Beber Vanunu, osadnik. Dlaczego zdecydował się pan o nim opowiedzieć?

– Beber jest wyjątkowym typem osadnika, bo osadnictwo jest z zasady projektem aszkenazyjskich Żydów, a on jest Żydem mizrachijским, pochodzącym z Afryki Północnej. Urodził się w Maroku, jako małe dziecko wyemigrował z rodzicami do Izraela i jak wielu innych Mizrachijczyków doświadczył potwornej biedy i dyskryminacji.

Wychowany w jerozolimskich slumsach w którymś momencie zapragnął stworzyć lepsze, godniejsze miejsce do życia dla „swoich” ludzi. Tak powstało osiedle Adam,



Po izraelskiej stronie Jerozolimy ceny poszybowały, Palestyńczycy zaczęli przenosić się na drugą stronę muru, gdzie naprędce budowano blokowiska

**Któregoś dnia mama powiedziała:
„Wiesz, babcia marzyła, żeby kiedyś
zamieszkać z tobą w Jerozolimie.
Może byś pojechał na jedną z tych
darmowych wycieczek?”**

tuż obok miejsca wypadku. Historia mizrachijskich Żydów stanowi ważną część historii Izraela, dlatego chciałem o nim napisać.

Tego feralnego poranka Beber zobaczył dym i pobiegł zobaczyć, co się stało. Tyle że było już po wszystkim.

Wywiesił później baner z kondolencjami dla rodzin dzieci, które zginęły.

– Beber mówi płynnie po arabsku i uważa, że ma bardzo dobre stosunki z mieszkańcami Dżaby, palestyńskiej miejscowości, obok której doszło do wypadku. Nie widzi żadnego problemu w tym, że jego osiedle leży na ziemiach należących do Dżaby.

Jak Dany Tirza czy inni osadnicy nie jest w stanie spojrzeć na tę sytuację z palestyńskiej perspektywy. Jego perspektywę można podsumować tak: „zabieramy wam ziemię, uniemożliwiamy wam utworzenie własnego państwa, ale hej, po prostu żyjmy w pokoju!”.

Jakie znaczenie mają słowa: „Współczujemy wam”, „Razem z wami oplakujemy waszą stratę”, dla palestyńskiego rodzica, którego dziecko właśnie zginęło i który ma świadomość, że z żadnego z okolicznych izraelskich osiedli nie przysłała pomoc, chociaż mogła? Wygląda to raczej na gest, który ma pozwolić osadnikom wyzbyc się jakiegokolwiek odpowiedzialności za utrwalanie systemu, który sprawia, że ten dzień potoczył się tak, a nie inaczej.

Nie wierzy pan w szczerłość tego gestu?

– Motywacje na pewno są różne. I wierzę, że są osadnicy, którzy szczerze żałują tych dzieci. Ale jedną z tych motywacji jest też na pewno chęć posiadania dobrych relacji z palestyńskimi sąsiadami. Tyle że „dobre relacje” dla osadników nie oznaczają wcale, że przestaną oni rozbudowywać swoje osiedla, czy że wycofają się z zagarniętych ziem. Dla nich „dobre relacje” oznaczają wyłącznie to, że chcą mieć tu dobre, wygodne życie. I spokój.

Dlaczego spośród rodziców dzieci, które zginęły, wybrał pan akurat Abeda Salame?

– Kiedy Abed przeczytał książkę, zadał mi podobne pytanie: „W tej opowieści jest osoba, której losy są znacznie tragiczniejsze od moich. Dlaczego to mnie uczyniłeś głównym bohaterem?”. Miał na myśli Nansy, młodą matkę, której życie po wypadku całkowicie się rozpadło.

I co mu pan odpowiedział?

– Że poczułem z nim wyjątkową więź.

Ale jest jeszcze jeden powód. Biografia Abeda pozwalała mi opowiedzieć poprzez historię jego życia, czym jest izraelska okupacja dla Palestyńczyków. Abed pochodzi z rodziny, która niegdyś miała ogromne tereny w Anacie, miejscowości częściowo zaanektowanej przez Izrael.

Dziadowie Abeda należeli do miejscowej elity, byli muchtarami, a dziś na ich ziemiach stoi izraelska baza wojskowa. Sam Abed podczas pierwszej intifady został zrekrutowany przez szwagra do lewicowej frakcji OWP i w bardzo młodym wieku został jej lokalnym przywódcą.

Jak wielu innych Palestyńczyków, został potem aresztowany i trafił do ogromnego, nowo wybudowanego więzienia na pustyni Negew, gdzie był torturowany. Po wyjściu z więzienia otrzymał specjalny dowód, który uniemożliwił mu opuszczanie rodzinnej miejscowości, i słusznie przewidział, że system zezwoleń i przepustek wprowadzony po Oslo stanie się systemem regulującym, a tak naprawdę kontrolującym i utrudniającym życie Palestyńczyków.

W kolejnych latach przeżywał coraz większe rozczarowanie palestyńską polityką, itd. Można powiedzieć, że w jego biografii odbija się historia Palestyny.

Jak to możliwe, że Palestyńczyk z takim życiorysem zaufał panu, Żydowi mieszkającemu po drugiej stronie muru, do tego stopnia, że opowiedział panu najboleśniejsze szczegóły ze swojego życia?

– Powodów jest kilka. Do Abeda trafiłem osiem lat po wypadku, kiedy myślał, że historia jest już zamknięta. Przez te wszystkie lata pragnął opowiadać o tym zdarze-

niu, o śmierci syna, wspominać go, tyle że nikt nie chciał go słuchać.

Jego bliscy pogrzebali temat razem z Miladem, więc Abed żył otoczony milczeniem, którego wcale nie chciał. Kiedy przyszedłem do niego, ta historia się po prostu z niego wylała. Plakał. Przepraszalem go wtedy, że go narażam na takie emocje, lecz on za każdym razem odpowiadał: „Nie przepraszaj. Jestem ci wdzięczny. Czuję, że Milad jest tu razem z nami, i wiem, że na to nie wyglądał, ale uszczęśliwia mnie to”.

Myślę, że dla niego możliwość opowiedzenia tego po raz kolejny i kolejny była jakąś lecząca. Niedawno zresztą mówił mi, że trafił na YouTube na jakieś nagranie o książce po kantońsku, a kiedy usłyszał imię swojego syna, ogromnie się wzruszył. Przejmuję go, że tyle osób na świecie mówi o Miladzie.

Innym powodem jest to, że od samego początku dałem mu do zrozumienia, że nie chodzi mi wyłącznie o to, by opowiedzieć o wypadku, ale żeby pokazać, jak okupacja przekłada się na życie pojedynczych ludzi.

W Stanach Zjednoczonych książka miała premierę 3 października zeszłego roku. Trasę promocyjną zaczęliście razem.

– Najpierw byliśmy w USA, potem poleciliśmy do Wielkiej Brytanii. Mieliśmy podróżować przez sześć tygodni, jednak niedługo po 7 października przerwaliśmy trasę. Sytuacja na Zachodnim Brzegu zrobiła się bardzo trudna, więc Abed zdecydował, że chce wrócić do rodziny.

Poza tym – jak się pani domyśla – wiele naszych spotkań odwołano. Organizatorzy się przestraszyli, a jedno ze spotkań w Wlk. Brytanii, które miało być głównym wydarzeniem naszej trasy promocyjnej, zostało zamknięte przez policję.

Co ma pan na myśli, mówiąc, że sytuacja na Zachodnim Brzegu zrobiła się trudna?

– Po 7. października na jakiś czas enklawa, w której mieszka Abed, została całkowicie odcięta. Żeby to zrobić, wystarczy kilku żołnierzy – z jednej strony zamyka się punkt kontrolny, przez który przechodzi się do Jerozolimy, z drugiej – kładzie się kilka betonowych zapór pośrodku palestyńskiej drogi, i już.

130 tys. osób, w tym rodzina Abeda, zostało uwięzionych w środku. Poza tym wszyscy, którzy mieli pracę w Izraelu albo w żydowskich osiedlach, straciło ją, co pogorszyło i tak ich kiepską sytuację.

A kiedy drogę otwarto i znów można było wyjechać na Zachodni Brzeg, wielu ludzi bało się przemieszczać ze względu na rosnącą przemoc osadników. Szef starszego syna Abeda, z Ramallah, powiedział mu, żeby nie przychodził do pracy, bo to zbyt niebezpieczne, i żeby poszukał sobie lepiej innego zajęcia.

Czym był 7 października dla pana?

– Byłem absolutnie przerażony atakiem na cywilów.

Pierwszym obrazem, który zobaczyłem, było nagranie, na którym biała palestyńska ciężarówka jedzie po ulicach Sderot. Kiedy uświadomiłem sobie, co się właściwie wydarzyło – że palestyńska ciężarówka pełna bojowników była w stanie wyjechać ze Strefy Gazy i wjechać do izraelskiego miasta – wiedziałem, że czeka nas wojna, i to taka, jakiej jeszcze nie widzieliśmy.

Nikt, żaden wieloletni obserwator tego konfliktu, żaden izraelski analityk, nie wyobrażał sobie, że któregoś dnia zobaczy coś takiego. Przez kilka kolejnych dni trwałem w szoku, też z powodu nieadekwatnej reakcji izraelskiego wojska. Przecież w niektórych społecznościach Hamas utrzymywał kontrolę przez ponad dobę.

Bał się pan?

– O co?

O swoje bezpieczeństwo? O bezpieczeństwo pana żony i trzech córek?

– Nie. Bo na końcu, nawet jeśli Hamas pokazał, że jego możliwości są znacznie większe, niż ktokolwiek był sobie w stanie wyobrazić, to wciąż jest to walka słonia z myszą.

Hamas nigdy tak naprawdę nie był w stanie zagrozić egzystencji Izraela, więc ani 7 października, ani 8 października, ani później nie miałem poczucia, że moja rodzina może być w niebezpieczeństwie z tego powodu.

Owszem, tak się może stać, jeśli to miejsce pogrąży się w potwornej przemocy i w jeszcze większej opresji. I o tym teraz rozmawiamy z żoną: Czy słuszne jest wiązanie przyszłości naszych córek z Izraelem?

Rozmawiacie o wyjeździe?

– Tak, głównie ze względu na dzieci. Najczęściej te rozmowy inicjuje żona. Jest pogrążona w głębokiej depresji. Po wydarzeniach 7 października przez pierwsze pół roku płakała właściwie codziennie. Przeraza ją nasilający się rasizm w izraelskim społeczeństwie, normalizacja kary zbiorowej wymierzonej w Palestyńczyków, przekonanie, że oczywiste jest, że niewinni ludzie muszą zapłacić za zbrodnie Hamasu itd. Atmosfera jest tak zatruwająca, że zastanawiamy się, czy chcemy, żeby nasze dzieci nią nasiąkały.

Próbuje pan zrozumieć Izraelczyków, którzy myślą w ten sposób? Tych, którzy czują, że ich życie jest zagrożone, i chcą się bronić za wszelką cenę, bo wiedzą, że są państwa, które chętnie usunęłyby Izrael z mapy? Czy rozumie pan tych, którzy mają poczucie, że mur separacyjny to konieczność, i nie wykazują specjalnie entuzjazmu wobec rozwiązania dwupaństwowego?

– Rozumiem, dlaczego wielu Izraelczyków myśli w ten sposób i dlaczego po 7. października ich poglądy jeszcze się radykalizowały. A także dlaczego przekonanie, że my, Izraelczycy, musimy kontrolować Palestyńczyków już zawsze, nie możemy pozwolić im utworzyć suwerennego państwa ani mieć równych praw, bo wykorzystają to po to, żeby przypuścić na nas kolejny atak, jak ten 7 października – stało się tak powszechne.

Rozumiem to. Tak samo jak rozumiem, że biali z Południowej Afryki w czasie apartheidu byli absolutnie przekonani, że nie mogą dać czarnym równych praw, bo ci ich wymordują. Jestem w stanie wczuć się w tę mentalność, choć uważam, że przywoływa-

ny argument o bezpieczeństwie nie jest zasadny.

Co ma pan na myśli?

– Dam przykład. W Hebronie, na starym mieście, jest ulica, wzdłuż której stoją palestyńskie domy, lecz Palestyńczycy nie mogą nią chodzić. Tylko izraelscy osadnicy oraz turyści. Nazywa się Szuhada. Do frontowych drzwi tych domów przyspawano metalowe zapory, więc mieszkańcy, żeby dostać się do swoich mieszkań, muszą wchodzić od tyłu, po drabinie, przez dach.

Mówi się, że to środek bezpieczeństwa dla ośmiuset izraelskich osadników mieszkających w centrum miasta. Proszę to dobrze zobaczyć: aby chronić te osiemset osób, które założyły osadę w mieście zamieszkanym przez 200 tys. Palestyńczyków i chcą ją rozbudować, a przy tym zachowują się agresywnie wobec sąsiadów, na przykład regularnie obrzucając ich śmieciami, wprowadza się tak drastyczne rozwiązania.

Jeśli uzna pani, że to jest w porządku, że w centrum Hebronu mieszka ośmiuset osadników, a więc oczywiste jest, że należy ich bronić, to odcięcie Palestyńczyków od dostępu do własnych domów wydaje się racjonalne, prawda? Ta mentalność jest obecna w wielu miejscach.

I rozumiem, dlaczego Izraelczycy chwytają się takich rozwiązań, a także to, że uważają je za konieczne, a jednocześnie kwestionuję przesłankę, na bazie której takie przekonania powstają. Na przykład to, że Żydzi mają prawo do założenia swojej społeczności w centrum Hebronu.

Widzi pan jakieś rozwiązanie tej sytuacji?

– Nie wierzę, że ono się pojawi za mojego życia. Myślę, że ta polityka będzie kontynuowana długo po mojej śmierci. Izrael będzie doświadczał kolejnych okresów eskalacji przemocy i będzie podejmował różne działania, by represjonować Palestyńczyków. A żydowskie społeczności na Zachodnim Brzegu będą się coraz bardziej rozbudowywały.

Co o pana poglądach sądzi społeczność, wśród której mieszka pan w Jerozolimie, pana sąsiedzi?

– Gdyby moi sąsiedzi zadali sobie trud wpisania mojego nazwiska w wyszukiwarkę Google’a, myślę, że mógłbym stracić mieszkanie. Mam serdeczne relacje z moim gospodarzem i z innymi osobami wokół, ale niewiele o mnie wiedzą poza tym, że jestem pisarzem i dziennikarzem i że byłem parę razy w Gazie. Nie znamą moich tekstów.

Oczywiście mam przyjaciół, Izraelczyków i Palestyńczyków, którzy myślą podobnie i są dla mnie ogromnym wsparciem, ale generalnie czuję się tu wyobcowany, bo jestem otoczony ludźmi, którzy albo otwarcie wspierają ten głęboko niemoralny system, albo są wobec niego obojętni.

Jak odebrano pana książkę w Izraelu?

– Na razie ten odbiór był bardzo ograniczony, bo nie ukazało się jeszcze tłumaczenie hebrajskie. Na marginesie, najtrudniej wydawcę było mi znaleźć w dwóch krajach – w Niemczech i w Izraelu. To się jednak chyba w końcu wydarzy, a wtedy – jak się spodziewam – spotkam się również z wrogimi reakcjami. Może się zrobić nieprzyjemnie.

Co pana właściwie trzyma w Jerozolimie?

– To praca mojego życia i czuję się moralnie zobowiązany, żeby ją kontynuować. Staram się naświetlić sytuację tutaj i próbuję, na ile mogę, choć trochę ją zmienić.

Wiem, że pana córki chodzą do specjalnej szkoły. Co to za szkoła?

– Dwujęzyczna, w której dzieci uczą się po hebrajsku i po arabsku. Stworzyli ją rodzice z takim założeniem, że w każdej klasie będzie równa liczba dzieci żydowskich i palestyńskich. W tej chwili są trudności z utrzymaniem tego modelu, szczególnie w młodszych rocznikach.

Trudno znaleźć żydowskich rodziców, którzy chcieliby posyłać do niej swoje dzieci, ale w starszej klasie, do której chodzi moja najstarsza córka, to się wciąż udaje. Niektóre jej przyjaciółnie z palestyńskimi koleżankami trwają od przedszkola. To miejsce boryka się z wieloma problemami i konfliktami, a jednocześnie jest oazą. Nie wyobrażam sobie, żeby moje córki chodziły do zwykłej publicznej podstawówki.

W jakim sensie jest oaza?

– Widok żydowskich i palestyńskich uczniów razem oraz żydowskich i palestyńskich nauczycieli razem jest czymś wyjątkowym w tym mieście. W ogóle w tym kraju. Jest tylko kilka takich szkół.

Problem w tym, że takie miejsca są często wykorzystywane do celów propagandowych. Ministerstwo edukacji uwielbia się nimi chwalić, kiedy do Jerozolimy przyjeżdża jakiś zagraniczny dyplomata. Pokazać, jacy to jesteśmy otwarci, jak współistniejemy w zgodzie, podczas gdy taka szkoła w żaden sposób nie odzwier-

ciedla izraelskiego systemu edukacji. Jest na jego tle totalną anomalią.

Ma pan kontakt z Abedem?

– Widzieliśmy się raptem przedwczoraj. Sytuacja na Zachodnim Brzegu jest bardzo przygnębiająca. Ludzie codziennie śledzą wiadomości z Gazy, wiele z nich ma tam krewnych.

Najazdy izraelskiego wojska na Anateę się nasiliły, więc ludzie boją się wychodzić z domu. Nałożono takie ograniczenia na przemieszczanie się, że pokonanie półgodzinnego niegdyś dystansu w tej chwili zajmuje kilka godzin. Abed jest bez pracy. Był taksówkarzem, lecz ze względu na restrykcje przestał mieć zlecenia.

Czy po 7 października ktoś pytał go o jego reakcję na atak Hamasu?

– Nieraz. I Abed za każdym razem dawał jasno do zrozumienia, że zawsze był przeciwny zabijaniu cywilów. Kropka.

Czy to pytanie pana irytuje?

– Nie. Ale gdybym był Palestyńczykiem, to by mnie irytowało. Tyle że ono brzmiałoby wtedy inaczej: „Czy potępia pan Hamas?”. Mnie nikt takiego pytania nie zadaje. Nie pytają mnie, czy potępiam to, co się stało 7 października. Palestyńczyków to frustruje, bo nie pyta się Izraelczyków, czy na przykład potępiają głodzenie całej ludności Gazy po 7 października? ●



FOT. JUDY HEIBLUM

*Nathan Thrall

• amerykański dziennikarz i eseista. Za reportaż „Jeden dzień z życia Abeda Salamy” został uhonorowany Nagrodą Pulitzera 2024. Jego teksty na temat Izraela i Palestyny ukazywały się w „New York Times Magazine”, „London Review of Books” i „New York Review of Books”, były tłumaczone na kilkanaście języków. Przez dekadę był dyrektorem projektu arabsko-izraelskiego w International Crisis Group, gdzie zajmował się sprawami Izraela, Zachodnim Brzegiem Jordanu, Strefą Gazy i stosunkami Izraela z sąsiadami. Mieszka w Jerozolimie z żoną i trzema córkami.

REKLAMA

Kraj/34328784



HYUNDAI

Official Partner

10.

Olsztyn

green

FESTIVAL

15—17 Sierpnia



IONIQ 5

Na festiwal zaprasza Was marka Hyundai

Ziomalka WYGRYWA NA TIKTOKU

Ale to The Don
może śmiać się ostatni

Mateusz Mazzini

Odybśmy rozmawiali tydzień wcześniej, byłabym załamana. Może nawet zaczęłabym ci tu płakać. A teraz, pierwszy raz od dawna, myślę, że to się nawet może udać.

Przyjaciółka z czasów studenckich poprawia okulary przeciwsłoneczne, sięga po mrożoną kawę. Siedzimy w centrum Warszawy, ogrzewani promieniami zachodzącego słońca, w temperaturze, do której mnie wciąż ciężko się przyzwyczaić. Ona moje narzekania od razu zbywa, i to argumentem, z którym polemizować nie mogę: – No, jest gorąco. Ale w Waszyngtonie jest teraz dużo gorzej.

Choć w sieci mamy regularny kontakt, a media społecznościowe właściwie bez pytania o zgodę poinformowały nas o wzajemnych ślubach, przeprowadzkach i innych ważnych decyzjach życiowych, widujemy się raz na kilka lat. Dystans pomiędzy stolicami Polski i Stanów Zjednoczonych jest mimo wszystko spory, nawet jeśli dekadę po ukończeniu studiów oboje zajmujemy się tym samym – pisaniami o coraz bardziej skomplikowanym świecie.

Ona, amerykańska Żydówka, przyjechała tu zbierać materiały do nowej książki. Przez ostatnie lata ciężko było za nią nadążyć, widziałem tylko, jak przechodzi z jednej do drugiej, coraz to lepszej redakcji, czy to w Nowym Jorku, czy w Waszyngtonie. Teraz sama napisała, kilka tygodni wcześniej: spotkajmy się, nadgonimy czas po pandemii. Oboje chyba jednak wiedzieliśmy, że nie będziemy rozmawiać o wspólnych znajomych, kredytach na mieszkanie czy planach na wakacje. Nawet jeśli parę razy rzeczywiście próbowaliśmy. Nie miało to większego sensu, rozmowa i tak schodziła na amerykańską kampanię prezydencką.

Kawę mrożoną zamawiamy parę dni po tym, jak Joe Biden wycofał się z rywalizacji o Białą Dom. Zastąpi go Kamala Harris, choć wtedy jeszcze jest dla nas obojga po

prostu „faworytką do wygrania nominacji”, a nie pewną kandydatką Partii Demokratycznej. Oczy mojej przyjaciółki wyraźnie zapalają się, kiedy mówi o obecnej wiceprezydent. Ten entuzjazm rozlewał się zresztą już wtedy po większości liberalnej części amerykańskiego społeczeństwa.

Miliony dolarów nowych datków kampanijnych trafiają na konta Demokratów. Media społecznościowe zapłonęły miłością do Harris, która nieoczekiwania stała się bohaterką memów i filmików na TikToku.

Paliwa temu internetowemu szaleństwu dodała brytyjska piosenkarka Charlie XCX, autorka jednego z najbardziej przebojowych albumów tego lata, „Brat”. Słowo to na polski tłumaczyć można na kilka sposobów, bo to kolokwializm używany w różnych kontekstach. Sądząc jednak po sugestiach samej autorki, chodzi tu o kogoś, kto jest cool i odważny jednocześnie, może trochę niepoprawny, ale dobrze czuje się na imprezach, w większym tłumie – nawet jeśli w ocenie niektórych takie zachowanie jest pretensjonalne, wręcz wulgarne. Piszę więc Charlie XCX na Twitterze, że „Kamala Harris jest brat”, a wyborcy, zwłaszcza młodzi, zamieniają to w ocean wspierających jej kandydaturę treści internetowych.

I już wcześniej wynajdują ujmującą wypowiedź wiceprezydentki sprzed roku, w której cytowała swoją matkę mówiącą „o młodzieży, która myśli, że urwała się z palmy kokosowej”. Remiksują, podkładają jako ścieżkę dźwiękową pod swoje tańce na TikToku.

Internet zdaje się być w całości za Kamalą i nawet liberalni dziennikarze, w ostatnich tygodniach raczej krytyczni wobec Partii Demokratycznej, dają się temu porwać. Ezra Klein, felietonista działu opinii „New York Timesa”, który od lutego nawołuje do przeprowadzenia otwartej konwencji i wyłonienia nominata partii w głosowaniu, przyznaje się, że ogarnia go wielki optymizm. W podobnym tonie, przynajmniej przez pierwsze dni po rezygnacji Bidena, wypowiadają się najważniejsze głosy „Wa-

• **Kamala Harris stawia lody siostrzenicom w lodziarni Smize & Dream, którą właśnie z pompą otworzyła w Waszyngtonie sławna modelka i prezenterka Tyra Banks**

FOT. REUTERS/NATHAN HOWARD



shington Post”, „Atlantica”, „New Yorker”. Choć w niektórych przypadkach ciężko stwierdzić, czy szacowni autorzy bardziej cieszą się, że nie muszą już oglądać zmęczonego prezydenta pchającego kraj w objęcia Trumpa, czy autentycznie widzą w Kamali Harris kogoś, kto jest w stanie wygrać prezydenturę w listopadzie.

Jakby tego mało, pojawiają się pierwsze sondaże. W trzech z czterech największych badań opublikowanych w pierwszym tygodniu po wycofaniu się Bidena, Harris odnotowała wynik o 3 punkty procentowe lepszy od swojego obecnego szefa. Całościowo przegrywa jeszcze z Trumpem, zarówno wśród zarejestrowanych wyborców obu partii, jak i wśród tych, którzy deklarują, że „prawie na pewno” pójdą głosować w listopadzie – ale to często różnice w granicach błędu statystycznego.

Wydaje się więc, że wahadło przechyliło się w drugą stronę. Jeszcze kilkanaście dni temu Demokraci szli na dno, ciągnęci tam przez upór Bidena i własne grzechy – izolowanie się Białego Domu od krytycznych głosów, ślepą wiarę w powodzenie prezydenckiej kandydatury, niechęć do dawania szans

młodszemu politykom. Teraz ich członkowie i sympatycy zachowują się, jakby szli po pewne zwycięstwo.

Nie za szybko?

Ani fali entuzjazmu, ani milionów dolarów wpłacanych na kampanię lekceważyć nie można. Ale do sukcesu Kamali jeszcze bardzo daleko – i mówienie, że obóz Trumpa się po tej zmianie nie pozbiera, bo akurat teraz jest w defensywie, jest po prostu myśleniem życzeniowym.

Powtórzę w tym miejscu zdanie, które na łamach „Wyborczej” napisałem już w ostatnich tygodniach kilkakrotnie: ta kampania miała być już rzekomo przesądzona co najmniej cztery razy tylko w okresie od kwietnia do lipca.

Najpierw gwoździem do politycznej trumny Trumpa miał być wyrok skazujący w manhattańskim procesie karnym, i to z żenującym obyczajowo-finansowym posmakiem – za zaksięgowanie 130 tys. dolarów mających uciszyć gwiazdę porno Stormy Daniels podczas kampanii 2016 roku jako opłat prawnych, a nie wydatków wyborczych. Potem wieszczono z kolei klęskę Bidena z powodu protestów studenckich w sprawie Palestyny. Już definitywnie miała pogrzebać jego szanse czerwcową debata, aż wreszcie Trump przez wielu został intronizowany na prezydenta po tym, jak uniknął śmierci w zamachu. Zwłaszcza ten ostatni moment był uznawany za kluczowy z powodów, które nazwać można wyłącznie komicznymi – przewidywano, że były prezydent wygra, bo dobrze wypadł na zdjęciach zrobionych mu chwilę po ataku zamachowca. Wystarczyło jednak, żeby Demokraci wymienili kandydata, i optyka całego wyścigu zmieniła się całkowicie.

Żeby mieć szanse, Harris musi stworzyć Kamalę inną od tej, którą była jako wiceprezydent u Bidena. **Odciać od „kraju w ruinie”, postawić na aborcję, czarne kobiety i młodzież**



Za wcześniej więc, żeby przesądzać, kto jest zdecydowanym faworytem, a kto na pewno przegra. I prawdopodobnie do samego finiszu kampanii nie będzie takiej pewności.

Tym bardziej że przed Harris i jej sztabem sporo wyzwań. Można zacząć je wymieniać właśnie od sondaży. Pozytywny trend jest oczywiście ważny, ale obecne wyniki i tak nic jej nie dają. Jak podkreśla Aaron Blake, reporter „Washington Post”, Demokraci, żeby myśleć o wygraniu walki o Białą Dom, muszą w skali kraju prowadzić kilka punktami. Tak po prostu wygląda amerykańska matematyka wyborcza – wszystko rozbija się o to, kto wygra w którym stanie i ile zdobędzie głosów w Kolegium Elektorów.

Poza tym, jak zauważa Anthony Scaramucci, były waszyngtoński bankier inwestycyjny, który przez krótką chwilę pracował dla Trumpa w Białym Domu, to właśnie były prezydent ma więcej tak zwanych „dróg do prezydentury”. Niemal pewne jest, że wygra na Florydzie – czyli w stanie niegdyś niepewnym, a dla liczenia głosów kluczowym, dającym aż 30 głosów. Demokraci, żeby myśleć o triumfie, potrzebują sukcesów w Wisconsin, Michigan i przede wszystkim w Pensylwanii. W ten sposób odtworzyliby tak zwany „niebieski mur”, wart aż 44 głosy elektorskie.

W tym ostatnim stanie Harris wygrać będzie jednak bardzo trudno, bo historycznie była wielką przeciwniczką szczelinowania hydraulicznego, metody używanej między innymi do pozyskiwania gazu ziemnego z łupków. W Pensylwanii to przemysł wart miliardy i dający wiele miejsc pracy, bez parcia tego sektora triumfować się tu nie da. I niewiele zmienia fakt, że sztabowcy Har-

ris już zapowiedzieli, że federalnego zakazu szczelinowania nie wprowadzą. Do zbudowania wiarygodnego przekazu potrzeba będzie więcej.

Przed wszystkim jednak Demokratka stoi przed olbrzymim wyzwaniem zbudowania własnej tożsamości kampanijnej. Żeby mieć szansę na prezydenturę, będzie musiała stworzyć Kamalę w dużej mierze inną od tej, którą była jako wiceprezydent u Bidena.

Główną bolączką Demokratów przed zmianą kandydata był fakt, że pomimo relatywnie dobrego stanu gospodarki wyborcy nie przypisywali tego sukcesu obecnej administracji. Wprawdzie za „kraj w ruinie” bardziej obwiniali samego Bidena, ale Harris też jest z tą narracją identyfikowana. Teraz będzie musiała się całkowicie od niej odciąć. I wcale nie jest powiedziane, że ten zabieg się powiedzie.

Już raz próbowała to zrobić, kiedy w 2019 r. ubiegała się o prezydenturę po raz pierwszy. Wtedy musiała szybko przepoczwaczyć się z popularnej w Kalifornii prokurator promującej „inteligentne podejście do walki z przestępczością” w kogoś, kto porwie tłumy w całym kraju. Nową opowieść o sobie próbowała oprzeć na kwestiach tożsamościowych. Mówiła o swoim imigranckim pochodzeniu, grała kartami płci i rasy – bez rezultatu. Tamta jej kampania była nudna, pełna frazesów, pozbawiona jakiegokolwiek charyzmy. Skończyła się szybko, Harris wycofała się w grudniu 2019 r. I słusznie, nigdy nie miała szans na nominację.

Wiceprezydentom nigdy nie było w USA łatwo opowiedzieć siebie na nowo. Hubert

Humphrey, Walter Mondale i Al Gore próbowali zrobić to w szeregach Demokratów – żaden nie został głównym lokatorem Białego Domu. U Republikanów fiaskiem zakończyła się kampania Dana Quayle’a, wiceprezydenta u George’a Busha seniora. Nawet Richard Nixon, który był osiem lat zastępcą Eisenhowera, na triumf w wyborach prezydenckich czekać musiał kolejne osiem lat, w międzyczasie przegrywając jeszcze wybory na gubernatora Kalifornii.

Harris oczywiście próbuje, działa szybko i sprawnie – i za to trzeba ją chwalić. Podobnie jak za zwiększenie w kampanii roli Briana Fallona, cieszącego się doskonałą reputacją specja od politycznego PR-u, dawniej związanego z Hillary Clinton. Jej sztab wysłał pierwsze sygnały nowej narracji – Harris ma mówić o tym, że to „wybory całego społeczeństwa”, uderzać w Trumpa jako skazańca, więcej mówić o aborcji i prawach reprodukcyjnych. Chce dotrzeć przede wszystkim do wyborców o korzeniach latynoskich, do młodzieży i do osób czarnoskórych, zwłaszcza kobiet. Z czarnymi mężczyznami będzie jej ciężiej, bo Trump ma akurat wśród nich spore poparcie.

Problem w tym, że mimo to ona jeszcze nie ma swojej własnej opowieści – a Republikanie już doskonale wiedzą, co chcą o niej mówić.

Na niedawnym wiecu w Karolinie Północnej Trump dał już przedsmak tego, jak ta kampania będzie wyglądać do samego końca. Powiedział, że „nie będzie już miły”, choć jeszcze niedawno, po zamachu, jego sztab forsował przekaz o zgodzie narodowej. Zawsz idą już ataki na Harris przedstawiające ją jako „ultraliberalną światopoglądowo Kalifornijkę”. Wypomina się jej, że w kam-

Nixon, Mondale, Al Gore – wiceprezydenci w wyborach w USA zawsze mają pod górkę

panii 2020 roku była raczej po lewej stronie partyjnej sceny, bliżej Berniego Sandersa niż Bidena. Niektórzy Republikanie otwarcie piszą, że drugą osobą w państwie została wyłącznie ze względu na kolor skóry.

Najdalej oczywiście posunął się sam Trump, wyciągając starą plotkę, jakoby Harris karierę zbudowała przez łóżko, wdając się w romans z Willem Brownem, burmistrzem San Francisco. Efekt? W prawicowym internecie Kamala Harris momentalnie została okrzyknięta prostytutką. Co prawda Mike Johnson, przewodniczący Izby Reprezentantów, zrugął kolegów Republikanów, nakazując im atakować nie kwestie tożsamościowe, ale słabe osiągnięcia polityczne wiceprezydentki – trudno jednak spodziewać się, żeby partyjne doły go posłuchały. Partia Republikańska to już dawno nie jest ugrupowanie hierarchiczne, w którym liderzy mieli posłuch i egzekwowali dyscyplinę. A jeśli poniżej pasa uderza sam Trump, jego poplecznicy będą na pewno mu wtórować.

– Będzie brzydko. Bardzo brzydko, przygotuj się – podsumowuje przyjaciółka znad pustego już kubka po mrożonej kawie.

– Myślisz, że Harris to wytrzyma? Jej sztab to uniesie? – dopytuję, nieco przerażony, bo z mojej perspektywy wszystkie normy etyczne w amerykańskiej polityce przecież już dawno zostały przekroczone.

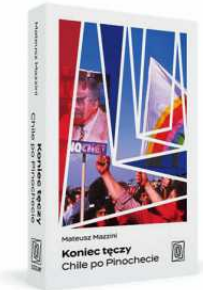
– Nie wiem. Ale jak chce wygrać, to musi być gotowa na wszystko. Tak teraz wygląda nasz kraj. ●



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCIA GAZETA

Mateusz Mazzini

• (ur. w 1990 r.) – reporter, socjolog, latynoamerykanista. Absolwent Oksfordu, studiował także w Kordobie i Bilbao oraz na University College London. Pisze o krajach Ameryki Łacińskiej, globalnego Południa, wydarzeniach na zachodzie i południu Europy oraz o europejskiej skrajnej prawicy. Nominowany do Grand Press za reportaż prasowy w 2020 r. Autor książek „Koniec tęczy. Chile po Pinochecie” oraz „Włochy prawdziwe. Podróż śladami mafii, migracji i kryzysów”.



THE NEW YORK TIMES:

JAK ELON MUSK PRZESTAŁ SIĘ BAĆ
I POKOCHAŁ
TRUMPA

Najbogatszy człowiek świata, niegdyś głęboko sceptyczny wobec Donalda Trumpa, teraz poparł go – i wyrósł na główną postać w kampanii prezydenckiej.

Theodore Schleifer, Ryan Mac,
The New York Times

Niespełna trzy miesiące temu Elon Musk przybył do Montsorel w Palm Beach na Florydzie, wyglądającym jak pałac kompleksie należącym do Nelsona Peltza, słynnego inwestora. Najbogatszy człowiek świata zatrzymał się w hotelowej części rozległej posiadłości.

Celem spotkania – według jego świadka – nie było jednak podziwianie widoków na ocean: Peltz zebrał grupę miliarderów, konserwatywnych finansistów – w tym Steve’a Wynna, magnata kasynowego z Las Vegas, i właściciela funduszy hedgingowych Johna Paulsona – aby zastanowić się, czy Republika nie mogą przejąć kontrolę nad Senatem, a także czy partia nie prowadzi zbyt słabej kampanii na poziomie lokalnym.

Ale Musk przywiózł tego dnia znacznie mroczniejsze refleksje. Powiedział zebranym, że tegoroczne wybory mogą być ostatnimi wolnymi w Ameryce – ponieważ jeśli prezydent Biden wygra reelekcję, miliony imigrantów przebywających w USA bez papierów lub dopiero zamierzających tu dostać otrzymają prawo do legalnego pobytu, a amerykańska demokracja jaką znamy przestanie tym samym istnieć.

Musk: Trump musi wygrać

Szef Tesli i SpaceX udzielił także kilku rad weteranom finansjery, którzy mają za sobą dekady zdobywania doświadczenia w republikańskiej polityce: otóż powiedział im, że nacisk kładziony przez nich na reklamę polityczną jest błędem.

Jako argument podał przykład należącej do niego Tesli, firmy produkującej samochody elektryczne: prawie w ogóle się nie reklamuje, ale mimo to zbudowała kult wokół swojej marki, głównie poprzez stanie się tematem zwykłych rozmów między ludźmi. Dlaczego Republikanie nie mogliby zrobić tego samego wokół własnej agendy?

Najważniejszą, najskuteczniejszą rzeczą, jaką mogliby zrobić zebrani tego dnia w Palm Beach finansjści, dodał Musk, byłoby po prostu przekonanie dwóch konkretnych osób do poparcia Trumpa i nakłonienie ich do przekonania dwóch kolejnych. W ten sposób były prezydent miałby wygraną w kieszeni – przekonywał.

Komfort prawicowych sympatii

Musk właśnie zakończył swoją długą drogę od idealistycznego zwolennika Demokratów pokroju Baracka Obamy w zagorzałego sojusznika Trumpa, do którego zbliżał się stopniowo od miesięcy, a ostatecznie poparł

go niespełna pół godziny po próbie zamachu na byłego prezydenta na wiecu w Pensylwanii.

Doszło do tego, że sztab Trumpa w pewnym momencie namawiał Muska do wygłoszenia przez niego przemówienia na Narodowej Konwencji Republikanów w Milwaukee, podczas której partia formalnie nominowała Trumpa, a on wskazał swojego kandydata na wiceprezydenta, J.D. Vance’a. Musk jednak odmówił.

Musk wyraźnie nigdy dotąd nie czuł się tak komfortowo, ujawniając swoje konserwatywne sympatie. Jednak rola, jaką odegrał we wspieraniu Republikanów finansowo, nie jest powszechnie znana, częściowo dlatego, że dotąd starał się unikać przekazywania publicznych darowizn.

Teraz jednak wyłonił się jako centralna postać w wysiłku prezydenckim, czego dowodem wymierzone w niego osobiście ataki sztabu Demokratów, a z drugiej strony celebrowanie jego wsparcia przez nich niczym postać nieomal mityczną.

Musk, człowiek żywiołowy i impulsywny, jest wściekły na liberalistów z powodu polityki migracyjnej czy dotyczącej praw osób transpłciowych, a zapewne jeszcze bardziej z powodu – jak sądzi – złego traktowania Tesli przez administrację Bidena.

Można powiedzieć, że Musk przechodzi właśnie charakterystyczny dla wieku średniego proces wyświeclenia siebie na nowo, który na razie doprowadził do tego, że wielu Republikanów dostrzega w jego fortunie realne paliwo, na którym Trump dojedzie z powrotem do Białego Domu. Ale czy Musk na to pójdzie?

Ten tekst oparliśmy na rozmowach z ponad 20 współpracownikami Muska, jego znajomymi i sojusznikami w Partii Republikańskiej, z których wielu nalegało na anonimowość. Sam Musk i jego bezpośredni doradcy nie odpowiedzieli na nasze prośby o komentarz. Wszystko to działo się także jeszcze przed ogłoszeniem przez Bidena, że wycofuje się z kampanii i namaszcza na swoją następczynię Kamalę Harris.

Trump nagle przestaje być przegrywem

Woody Johnson, skuteczny republikański fundraiser, za kadencji Trumpa ambasador w Wielkiej Brytanii, wyznał, że nawrócony Musk jest mile widziany w w partii. „Poznaj wszystkie pomysły – i wybierz najlepszy” – tak Johnson podsumowuje ideologiczną drogę Muska. „Nie ma na świecie takiego drugiego człowieka jak Musk. Jako Amerykanie mamy szczęście, że

go mamy. Jest najbardziej innowacyjny – nie licząc samego Trumpa, oczywiście”.

Musk miał kiedyś alergię na Waszyngton. Utrzymywał przyzwoite stosunki z Obamą i odbył kilka wizyt w Białym Domu, aby zbudować polityczne wsparcie dla Tesli i SpaceX, która produkuje dziś rakiety m.in. dla NASA. Ale generalnie nie lubił spotykać się z politykami i postrzegał darowizny kampanijne jako zło konieczne – mówią zgodnie cztery osoby, które z nim pracowały.

Na kilka dni przed wyborami w 2016 r. powiedział w stacji CNBC, że Trump „nie wydaje się do brze świadczyć o Stanach Zjednoczonych”. Już po wygranej Trumpa Musk wyznał współpracownikom, że wynik wyborów to „dowód na to, że żyjemy w symulacji”.

Z kolei w 2020 r. Musk, w prywatnej rozmowie z innym współpracownikiem, nazwał Trumpa „skończonym przegrywem”. Jeszcze dwa lata później Trump publicznie użył inwektywy pod adresem szefa Tesli, który w przekonaniu, że kariera polityczna Trumpa definitywnie dobiegła końca, szykował się już do oficjalnego wsparcia kandydatury gubernatora Florydy Rona DeSantisa, o czym donosił wtedy „NYT”.

Wielkie obietnice, ale mało dowiezionych

Już wtedy jednak Musk stawiał się obsesją wielu urzędników Trumpa i republikańskich fundraiserów, którzy postrzegają go jako wielką nadzieję partii – lub co najmniej źródło korzyści dla siebie. Ale przez lata Musk zyskał w kręgach politycznych reputację osoby chwiejnej.

Niektórzy konserwatywni aktywiści chcieliby, aby Musk w większym stopniu dotrzymywał obietnic – np. dotyczących finansowania pozwów związanych z wolnością słowa składanych przez ludzi, którzy uważają, że są cenzurowani w mediach społecznościowych.

Musk jest człowiekiem, którego trudno zmusić do działania według planu, który nie jest jego własnego autorstwa. Krążą o nim różne plotki w kręgach republikańskich. W 2023 r., kiedy Kevin McCarthy został wybrany na spikera Izby Reprezentantów, kalifornijski polityk wydał przyjęcie w Bibliotece Kongresu, zapowiadając, że Musk pojawi się tam i zabierze głos. Ale Musk zrezygnował w ostatniej chwili, rozczarowując zebrany tłum.

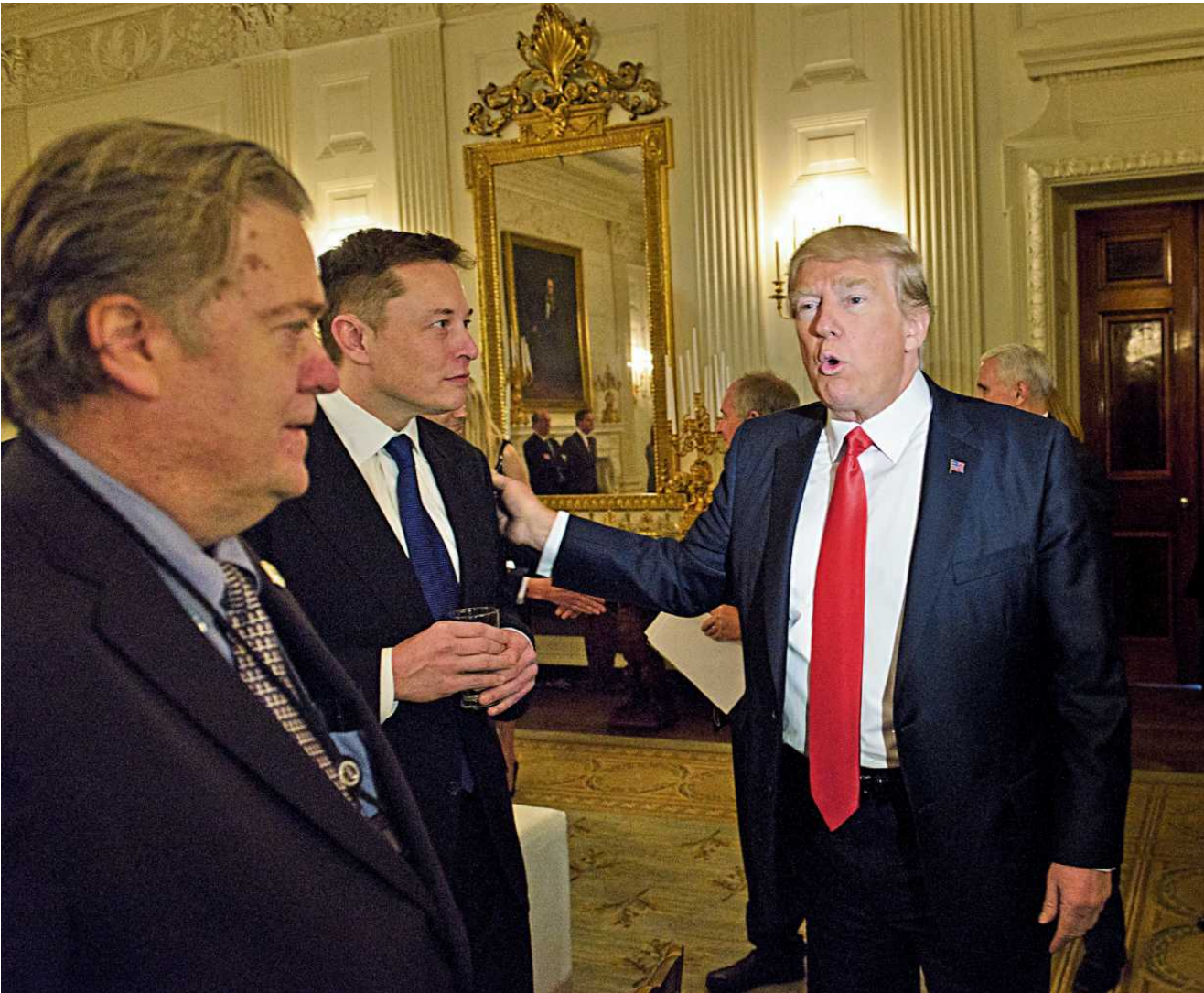
Musk bywał też niesłowny w blabszych kwestiach, np. w zeszłym roku napisał na X, że planuje przekazać 100 tys. dol. na rzecz GrowSF, centrowej grupy w San Francisco, aby pomóc jej pokonać w lokalnych wyborach progresywnego urzędnika miejskiego. Ale ostatecznie nie przekazał darowizny, ani nawet nie skontaktował się z grupą, jak przyznał Steven Buss, jeden z założycieli GrowSF.

Musk woli tzw. ciemne pieniądze

Musk długo deklarował, że stara się trzymać z dala od polityki i że nie przekazał żadnej darowizny na szczeblu federalnym od czasu kampanii z 2020 r. Sprawdził, że przynajmniej dołożył wszelkich starań, aby uniknąć pozostawienia śladu po jakichkolwiek dokonanych wpłatach.

Być może to rezultat trudnej lekcji, którą otrzymał w 2017 r., gdy przekazał swoją największą ujawnioną donację w historii – 50 tys. dol. na rzecz McCarthy Victory Fund. Ujawnienie tej darowizny ścigało na niego gniew liberalistów i liczne przykrości.

*Musk, człowiek żywiołowy
i impulsywny,
jest wściekły na liberalistów
z powodu polityki migracyjnej
czy dotyczącej praw osób
transpłciowych,
a jeszcze bardziej z powodu
– jak sądzi
– złego traktowania Tesli
przez administrację Bidena*



Jego znajomy twierdzi, że od tamtego czasu Musk woli nie chwalić się przekazywaniem pieniędzy na cele polityczne.

Ale jest otwarty na przekazywanie darowizn tzw. dark-money groups, czyli organizacjom typu non-profit, którym prawo w USA zezwala na gromadzenie środków na cele wyborcze bez ujawniania ich źródeł.

W ostatnich kontaktach z Republikanami Musk i jego współpracownicy wyrazili niechęć do przekazywania datków grupom, których wpływy muszą być na mocy prawa ujawnione. Kilka miesięcy temu Musk miał powiedzieć przyjacielowi, że chce zna-

Na kilka dni przed wyborami w 2016 r.

Musk powiedział,
że Trump „nie wydaje się
dobrze świadczyć o Ameryce”.
Już po wygranej Trumpa
wyznał współpracownikom,
że wynik wyborów
to „dowód na to,
że żyjemy w symulacji”.
Z kolei w 2020 r.,
w prywatnej rozmowie,
nazwał Trumpa
„skończonym przegrywem”

leżć sposób na wsparcie Trumpa, ale nie chce tego robić otwarcie.

Podczas republikańskich prawyborów zespół Muska prowadził dość zaawansowane rozmowy z ludźmi Viveka Ramaswamy’ego na temat przekazania dużej darowizny wspierającej kandydaturę tego przedsiębiorcy (Ramaswamy ostatecznie wycofał się z walki o nominację Republikanów i wsparł Trumpa), ale nieoficjalnie. Musk uczestniczył w dwóch zbiórkach pieniędzy dla Ramaswamy’ego, w Kalifornii i w Teksasie, ale ostatecznie odmówił wypisania czeku osobiście.

W 2023 r. poważnie rozważał przekazanie znacznej darowizny na rzecz American Action Network, kierowanej przez kampanię polityczną Kevina McCarthy’ego. Nie jest jasne, czy ostatecznie ją przekazał.

Przeciąganie liny o duszę Muska

Gdy Musk szukał pomocy dla swojego biznesu w polityce, ludzie, do których się zwracał, starali się na niego wpłynąć.

McCarthy’ego poznał dzięki poparciu, jaki były speaker Izby Reprezentantów udzielał SpaceX. Do teraz często wymieniają SMS-y, a Musk przez lata często polegał na McCarthy’u, jeśli chodzi o porady dotyczące meandrów waszyngtońskiej polityki i lobbingu.

McCarthy chętnie podkreślał swoje relacje z Muskem i dołożył wszelkich starań, aby je kultywować, według osób znających ich stosunki. Przeprowadził panelowy wywiad z miliarderem na ekskluzywnej konferencji w Sea Island w stanie Georgia, której gospodarzem był konserwatywny American Enterprise Institute, i zaprosił Muska do poprowadzenia wykładu dla fundraiserów w Wyoming. Musk pofatygował się nawet do Waszyngtonu na urodziny kongresmena w zeszłym roku.

To McCarthy pomógł zbliżyć Muska ze sztabem Trumpem, ale nie był w tych wysiłkach osamotniony. Trzech bliskich znajomych byłego prezydenta – Peltz, Wynn i Steve Witkoff, którego firma dużo zainwestowała w operację przejścia Twittera przez Muska – oraz nowy powiernik Muska, Diesel Peltz, syn Nelsona Peltza – to oni odegrali główną rolę w przekonywaniu Muska do porzucenia swoich wątpliwości dotyczących Trumpa. Musk często rozmawia także z Ramaswamym, który stał się faworytem Trumpa do objęcia któregoś z kluczowych stanowisk w jego ewentualnej nowej administracji.

Wynn powiedział nam, że Musk „mocno się zaangażował, aby doprowadzić do właściwego rezultatu tych wyborów”. „Powziął tę decyzję sam, bez żadnych nacisków” – zaznacza Wynn. „Elon jest rakieta z własnym napędem”.

Niektórzy ze znajomych Muska w Dolinie Krzemowej ucieszyli się z tego obrotu spraw, w tym członkowie tzw. mafii PayPal, czyli grupy wczesnych dyrektorów tej firmy, do której należą darczyńcy Trumpa David Sacks i Ken Howery. Musk mieszkał długo w generalnie liberalnym Los Angeles, ale bliscy mu ludzie powiedzieli nam, że jego polityczne poglądy zostały ostatnio ukształtowane przez bardziej konserwatywny krąg w Teksasie, dokąd Musk parę lat temu się przeniósł.

Musk zaniepokojony, co stanie się z jego firmami

Teksasńczyk Joe Lonsdale, współzałożyciel, wraz z m.in. Peterem Thielem, Palantiru – firmy zajmującej się technologią do analiz dużych zbiorów danych – i jego doradcy spędzili dużo czasu z Muskem, rozmawiając o polityce, a ten w prywatnych rozmowach zaczął wyrażać zmartwienie, co stanie się z jego firmami, „jeśli Teksas stanie się niebieski” [to kolor Demokratów – red.].

• Luty 2017 roku w Białym Domu: Trump i jego doradca Steve Bannon witają Muska przed spotkaniem z szefami amerykańskich firm strategicznych

FOT. BRENDAN SMIAŁOWSKI / AFP

Odkąd szef Tesli spotkał się z Trumpem w marcu, regularnie rozmawia z nim bezpośrednio. Musk przekonuje Trumpa do idei elektrycznej motoryzacji, a także opowiada mu o technologii stojącej za deep-fake’ami wideo

Prawicowy dryf Muska spotkał się z prywatnie wyrażaną dezaprobatą jego bardziej liberalnych przyjaciół i współpracowników. Niektórzy z nich powiedzieli nam, że otrzymali „zapewnienia od Muska, że nie przekazuje darowizn na kampanię Trumpa”.

Zwrot Muska ku politycznemu ekstremizmowi zaniepokoił przede wszystkim jego prawnika, Alexa Spiro. Spiro odmówił komentarza, ale wiadomo skądinąd, że zachęcał Muska, aby nie zrażał Demokratów do siebie i swoich firm, powołując się przy tym na słynne spostrzeżenie Michaela Jordana, że „Republikanie też kupują buty sportowe”.

Ostateczny zwrot ku Trumpowi

Wygląda jednak na to, że liberalni przyjaciele Muska przegrywają walkę o jego polityczną duszę. Odkąd szef Tesli spotkał się z Trumpem w marcu, regularnie rozmawia z nim bezpośrednio. Musk przekonuje Trumpa do idei elektrycznej motoryzacji, a także opowiada mu o technologii stojącej za deep-fake’ami wideo.

Jeszcze podczas kadencji Trumpa Musk zapytał swoich kierowników w Tesli, ilu z nich głosowało na Republikanów – i był zaniepokojony, gdy usłyszał, że żaden z nich.

W zeszłym miesiącu na dorocznym zgromadzeniu akcjonariuszy Tesli Musk przyznał: „Odbylem z Trumpem kilka rozmów, on zresztą dzwoni teraz do mnie bez szczególnego powodu, by pogadać”.

Musk i Sacks wiosną zaprosili na kolację w Los Angeles kilku miliarderów przeciwnych Bidenowi, by omówić sposoby zapobieżenia jego reelekcji.

Możliwość finansowego wsparcia kampanii Trumpa przez Muska zelektryzowała republikański sztab. Według dwóch osób, które rozmawiały o tym bezpośrednio z Muskem, co najmniej od początku tego roku miliarder rozważał z przyjaciółmi pomysł wsparcia Trumpa lub przynajmniej namawianie, aby nie głosować na Bidena. Miliarder miał oznajmić, że chce poczekać, aż urzędujący prezydent formalnie zdobędzie nominację Demokratów, zanim wyda oświadczenie w tej sprawie. Ale potem nastąpiła próba zamachu na Trumpa. Zaledwie pół godziny po niej Musk napisał na swoim profilu w X, że popiera Trumpa.

Lonsdale, założyciel Palantiru, pomógł rozwinąć nowy PAC (Political Action Committee), który finansuje agresywny program republikańskiej kampanii na poziomie lokalnym, a kilku przyjaciół Muska przekazało mu już miliony dolarów.

„The Wall Street Journal” doniósł, że Musk po zamachu na Trumpa miał zadeklarować przekazywanie nawet 45 milionów dolarów miesięcznie na rzecz tej grupy – co podnieciło zespół Trumpa i wzburzyło sztab Demokratów. Jednak Musk zaraz potem zareagował na te doniesienia w prywatnych rozmowach, dementując wysokość sumy, a ludzie związani z PAC Lonsdale’a przyznali, że choć spodziewają się darowizn od Muska, nadal nie wiedzą, jakie kwoty wchodzi w grę.

W ostatnich tygodniach Musk usilnie przekonywał Trumpa, aby wybrał senatora z Ohio J.D. Vance’a na swojego kandydata na wiceprezydenta. Skutecznie.

Trevor Traina, republikański fundraiser z San Francisco, który służył w administracji Trumpa i zna Muska towarzysko, widzi wiele podobieństw między nimi. „Co ważniejsze, sam Musk uważa, że musiał borykać się z takimi samymi kłopotami, co Trump – był uciszany, atakowany, odwoływany wskutek intryg – i w ciągu ostatnich kilku tygodni zdecydował, że wreszcie nadszedł czas, aby podjąć działania”.

tłum. Łukasz Grzymiśławski

© 2024 The New York Times Company

JAK ABP. JĘDRASZEWSKI OCZAROWAŁ FRANCISZKA

Polscy biskupi są podzieleni: po jednej stronie konserwatyści otwarci na nowe metody duszpasterskie, po drugiej konserwatyści, którzy nie lubią nowych metod duszpasterskich.

Z **TOMASZEM TERLIKOWSKIM**,
AUTOREM KSIĄŻKI „ARCYBISKUP.
KIM JEST MAREK JĘDRASZEWSKI?”
ROZMAWIA **ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI**

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI: Papież Franciszek odesłał właśnie metropolitę krakowskiego na emeryturę. Kim jest Marek Jędraszewski? Uroczym, czytelnym starszym panem czy bezwzględny służbistą, który nie utrzymuje żadnych kontaktów towarzyskich?

TOMASZ TERLIKOWSKI: Ci, którzy go dobrze znają albo mieli z nim osobiste kontakty, mówią, że potrafi być uroczy, sympatyczny i ciepły.

Inni opowiadają, że nie znosi sprzeciwu i polemiki. Buduje wokół siebie mur z ludzi, którzy są od niego zależni i słabsi w hierarchii kościelnej. Te osoby oddzielają abp. Jędraszewskiego od świata i innych księży.

Wszyscy się zgadzają co do tego, że metropolita nie lubi funkcjonować w dużych grupach i nie ma wielkiej trudności w pozbywaniu się dawnych współpracowników. Dlatego zwolnił kobiety pracujące w biurze prasowym krakowskiej kurii, a księży nie są w stanie umówić się z nim na rozmowę i muszą wysłać e-maile.

Zwalnia ludzi bez osobistej rozmowy, jego współpracownicy zostawiają ludziom wypowiedzenia na biurkach. A jednocześnie są i takie osoby, dla których jest uważnym słuchaczem, zna imiona ich dzieci, pamięta o urodzinach. Tylko to się nie przekłada na długotrwałe relacje.

26-letni ksiądz Marek Jędraszewski zostaje wysłany na studia do Rzymu. Jaki Kościół tam widzi?

– Doświadcza przede wszystkim zupełnie innego świata. Przenosi się z szarej, peerelowskiej Polski do kolorowego kraju na zachodzie Europy. W połowie lat 70. w Watykanie spotyka się z przedstawicielami Kościoła soborowego, choć stosunkowo niedawno Paweł VI opublikował słynną encyklikę „Humanae vitae”, w której opowiedział się przeciwko antykoncepcji. Papież tym dokumentem zatrzymał pewien proces zmian, niemniej Jędraszewski obserwuje Kościół dynamiczny, różnorodny i rozdyktowany.

Studiuje na uczelniach, gdzie wykładają wybitni teologowie, choćby progresywni jezuici. Kiedy papieżem zostaje Karol Wojtyła, ks. Jędraszewski tego październikowego wieczoru jest na placu św. Piotra. Polska w sekundzie zyskuje na znaczeniu, w Watykanie pojawia się wielu nowych duchownych znad Wisły.

Fascynuje mnie ten okres: młody ksiądz z Polski studiuje filozofię, pisze pracę doktorską z myśli Emmanuela Levinasa, poznaje niezwykle progresywny Kościół. Co więcej, ks. Józef Tischner z wielkim uznaniem odnosi się do jego pracy naukowej. Czy coś z tego okresu odnajduje-



FOT. JAKUB WŁÓDEK / AGENCIA WYBORCZA.PL

my w dzisiejszym nauczaniu metropolity krakowskiego?

– Najprościej byłoby powiedzieć, że nie, ale to nie byłaby do końca prawda. Jędraszewski zajął się Levinasem, dla którego najważniejszym pojęciem była „twarz drugiego człowieka”, stawiał los jednostki ponad dobro instytucji, bo odnalazł w jego pismach myśli, które idealnie nadawały się do prowadzenia polemiki z marksizmem.

Czyli mówiąc inaczej: z polemicznych wobec rozmaitych systemów ontologicznych i politycznych pism Levinasa ksiądz arcybiskup wyciągnął wiele lat później głównie elementy polityczne. Dzisiaj zdarza mu się cytować w niektórych przemówieniach subtelne analizy filozoficzne, ale koniec końców traktuje filozofię jako narzędzie, które może wykorzystać w sprzeciwie wobec ideologii. Kiedyś był to komunizm, dzisiaj to neomarksizm, gender, LGBT czy ekologizm.

I to jest cały jego program filozoficzny?

– Tak, choć arcybiskupowi Jędraszewskiemu nie można odmówić erudycji, która, niestety, nie przekłada się na wyjaśnianie zjawisk, lecz wyłącznie na ich etykietowanie.

A przypomnijmy słowa świętego Tomasza, który stwierdzał, że filozofowanie polega na odróżnianiu tego, co jest ewidentnie fałszywe, od tego, co jest ewidentnie prawdziwe.

Inaczej postępuje ksiądz arcybiskup. Obserwuje chociażby, że w Polsce przesuwają się wieki zawierania trwałych związków. Co oznacza, że zawieranych jest mniej małżeństw, a do seminariów czy zakonów trafia o wiele mniej osób. Te zjawiska są faktem, możemy szukać jedynie przyczyn i skutków, ale abp Jędraszewski wystawia etykietę i mówi o ideologii singli. Proste? Oczywiście. Tylko nic nie wyjaśnia.

To samo dzieje się ze skutkami katastrofy klimatycznej. Na gruncie teologii toczy się spór o to, czy przesunięcie akcentów z ochrony człowieka na ratowanie środowiska naturalnego nie oznacza porzucenia antropocentryzmu i zawieszenia godno-

ści związanej z przynależnością do gatunku ludzkiego.

Odpowiedzią papieża Franciszka na te rozważania była encyklika „Laudato si”, a abp Jędraszewski opowiada na kazaniach o ideologii ekologizmu. Nie szuka więc odpowiedzi teologicznej na zupełnie nowe zjawiska, tylko – kolejny raz! – etykietuje.

Ten sposób uprawiania filozofii i duszpasterstwa oceniam niezwykle krytycznie. Niektórzy twierdzą, że abp Jędraszewski jest obrońcą antropologii chrześcijańskiej, z tradycyjnym podziałem na to, co męskie, i na to, co kobiece. Słyszę, że prowadzi tym samym polemikę ze współczesnością. Jednak ten sposób myślenia jest po prostu niewłaściwy, bo nie bierze pod uwagę nauk przyrodniczych, społecznych, metropolita krakowski nie wnika w problem, tylko daje zbyt łatwe odpowiedzi.

W jaki sposób kontrowersyjne kazania Jędraszewskiego przekładają się na duszpasterstwo? Liberalni i lewicowi katolicy twierdzą, że konserwatywna agenda metropolity krakowskiego szkodzi Kościołowi w Polsce. Czy na pewno?

– Odpowiedź na to pytanie jest skomplikowana. Z jednej strony arcybiskup zagospodarowuje emocje twardego elektoratu kościelnego, czyli osób, które w przeważającej większości są jednocześnie wiernymi wyborcami Prawa i Sprawiedliwości. Bez wątpienia stał się najbardziej rozpoznawalnym hierarchą twardego jądra polskiego Kościoła.

Z drugiej – porównajmy wszystkie jego najbardziej radykalne wypowiedzi, etykietowanie i upraszczanie z narracją prezentowaną przez papieża Franciszka, który namawia wszystkich biskupów i księży do wychodzenia na peryferia, szukania kontaktów z osobami spoza Kościoła.

W tym kontekście Marek Jędraszewski nie jest częścią katolickiego establishmentu, a jego duszpasterstwo jest absolutnie nieskuteczne. Część liberalnego Kościoła, o którym pan wspomina, nie ufa metropolicie krakowskiemu, jego styl kazań czy wypowiedzi publicznych działa na nich od-

pychająco. Abp Jędraszewski nie wychodzi więc na polskie peryferia, nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

I po trzecie: Czy współczesne duszpasterstwo powinno być skupione na walce? Arcybiskup zapomina, że w centrum chrześcijaństwa nadal stoi głoszenie Miłosierdzia Bożego i Jezusa Chrystusa, a nie walka z mniej lub bardziej wyimaginowanymi ideologiami.

Krytycy Jędraszewskiego zarzucają mu również, że sporo wiernych odchodzi z Kościoła, choć się zastanawiam, czy to wina stylu arcybiskupa, czy po prostu efekt galopującej laicyzacji. Jak pan sądzi?

– Zrzucanie całej odpowiedzialności za mniejszą liczbę wiernych na abp. Jędraszewskiego byłoby oczywiście niesprawiedliwe. Jego rządy w Krakowie zbiegły się z rzeczą jasną z przyspieszonym procesem sekularyzacji i związkiem polskiego Kościoła z prawicowymi partiami politycznymi. Jednocześnie metropolita jest najbardziej rozpoznawalną twarzą Kościoła w Polsce i zdaniem swoich zwolenników jest nie tylko prorokiem, ale też kimś, kto może zatrzymać sekularyzację, ma być lekarstwem na problemy naszego Kościoła.

Prawda jest jednak bolesna: misja abp. Jędraszewskiego się nie powiodła. Można wręcz zauważyć, że jego działania, język, którego używa w kazaniach, przyspieszył proces odchodzenia ludzi od Kościoła. W archidiecezji krakowskiej jest nieco inaczej niż w Łodzi, gdzie obserwowaliśmy w trakcie jego rządów odpływ wiernych.

Na Podhalu, które wchodzi w skład archidiecezji, ludzie mogą się nie zgadzać z biskupami, krytykować poszczególnych księży, ale nie przestaną chodzić na msze.

Dlaczego Jędraszewski nie został w Rzymie?

– To bardzo dobre pytanie, bo już na samym początku pontyfikatu Jana Pawła II wielu księży z Polski dostaje posady za Spisową Bramą, cała masa studentów przyła-

tuje do Watykanu, mówiąc inaczej: to moment zasysania ogromnej grupy duchownych, a także tworzenia późniejszych elit polskiego Kościoła.

Dlaczego nie dołączył do nich Jędraszewski? Być może niespecjalnie chciał go tam zostawić metropolita poznański, który wolał mieć na miejscu dobrze wykształconego księdza. Inny powód: ktoś mógł uznać, że nie nadaje się do administracyjnego zarządzania, a przecież na tym głównie polega praca w kurii rzymskiej.

Pamiętajmy, że do administracji kościelnej nie są często przyjmowani najlepsi naukowo księża, tylko sprawni organizatorzy. Wiemy, że Jędraszewski nie jest dobrym administratorem, nie potrafi zarządzać ka-drami.

Ale czy mieszkając w Domu Polskim w Rzymie, gdzie do dzisiaj zatrzymają się polscy studenci i inni duchowni, poznał osoby, które miały wpływ na jego późniejszą karierę w Kościele?

– Tak, poznał tam Juliusza Paetza, który w połowie lat 70. zajmował najwyższe stanowisko w Watykanie spośród wszystkich polskich duchownych. Był rzymskim pra-latem, pracował w papieskiej pakamerze, był jednym z dwóch najbliższych współ-pracowników Pawła VI, decydował o tym, z kim papież się spotyka.

W jednym z tekstów Marek Jędraszewski wspominał, że pierwszą osobą, która oprowadziła go po Rzymie, był nie kto inni, tylko Juliusz Paetz. Wspólnie podróżowali, zostali przyjaciółmi. Jędraszewski wraca do Polski, Paetz zostaje w Watykanie.

Kariera tego pierwszego nie jest oszala-miąjąca: zostaje wykładowcą, prowadzi lo-kalny tygodnik katolicki, pracuje nad habi-litacją z filozofii. Szału nie ma, choć zało-żył się z jednym z kolegów z Rzymu o to, kto pierwszy z nich zostanie biskupem.

Kto wygrał?

– Jędraszewski. Ale został biskupem po-mocniczym dopiero wtedy, kiedy do Po-znania przyjechał bp Juliusz Paetz. To on go awansował.

Drugą, kluczową postacią w karierze Marka Jędraszewskiego jest kard. Zenon Grocholewski, niezwykle wpływowy urzęd-nik watykański, bez którego wielu księży nie otrzymałoby nigdy nominacji biskupich.

Do Poznania przyjechał Paetz, Jędra-szewski w końcu zostaje biskupem. Kiedy wybucha skandal z udziałem tego pierwszego, Jędraszewski początkowo staje po stronie skrzywdzonych księży. Co się potem dzieje?

– O wydarzeniach sprzed 20 lat nadal ma-ło wiemy. Wyłącznie Tomasz Polak, któ-ry w tamtym okresie był ważnym księdzem w archidiecezji poznańskiej, opowiedział nieco więcej o kulisach skandalu z udział-em abp. Paetza.

Z dużą rezerwą należy podchodzić do wspomnień abp. Józefa Kowalczyka, które-mu nie zależy na przedstawieniu prawdy, tylko na obronie własnej osoby. Abp Jędra-szewski również milczy, a z oficjalnych bio-gramów i wspomnień wygumkował postać abp. Paetza, mimo że to on był promotorem i patronem kariery dzisiejszego metropolity krakowskiego.

Wiemy na pewno, że w początkowym okresie abp Jędraszewski stanął po stronie molestowanych księży.

Pojechał z tymi informacjami do nuncju-sza Kowalczyka, wierząc, że ważniejsze od instytucji jest oblicze skrzywdzonego – mó-wiąc inaczej: perspektywa Levinasa wygry-wa.

W nuncjaturze słyszy jednak od abp. Ko-walczyka, że życzeniem papieża Jana Pawła II jest stanięcie po stronie oskarżonego me-tropolity poznańskiego. Wiemy z dokumen-tów, że abp Jędraszewski po powrocie do Poznania broni abp. Paetza, staje w obronie systemu kościelnego.

Wymusza na proboszczach podpisy pod listem w obronie metropolity poznańskie-go. Kiedy abp Paetz zostaje zmuszony do

ustąpienia z urzędu – tak jak wspomniałem – abp Marek Jędraszewski precyzyjnie wy-mazuje jego nazwisko ze wszystkich oficjal-nych biogramów.

To niezwykle ciekawa przemiana: na sa-mym początku wypełnia wolę pokrzywdzo-nych księży, duchowni mu ufają, a abp Ję-draszewski ostatecznie wybiera lojalność wobec struktur Kościoła hierarchicznego.

Czy nominacja na biskupa łódzkiego była nagrodą za tę lojalność?

– Nie sądzę. Kariera Jędraszewskiego przy-hamowała, co było zaskakujące, biorąc pod uwagę jego osiągnięcia naukowe. Mo-żna odnieść wrażenie, że Stolica Apostolska wraz z nuncjuszem Kowalczykiem postano-wili obserwować Jędraszewskiego.

Długo nie awansował, otrzymał Łódź do-piero po kilku latach. Proszę zwrócić uwa-gę, że żaden z pozostałych biskupów po-mocniczych ani księży angażujących się w sprawę ujawnienia przewinień abp. Pa-etza nie zrobił kariery w Kościele.

Kiedy wiele lat później Franciszek przylatuje do Krakowa na Światowe Dni Młodzieży, poznaje osobiście Marka Jędraszewskiego. Oczarował papieża?

– Tak. Papież zaprosił wszystkich bisku-pów na nieoficjalne spotkanie. Usiedli w ko-le i papież poprosił o pytania. Jako pierw-szy odezwał się Marek Jędraszewski, któ-ry perfekcyjną włoszczyzną zapytał papie-ża o Miłosierdzie Boże. To strzał w dziesiątkę, bo ten temat jest niezwykle bliski Fran-ciszкови.

Jędraszewski zadaje to pytanie w nie-zwykle inteligentny, erudycyjny, subtelny sposób. Mówi mniej więcej tak: „Mieszkam w Łodzi, czyli w mieście, z którego pocho-dzi s. Faustyna Kowalska, która całe życie spędziła na mówieniu o Miłosierdziu Bo-żym”. Jednym słowem, przedstawia się jako wielki zwolennik teologii miłosierdzia Fran-ciszka w Kościele.

Papież – jak wynika z relacji innych – jest zachwycony nieznany-mu biskupem, je-go uśmiechem, czytaniem, sposobem by-cia, skracaniem dystansu. I po powrocie do Watykanu postanawia go mianować arcybi-skupem krakowskim.

Ale przecież w kolejnych latach Jędra-szewski wielokrotnie udowodnił, że mó-wi zupełnie innym językiem niż papież Franciszek. Dlaczego zatem Watykan nie reagował?

– Ależ reagował! Przecież abp Jędraszewski nie został kardynałem. Ten sygnał jest czy-telny. Problem polega też na tym, że metro-polita krakowski w oficjalnych wypowie-dziach bardzo często nawiązuje do wątków podejmowanych przez Franciszka, a poza tym rzadko się zdarza, żeby za kontrower-syjne wypowiedzi Stolica Apostolska odwo-ływała biskupów. Musiałoby dojść do cze-goś znacznie gorszego.

Nie wyobrażam sobie również, że Watykan przenosi Jędraszewskiego do innej die-cezji. Bo dokąd miałby trafić? Do Płocka? Jeśli już, to Franciszek mógłby go ściągnąć do Watykanu.

Biografia Marka Jędraszewskiego może być przykładem opisu systemu kościel-nego. Ciekawi mnie jedno: kto może zostać w Polsce biskupem?

– Przez lata musiał to być ktoś, kto prze-szedł przez rzymskie uniwersytety i wszedł chociażby na moment do watykańskich struktur. Choć ukończenie wyższych stu-diów doktorskich w Stolicy Apostolskiej nie oznaczało jednoznacznie, że młody ksiądz w przyszłości zostanie biskupem. To po pierwsze.

Po drugie – kandydat na hierarchę mu-siał być lojalnym dzieckiem systemu. Do-brze, jeśli wcześniej pracował jako sekre-tarz biskupa lub urzędnik w kurii.

Po trzecie – przyszły biskup nie powinien mówić głośno o własnych poglądach, szcze-gólnie jeśli są sprzeczne z tym, co myśli konserwatywna większość Episkopatu.

I po czwarte – należy publicznie okazy-wać lojalność wobec nauczania Jana Paw-ła II. Starsi biskupi powołani w trakcie je-go długiego pontyfikatu nie mogli w żaden sposób publicznie podważać pozycji papie-ża. Po 1978 r., czyli od momentu powołania Wojtyły na Tron Piotrowy, pojawiło się kil-ka kluczowych postaci, od których zależała kariera niemalże całego Episkopatu Polski. Byli to kard. Henryk Gulbinowicz, abp Józef Kowalczyk, kard. Grocholewski.

Czy tak jest do tej pory? I tak, i nie. Część wpływowych hierarchów nie żyje, inni po-zostają na uboczu, poza tym papież Fran-ciszek kompletnie nie interesuje się Polską, w dodatku w decyzjach personalnych wy-kazuje się sporą nieprzewidywalnością.

Dopiero w najbliższych miesiącach do-wiemy się, że Kościół uformowany przez za-ufanych ludzi Jana Pawła II definitywnie się w Polsce skończył.

Bo czekamy na nowych biskupów?

– Tak: w Warszawie, Krakowie i Poznaniu. Pojawiło się kilku odważnych biskupów po-mocniczych, ale są w zdecydowanej mniej-szości wobec konserwatywnego establish-mentu.

Wiemy na pewno, że w początkowym okresie abp Jędraszewski stanął po stronie molestowanych księży

Czegoś nie rozumiem: ludzie odchodzą od Kościoła, bo twarzami Episkopatu są konserwatywni biskupi, a jednocześnie hierarchowie nie uważają, że to wina ich radykalnego i krzywdzącego języka. A przecież nie są głupi. Dlaczego nie łączą tych faktów?

– Ponieważ polski Episkopat nie jest różno-rodny. Porównajmy naszych hierarchów do biskupów z Niemiec, Wielkiej Brytanii czy ze Stanów Zjednoczonych Ameryki: w tych drugich krajach spierają się publicznie, ko-mentują nawzajem swoje wypowiedzi, pro-wadzą ożywczy spór i udowadniają, że w Kościele jest miejsce na różnorodne po-glądy i wrażliwości.

Na tym tle polski Kościół jest jednorod-ny. Jeszcze 15 lat temu nieżyjący abp Józef Życiński mógł powiedzieć publicznie, że nie zgadza się ze stanowiskiem Episkopatu, bp Pieronek mógł łagodnie skrytykować Ra-dio Maryja, odmienne zdanie miał często bp Chrapek. Biskupi rozmawiali z „Wyborczą”...

...a dzisiaj nas omijają.

– No właśnie. Sytuacja zmieniła się wtedy, kiedy przewodniczącym Episkopatu został bp Józef Michalik, który postanowił świado-mie wygasić dyskusje. To wówczas biskupi przestali komentować wzajemnie swoje wy-powiedzi. Zniknęła w zasadzie kościelna de-bata publiczna.

Jasne, hierarchowie nadal ze sobą roz-mawiają, ale za zamkniętymi drzwiami sali plenarnej Sekretariatu Konferencji Episko-patu Polski. Różnice nie są jednak zbyt wiel-kie, wśród hierarchów nie ma liberalów czy zwolenników teologii wyzwolenia. Podział przebiega wedle innej linii: po jednej stronie są umiarkowani konserwatyści otwarci na nowe metody duszpasterskie, a po drugiej – konserwatyści, którzy nie lubią nowych metod duszpasterskich.

Biskupi, niestety, uczestniczą w procesie nominacji swoich następców, więc nie wi-dzą potrzeby wprowadzenia większej różno-rodności. Nie będą też szukać ludzi od siebie lepszych, ale ludzi od siebie gorszych. Ina-czej ktoś sprawniejszy intelektualnie czy ad-ministracyjnie mógłby zagrozić ich pozycji.

I to się nie zmieniło nawet po odkryciu te-go, jak działali biskupi promowani przez

kard. Gulbinowicza? Przecież wskazani przez niego biskupi kryli księży pe-dofilów, a sam Gulbinowicz okazał się seksualnym drapieżcą.

– Też mnie to zadziwia. Problem polega na tym, że za te wszystkie nominacje biskupie odpowiada abp Józef Kowalczyk, który był najpierw nuncjuszem, a potem prymasem. Dlatego wyciągnięcie konsekwencji wobec niego mogło postawić pod znakiem zapyta-nia wszystkie decyzje podejmowane w Pol-sce po 1978 r. i podważyć model zarządza-nia Kościołem przyjęty nad Wisłą, co ozna-cza zaprzeczenie dziedzictwu Jana Pawła II. Okazuje się więc – co jest też niewygod-ną dla Kościoła – że najgorszym owocem pontyfikatu papieża Polaka jest polski Epi-skopat.

To w jaki sposób proces powoływania biskupów można by było poprawić?

– Należałoby poprawić transparentność te-go procesu. Obecnie nuncjusz wybiera czte-rech kandydatów, których wciąga na krót-ką listę przesyłaną do Watykanu. Kurialiści wybierają lub nie nowego biskupa. Nominat może się zgodzić, ale może też odmówić. Co ciekawe, nikt nie ma prawa zdradzić listy potencjalnych kandydatów.

Nikt nie pyta o zdanie świeckich, podob-no nuncjusz od czasu do czasu rozsyła an-kietę do duchownych, ale nie wiadomo, co robi z jej wynikami. Na końcu Rzym ogła-sza, kto zostanie ordynariuszem w Łowi-czu. To absurd.

Kiedy dwoje ludzi chce zawrzeć sakra-mentalny związek małżeński, to są zobo-wiązani do ogłoszenia w parafii zapowie-dzi. Jeśli ktoś zna haniebne szczegóły z ży-cia przyszłych nowożeńców, może je zgło-sić do parafii.

To samo dzieje się z nowymi księżmi: przed święceniami na stronach interneto-wych pojawiają się ich nazwiska. W każdej chwili można zgłosić do kurii zastrzeżenia wobec kandydatów na duchownych. Dla-czego z podobną procedurą nie mamy do czynienia w trakcie wyborów biskupa?

Wyobrażam sobie, że nuncjatura mo-głaby rozesłać do wszystkich parafii w da-nej diecezji nazwiska trzech kandydatów na nowego biskupa, a wierni mieliby szan-sę w ciągu kilku tygodni zgłosić ewentual-ne uwagi.

A może należy wrócić do modelu śre-dniowiecznego, kiedy biskupa powoływa-ła kapituła złożona z księży? A może za ra-dą Kościoła niemieckiego kapitułą należało-by poszerzyć o osoby świeckie?

Biskupi bronią się, mówiąc, że to Duch Święty wybiera nowych hierarchów. Wąt-pię w tę narrację, bo nie wydaje mi się, że-by Duch Święty wybrał na biskupa pedofila. W tym momencie to biurokratyczna, mało transparentna procedura.

Rozmawiał pan z Markiem Jędraszew-skim?

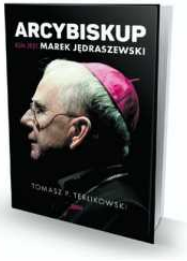
– Nie. Jego współpracownicy nigdy nie od-powiedzi na moje liczne prośby o spotka-nie. ●



FOT. GRAZYNA MARKS / AGENCJA WYBORCZA.PL

Tomasz Terlikowski

• publicysta, autor książek, dziennikarz Radia RMF FM. Książkę „**Arcy-biskup. Kim jest Marek Jędraszewski?**” – jest dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka oraz audiobooka na Publio.pl – opublikowa-ła wydawnictwo Znak.



Czy poza teologią nic nie jest u nas dość naukowe?

Stanisław Obirek*
Tomasz Polak**

Nauka polska znalazła się w głębokim kryzysie, który od lat z rosnącym niepokojem opisują sami naukowcy. Zwykliśmy go łączyć z kolejnymi reformami szkolnictwa wyższego, które za ministra Przemysława Czarnka osiągnęły szczyty absurdu. Nie chcemy do tego nawiązywać, bo są to sprawy powszechnie znane. Proponujemy za to pod roz wagę swoiste „case study” związane z zablokowaną promocją habilitacyjną jednego z polskich teologów.

Sprawa na pierwszy rzut oka zdaje się dotyczyć dość specjalistycznych i wręcz technicznych aspektów procedury, która nie powinna budzić głębszych emocji. Zdarza się. Studenci oblewają egzaminy, magi strantom nie udaje się obronić pracy, doktoranci nie osiągają upragnionego tytułu, a habilitanci muszą się zadowolić skrótem dr przed nazwiskiem. Bywa, że i żmudne procedury profesorskie są blokowane na ostatnim etapie, jak to się dzieje w przypadku dr. hab. Michała Bilewicza, profesora UW, który od lat bezskutecznie czeka na podpis prezydenta Andrzeja Dudy.

Jednak przypadek, który zwrócił naszą uwagę, jest czymś tak szczególnym, że zasługuje na bliższe poznanie, a może nawet na publiczną debatę na temat kondycji polskiej teologii.

Pozwalamy sobie na przywołanie obszernych fragmentów z negatywnych recenzji pracy zgłoszonej jako habilitacja, gdyż to w nich jak w soczewce skupiły się patologie, które od dziesięcioleci korodują polskie środowisko teologiczne. Niepodlegające, dodajmy, żadnym zewnętrznym ocenom.

W pewnym sensie mamy tu kolejny przykład, po wprowadzeniu bez konsultacji społecznych do szkół publicznych lekcji religii, całkowitej arbitralności Kościoła katolickiego w kształtowaniu edukacji tym razem uniwersyteckiej.

Przerwana habilitacja

Otóż w ostatnim czasie na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Opolskiego (UO) zostało przerwane postępowanie habilitacyjne dr. Eligiusza Piotrowskiego, autora jednej z najwybitniejszych polskich monografii teologicznych („Początki wiary w zmartwychwstanie Jezusa: od Reimarusza do Ratzingera / Benedykta XVI”, Pracownia Mitopoeiki i Filozofii Literatury UZ, Zielona Góra 2022). Uważamy – nie tylko my – że książka ta przewyższa o kilka poziomów zwyczajną produkcję polskich teologów.

Odniesiemy się do tej symptomatycznej sprawy, żeby pokazać to, co w tytule: polska teologia to rosnąca klęska. Po kolejnych reformach w chwili obecnej o przyjęciu postępowania habilitacyjnego decydują rady naukowe poszczególnych dyscyplin, w mniejszych uniwersytetach działa tylko jedna taka rada i to jest przypadek UO; na koniec wrócimy do tej sprawy, bo nadaje interesującemu nas przypadkowi szczególnie koloryt, by tak rzec, partyjny.

Najpierw kilka słów o tej rozprawie habilitacyjnej. Rozprawa Eligiusza Piotrowskiego to systematyczny przegląd odniesień historycznego chrześcijaństwa do początków wiary w zmartwychwstanie Jezusa. Podkreślamy: nie przegląd chrześcijańskiej doktryny o zmartwychwstaniu, ale przegląd odniesień do tej doktryny, bardzo zróżnicowanych w całej historii chrześcijaństwa. To rozróżnienie jest, jak zobaczymy, ważne w świetle deklarowanych powodów przerwania postępowania habilitacyjnego Piotrowskiego.

Pierwsze trzy rozdziały jego rozprawy kreślą przedpola i konteksty problemu. Rozdział pierwszy to komentowane – zwłaszcza filologicznie – zestawienie wszystkich nowotestamentowych tekstów o zmartwychwstaniu.

Rozdział drugi to prezentacja tzw. metody historyczno-krytycznej, czyli zestawu wypracowanych przez biblistów w XX wieku metod pozwalających identyfikować historię tekstu, obecne w nim specyficzne formy i gatunki literackie, wreszcie konteksty i fazy redagowania tekstu od pierwszych przekazów ustnych po tekst, którym dysponujemy dzisiaj. Prezentację tę autor poprzedza zarysem historii eg-



Jak daleko
sięga władza Kościoła

POLSKA TEO JAKO ROSNĄCA KLĘŚ

zegezy od początków chrześcijaństwa po dzień dzisiejszy.

Rozdział trzeci prezentuje oficjalne nauczanie Kościoła o zmartwychwstaniu Jezusa.

Najobszerniejszy i najważniejszy czwarty rozdział pracy Piotrowskiego to komentowany przegląd odniesień do początków wiary w zmartwychwstanie 103 teologów różnych wyznań chrześcijańskich z lat 1774-2019. To bezwzględnie najcenniejsza część tej książki – wysokiej klasy encyklopedia problemu, użyteczna zarówno dla osób niezajmujących się na bieżąco teologią, jak i dla wysokiej klasy teologicznych fachowców.

Następują trzy stosunkowo krótkie rozdziały: piąty, „Tak i nie teologii zmartwychwstania”, podsumowujący teologiczną historię problemu; szósty, „Problem historyczności zmartwychwstania”, ustalający, z jakim rodzajem historyczności mamy w tym przypadku do czynienia; i siódmy, „Możliwy scenariusz wydarzeń paschalnych?”, czyli oryginalna autorska propozycja sformułowana na tle przedstawionego w rozprawie materiału.

Można to zwięźle podsumować: jak daleko, tak do brze. Tylko to nie koniec, ale początek problemu. Na

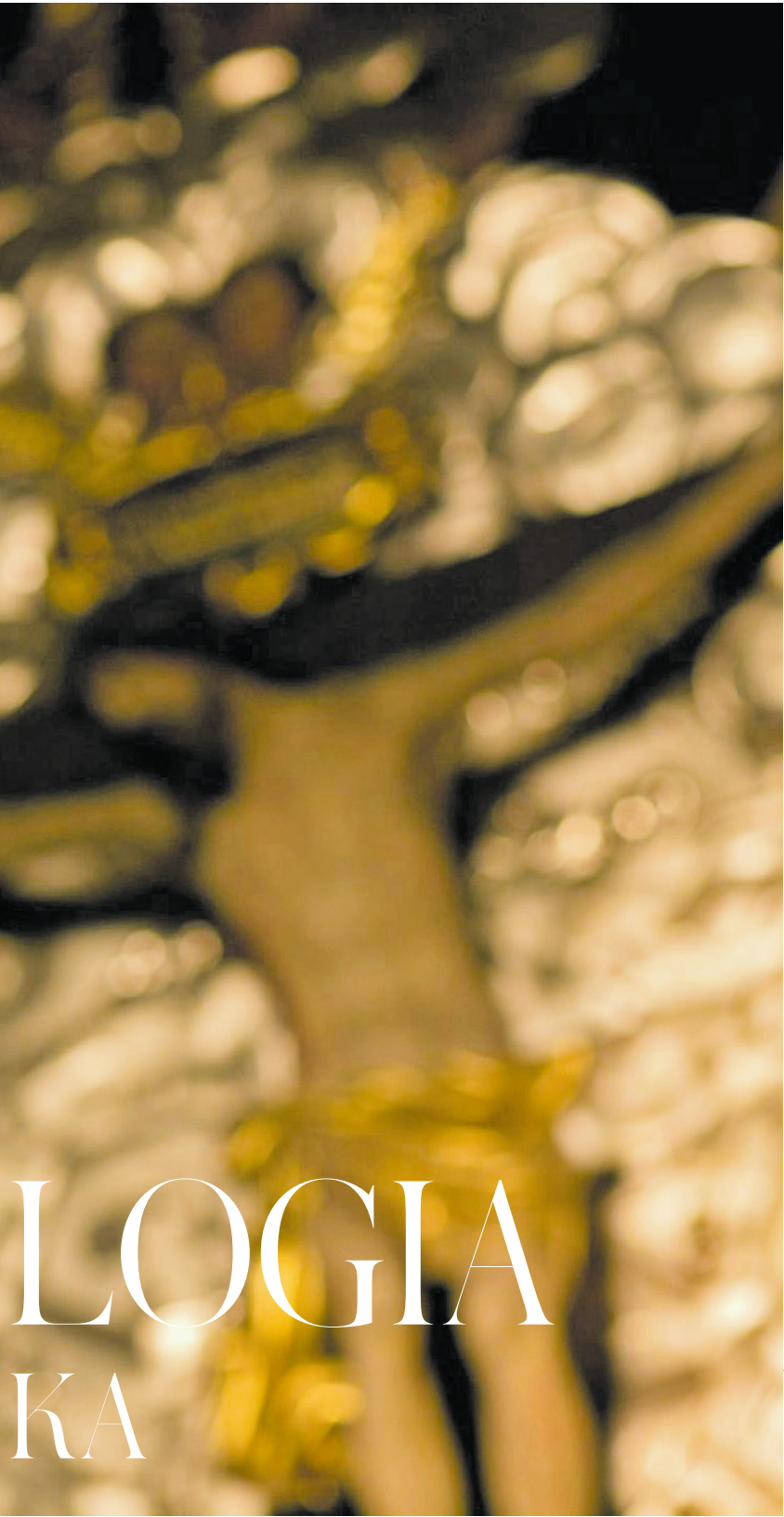
takim tle trudno nie postawić pytania: dlaczego przerwano proces habilitacyjny otwarty na podstawie tak wybitnej rozprawy (oraz innych istotnych wysoko wartościowych elementów dorobku habilitanta)?

Otóż powodem owego przerwania stały się trzy negatywne recenzje dorobku Piotrowskiego. Rzecz w tym, że recenzje te są skrajnie ideologiczne, niemerytoryczne, nienaukowe i prezentują erystykę w najgorszym możliwym stylu. Sam ten fakt diagnozuje chorą (coraz bardziej) sytuację w polskiej teologii – a to tylko jeden przypadek, charakterystyczny dla mentalności i działań większości polskich teologów.

By dokładniej scharakteryzować ową sytuację i egzemplifikującą ją mentalność, posłużymy się elementami owych recenzji. Najpierw zaznaczymy dla porządku, że każda z nich zawiera także elementy pozytywne: rejestrują fakty niezaprzeczalnych osiągnięć naukowych, organizacyjnych i dydaktycznych habilitanta. Każda podchodzi jednak do owych osiągnięć inaczej i każda wybiórczo.

Przykład: jeden z recenzentów zauważa i chwali kontakty Eligiusza Piotrowskiego z zagranicznymi uczelniami i ośrodkami badawczymi, drugi pisze,

Od dziesięcioleci patologie korodują polskie środowisko teologiczne. Niepodlegające żadnym zewnętrznym ocenom



FOT. MICHAŁ LEPECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

że brak takich kontaktów. Oczywiście takie kontakty są, ale drugiemu recenzentowi nie chodzi o prawdę, ale o uderzenie w habilitanta. Podobne przekłamania ma na koncie każdy z trzech autorów recenzji negatywnych.

Teraz przegląd charakterystycznych elementów trzech negatywnych recenzji. Podzielimy go na trzy działy: 1. – absurdalne zarzuty, że autor jest krytyczny wobec „nienaruszalnych” autorytetów religijnych; 2. – wykretna charakterystyka rozprawy habilitacyjnej; 3. – wytykanie, czego Piotrowski nie napisał – choć chodzi o sprawy usytuowane poza merytorycznym celem jego rozprawy.

Do każdego wskazanego elementu dodamy nasz zwięzły komentarz.

Autor jest krytyczny wobec „nienaruszalnych” autorytetów religijnych
I. Krytyka Józefa Ratzingera. Ks. dr hab. Cezary Smuniewski (Uniwersytet Warszawski) pisze:

„Joseph Ratzinger okazuje się bronić wiary wielkanocnej w przekonaniu, że można to uczynić, umacniając wyobrażenia i sformułowania minionych wieków, zamykając się na nowe możliwości. »Skandaliczny realizm« pozostaje wyraźnym symbolem takiej koncepcji. Jednak postawa »strażnika wiary« nie przyniosła i nie przynosi oczekiwanych efektów, a Ratzingerowa wizja uprawiania teologii, którą wielu postrzega jako panaceum na nowe czasy, wymaga poważnej korekty.

Bez trudu można dostrzec, że w tej wypowiedzi mamy do czynienia nie z myślą teologiczną, ale z potokiem słów mających prawdopodobnie uchodzić za świadectwo odwagi Autora. Nie jest to jednak odważa, ale brawura posługująca się nienaukowymi uogólnieniami”.

Prawie identyczne sformułowanie znajdujemy w recenzji ks. prof. dr. hab. Józefa Warzeszaka (Akademii Katolickiej w Warszawie) oraz w recenzji ks. prof. dr. hab. Janusza Królikowskiego (Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie).

Komentarz SO i TP: Józef Ratzinger wielkim teologiem był...

2. Krytyka papieża Pawła VI. Ks. prof. Janusz Królikowski krytykuje brak dostatecznie poważnego potraktowania przemówienia papieża Pawła 4 kwietnia 1970 r. w czasie kongresu teologicznego poświęconego zagadnieniu zmartwychwstania.

Recenzent błędnie uznaje to przemówienie za „jedną z najważniejszych, oficjalnych wypowiedzi Kościoła na temat zmartwychwstania Jezusa, które powinno stać się punktem odniesienia dla weryfikacji wielu poglądów na ten temat, bo w nim bardzo jasno wyraża się wiara Kościoła, ale także eklezjalna otwartość na potrzebę prowadzenia dalszych badań w tej dziedzinie”.

Komentarz SO i TP: żadne przemówienie papieża nie jest oficjalną wypowiedzią Kościoła. Recenzent oczywiście wie, że taką jest tylko akt papieskiego nauczania „ex cathedra”, czyli uroczystego nauczania nieomylnego, co papież w takim przypadku jest zobowiązany wprost zaznaczyć. To przekłamanie prof. Królikowskiego jest więc symptomem: nie chodzi o stan faktyczny, ale o uderzenie w habilitanta. Trzeba dodać, że recenzent może sobie na to pozwolić, bo większość polskich teologów w podobnym przypadku postąpiłaby z podobną dezynwolturą. Dlatego mu nie wstyd.

Wykretna charakterystyka rozprawy habilitacyjnej

Przykładów jest dużo, przytaczamy najbardziej drastyczne.

Ks. prof. Józef Warzeszak: „Autor, tworząc własną hipotezę o zmartwychwstaniu Jezusa [opiera się] na teorii metody historyczno-krytycznej R. Bultmanna i na jego wyjaśnieniu egzystencjalnym początków wiary w Zmartwychwstanie, twierdzeniu, że współczesnemu człowiekowi twierdzenie, że zmartwychwstanie Jezusa jest obiektywnym faktem historycznym, niczego nie mówi, i jako takie jest (nie tylko racjonalnie) niewyobrażalne”. Następnie na dywagacjach W. Marxena o rozumieniu Zmartwychwstania jako czegoś „duchowego”.

Komentarz SO i TP: zwróćmy uwagę na deprecjujący wydźwięk słowa „dywagacje”.

Tenże: „A nade wszystko na poglądach T. Polaka z jego okresu post-katolickiego. Ten autor stara się wyjaśnić początki Kościoła na sposób laicki. Zdaje się nie odrzucać istnienia Boga, ale za to Jezus miałby być zwykłym człowiekiem, który miał szczególną więź z Bogiem. To dopiero chrześcijanie mieliby dokończyć »wtórnego uregulowania« obrazu Boga, czyli nałożenia na Jezusa, Mesjasza i Pana, cech bóstwa. Zatem po dłuższym czasie mieliby Go zacząć uważać za posiadającego atrybuty Boskie, ukazując Go jako wyniesionego na prawicę Boga.

»Uczniowie Jezusa przezwyciężyli poznawczy i egzystencjalny dysonans, jaki spadł na nich po śmierci krzyżowej, przezwyciężyli go specyficzną automanipulacją, polegającą na uwierzeniu w swoją interpretację jego śmierci i dali się ponieść dynamice tej interpretacji« – reasumuje E. Piotrowski wywody T. Polaka (...). Jest to uderzenie w podstawowe prawdy wiary. Stąd nie może być akceptowane przez teologa katolickiego. Tymczasem E. Piotrowski idzie jego torem”.

Komentarz SO i TP: recenzent jest dziwnie laskawy dla poglądów Tomasza Polaka – Polak nie przyznaje istnienia boga, bo jest ateistą; ale oczywiście nie chodzi o to, kim jest Polak osobiście, ale o to, co twierdzi co do meritum sprawy. Uczciwa nauka polega na tym, że osobiste uwarunkowania i wybory badacza nie zniekształcają jego wypowiedzi naukowych. Autorowi recenzji (podobnie jak jego kołegom) nawet nie zaświata, że tak mogłoby być. A nie świata im to dlatego, że to oni farbują swoje wypowiedzi „naukowe” własnymi uwarunkowaniami osobistymi.

Ponadto Eligiusz Piotrowski nie idzie torem Tomasza Polaka, tylko rekapitułuje stan jego badań. Takie to proste, a umyka recenzentowi.

Tenże: „Warto tu przypomnieć apel Benedykta XVI, aby żadna dziedzina nauk nie uważała się za ostateczną, ale otwierała się na inne nauki, posługujące się innymi metodami, w tym przypadku na filozofię chrześcijańską i teologię katolicką. To tzw. »ateizm naukowy« twierdził, że jeśli nauka empiryczna nie może czegoś stwierdzić, to to nie

istnieje. Taka teza jest nienaukowa. Naukowiec empiryczny może twierdzić, że dla niego nie istnieje to, co wykracza poza możliwości zbadania jego metodami empirycznymi, ale nie to, że w ogóle nie istnieje. A zatem szafowanie słowem »naukowy« i odrzucanie tego, co metoda historyczno-krytyczna nie jest w stanie stwierdzić, jest nienaukowe”.

Komentarz SO i TP (przerysowany): w świetle tego stwierdzenia nic poza teologią nie jest dość naukowe. Dalej już bez przerysowania: Michał Heller napisał w artykule o teologii nauki: „Wszechświat widziany oczami teologa jest (...) »większy« niż Wszechświat widziany oczami uczonego. I to nie tylko dlatego, że Wszechświat uczonego pokrywa się z tym, co nazywamy »materialnym światem«, a Wszechświat teologa nie ogranicza się do dziedziny materii, lecz także dlatego, że dzięki metodzie teologicznej można we Wszechświecie materialnym dostrzec te aspekty, na które metoda nauki jest ślepa” (Heller, „Wstęp do teologii nauki”, [w:] „Teologia nauki”, red. J. Mączka. P. Urbańczyk, Kraków 2015). Sapienti sat.

Ks. Cezary Smuniewski: „Zauważyć i docenić należy »pobyt« na Uniwersytecie Ludwika Maksymiliana w Monachium. Z Autoreferatu [Piotrowskiego] nie wynika jednak jasno, czy był to »pobyt« o charakterze badawczym, czy był to staż naukowy. Wynika natomiast, że między innymi dzięki »pobytowi« w Niemczech mogła powstać monografia na temat niemieckojęzycznej myśli teologicznej wydana wraz z Tomaszem Węclawskim, a zatytułowana »Praeceptores. Teologia i teologowie języka niemieckiego« (Poznań 2005).

Był to zapewne czas prowadzenia kwerendy i konsultacji. Dowiadujemy się, że Habilitant uczestniczył w seminarium prowadzonym przez prof. Gerharda Ludwiga Müllera, z którym rozmawiał o kwestiach naukowych, co niewątpliwie także należy docenić. Nie oznacza to jednak, że ks. dr Eligiusz Piotrowski spełnia warunek ustawowy – »...wykazuje się istotną aktywnością naukową (...) realizowaną w więcej niż jednej uczelni, instytucji naukowej (...), w szczególności zagranicznej«”.

Komentarz SO i TP: jak nie oznacza, kiedy właśnie oznacza?

Tenże: „»W latach (2012-2016), w ramach międzynarodowego grantu, uczestniczyłem w Projekcie Santander Universidades i Uniwersytetu Zielonogórskiego realizowanym jako członek zespołu badawczego realizującego projekt: 'Investigación de las relaciones culturales polaco-ibéricas y polaco-iberoamericanas' / 'Badanie związków kulturowych polsko-iberyjskich oraz polsko-iberoamerykańskich'. W ramach tego projektu zająłem się badaniem tragicznych losów hiszpańskich Żydów i religijnego kontekstu ich prześladowań, które w sposób systemowy rozpoczęły się w XV wieku. Temu problemowi poświęciłem tekst podsumowujący: 'Mitologie totalitarne/autorytarne w literaturze i kulturze Hiszpanii i Polski'« (Autoreferat [Piotrowskiego], s. 9).

W tym przypadku mamy do czynienia z projektem badawczym. W zaprezentowanym opisie warta jest jednak nieprawda. Otóż, Habilitant sugeruje, że jest autorem tekstu (»Temu problemowi poświęciłem tekst podsumowujący...: 'Mitologie totalitarne/autorytarne...''). Tymczasem nie jest on autorem, ale jednym z czterech współredaktorów książki wieloautorskiej (»Mitologie totalitarne/autorytarne w literaturze i kulturze Hiszpanii i Polski«, red. J. Z. Lichański, M. Napiórkowski, B. Trocha, E. Piotrowski, Zielona Góra 2013).

W książce znajduje się adnotacja w brzmieniu: »Wydano ze środków Santander Universidades«. Nie jest to stwierdzenie, że książka jest efektem realizacji projektu badawczego, o którym pisze Habilitant. Raczej mamy do czynienia z projektem wydawniczym (...).

W książce znajduje się co prawda tekst autorstwa ks. dra Eligiusza Piotrowskiego pt. »Kościół Rzymskokatolicki w dobie totalitaryzmu generała Francisco Franco w perspektywie historycznych przemian hiszpańskiej religijności. Próba zrozumienia« (...) i istotnie kwestia prześladowania żydów w Hiszpanii jest w nim wzmiankowana jako jeden z tematów, ale nie jako temat główny – który można uznać za efekt projektu badawczego, dodajmy czteroletniego”.

Komentarz SO i TP: Udział w projekcie naukowym nie jest udziałem w projekcie naukowym, bo indywidualny udział habilitanta to nie całość projektu. Pytanie: czy osoby uczestniczące w wieloosobowych projektach naukowych nie mają w nich udziału? A co mają?

Ks. prof. Janusz Królikowski: „Oczywistą jest rzeczą, że Autor rozprawy musiał dokonać wyboru autorów, których interpretacje podda własnemu omówieniu. Pisze więc: »Jako pierwsze kryterium doboru teologów przyjąłem nowość i oryginalność ich prac badawczych oraz wyrazistość poglądów, która była na tyle jasna, że wywoływała powszechną reakcję i polemiczną burzę«.

Kryterium to jest dość osobliwe, bo czy miernikiem nowości i oryginalności ma być... wyrazistość poglądów oraz powszechna reakcja i polemiczna burza? (...) W teologii kryterium prowadzonych badań powinno być przede wszystkim głębsze poznanie prawdy i jej lepsze rozumienie. Co więcej, dobrze wiemy, że polemiczne reakcje i burze można wywołać zwłaszcza głoszeniem błędów, a nawet kontestacją przyjmowanych już prawd”.

Komentarz SO i TP (ironiczny): Jak widać, teologia ma być grzeczna i nie wywoływać burz. Jest na to znany skrót – BMW, czyli bierni, mierni, ale wierni.

Ks. Józef Warzeszak: Piotrowski „pisze, że »historyzująca mitologizacja jest nie do przyjęcia dla historyczno-krytycznej umysłowości współczesnej. A co dopiero mówienie o historycznej rzeczywistości jakiegoś człowieka po jego śmierci. Ona nie może być tak po prostu przyjęta przez historyka, ponieważ zajmuje się on realnością konkretnej osoby, usytuowanej pomiędzy jej poczęciem a zgonem. Wszystko inne wykracza poza obszar obiektywnych

staw głównie tabelaryczny podstawowych terminów paschalnych, za którym nie idzie żadne wyjaśnienie, interpretacja egzegetyczna czy teologiczna.

Nie są to na pewno jakieś znaczące »analizy językowe«, które uzasadniałyby następujący wniosek na zakończenie tego rozdziału: Przedstawione wyżej analizy językowe stwarzają dobrą perspektywę wyjściową do szerszego spojrzenia na nowotestamentalny przekaz wielkanocny. Dzięki nim można dostrzec, że już sam tekst pozwala na inne, niż te, do których przywykliśmy, drogi interpretacyjne i stworzenie płaszczyzny zrozumienia i docenienia różnorodnych koncepcji teologicznych”.

Komentarz SO i TP: Nawet jeśli coś zrobił, to nie zrobił czegoś, czego wcale nie zamierzał zrobić.

Ks. Cezary Smuniewski: „Treści monografii nie stanowią znaczącego wkładu w rozwój teologii. Autor nie zaproponował głębokiego spojrzenia na rzeczywistość zmartwychwstania Jezusa. Znaczna część monografii nie nosi znamion tekstu teologicznego, ale jedynie traktującego o narracjach teologicznych. Autor nie przestrzega zasad właściwych studiom z teologii. Posługuje się tekstami teologicznymi, przywołuje je, streszcza, ale czyni to, mieszając treści teologiczne z religioznawczymi lub właściwymi badaniami literackim”.

Komentarz SO i TP: To robi ogromna większość teologów, w tym teologów polskich, włącznie z najbardziej cenionymi przez autora recenzji i z nim samym. To zatem znowu nie zarzut, ale erystyka naj-

że się, że nadszedł czas, by się nimi zająć w sposób strukturalny, a nie tylko kosmetyczny.

Jak w PRL-u

Jest jeszcze jeden aspekt tej sprawy, który budzi najgorsze skojarzenia z okresem PRL-u, a ściślej z obecnością na uczelniach wszechmocnych sekretarzy POP PZPR. Dzisiaj te funkcje przejęli, również na niektórych uczelniach państwowych, księża katolicy. Tak w każdym razie stało się na Uniwersytecie Opolskim, gdzie funkcję przewodniczącego Komisji Naukowej pełni prof. UO dr hab. Dariusz Walencik (w oficjalnym wykazie członków rady nie jest napisane, że jest księdzem katolickim).

Dorobek 49-letniego Walencika jest raczej skromny, bo zajmuje się on głównie aspektami prawnymi nieruchomości kościelnych i jest autorem monografii Imielina. Stąd zasadne jest pytanie, co zdecydowało o powierzeniu mu tak prestiżowej funkcji. Być może ksiądz przewodniczący nie miał wpływu na skład komisji habilitacyjnej i wybór jej przewodniczącego, ks. prof. Jana Perszona.

Na Uniwersytecie Warszawskim działają 23 rady naukowe, na UAM 20, a na rodzimej uczelni Perszona UMK jest ich kilkanaście. Zwykle na ich czele stają uznane autorytety naukowe z powszechnie cenionym dorobkiem z danej dziedziny. Na uniwersytetach, których częścią są wydziały teologiczne, działają również rady dyscypliny nauki teologiczne. Ich członkami są głównie księża katolicy.

W tak ustrukturuowanej sieci jest rzeczą oczywistą, że tylko pokorni, wierni i mierni mają szansę na to, by się przebić. Każda próba niezależnego i krytycznego myślenia jest brutalnie tłumiona.

W tę akcję włączył się przewodniczący komisji habilitacyjnej, który powinien zachować bezstronność. Jednak ks. Perszon w trakcie przeciągającej się procedury habilitacyjnej zdążył opublikować sążnisty artykuł, i to w języku angielskim, w oficjalnym organie Wydziału Teologicznego UMK „Teologia i Człowiek” (pismo wycenione na 100 punktów), w którym w przypisie 19 zamieścił taką oto uwagę o książce, która była przedmiotem interesującej nas procedury: „Eligiusz Piotrowski, stosując metodę historyczno-krytyczną, »unieważnia« tradycyjną katolicką naukę o zmartwychwstaniu, a tym samym podstawy wiary chrześcijańskiej”.

To zdanie jak mantra przewija się przez wszystkie trzy negatywne recenzje. Przypadek czy może z góry ukartowany wyrok sądu kapturowego? Pytanie pozostawiamy otwarte. ●



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

*prof. Stanisław Obirek

• ur. w 1956 r., antropolog kultury, teolog, historyk, były jezuita. Pracuje w Ośrodku Studiów Amerykańskich UW. Interesuje się m.in. miejscem religii we współczesnej kulturze, dialogiem międzyreligijnym i możliwościami przewyciężenia konfliktów religijnych, cywilizacyjnych i kulturowych.



FOT. ŁUKASZ CYNALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

**prof. Tomasz Polak (do 2008 r. Węclawski)

• ur. w 1952 r., teolog, filozof, pisarz. Były ksiądz katolicki. Kapaństwo porzucił w 2007 r., wcześniej był m.in. rektorem seminarium duchownego w Poznaniu, dziekanem poznańskiego Papieskiego Wydziału Teologicznego, dziekanem Wydziału Teologicznego UAM, członkiem Międzynarodowej Komisji Teologicznej w Rzymie. Od 2006 r. kierownik Pracowni Pytań Granicznych UAM.

W czasach PRL-u na uczelniach wszechmocni byli sekretarze POP PZPR. Dzisiaj ich funkcje przejęli, także na niektórych uczelniach państwowych, księża katolicy

badani historii«. To wszystko byłoby słuszne, gdyby chodziło o zwykłego człowieka, ale Chrystus nie był pierwszym z brzegu »jakimś człowiekiem«. W tym sformułowaniu odrzuca bóstwo Chrystusa, Jego synostwo Boże”.

Komentarz SO i TP: W tym sformułowaniu recenzent odrzuca cały wysiłek tej części teologii, która analizuje krytykę doktryny chrześcijańskiej. Taka część teologii istnieje od 200 lat we wszystkich instytucjach teologicznych. Kiedyś nazywała się apologetyką, a dzisiaj teologią fundamentalną. Koledzy recenzenta reprezentujący tę dziedzinę przecieraliby oczy ze zdumienia. Komentarz ironiczny: ale czego się nie robi, żeby powalić niewygodnego habilitanta.

Wytykanie, czego Piotrowski nie napisał

To jedna z najgłupszych figur erystycznych. Znika zainteresowanie zamiarem, meritum i celem ocenianej pracy – pojawia się tworzenie wrażenia, że habilitant jest nierzetelny, bo „czegoś nie napisał”. Przykłady:

Ks. prof. Janusz Królikowski: „Przedstawianie przez Autora rozprawy interpretatorów Wielkanocy jako »niezmiennie różnorodnych« jest może sugestywne, ale dalece niewystarczające w pracy, która ma mieć charakter krytyczny i rzeczywiście stawia sobie na celu wniesienie czegoś zasadniczego do teologii. Samo zestawienie »różnorodnych« interpretacji nie wnosi niczego, oprócz oczywiście potwierdzenia, że taka różnorodność istnieje. Do takiego wniosku nie potrzeba bynajmniej przygotowywania specjalnej rozprawy.

Ogrom, co trzeba przyznać, wykonanej pracy o charakterze referującym nie został więc nawet w malej części wykorzystany przez Autora rozprawy. Można tutaj zauważyć, że z krytycznymi uwagami spotyka się w rozprawie jedynie nauczanie Kościoła na temat zmartwychwstania”.

Komentarz SO i TP: Czego by habilitant nie zrobił, musi to być kucha...

Tenże: „Można by więc oczekiwać, że po zwróceniu już we wstępie uwagi na znaczenie metody historyczno-krytycznej otrzymamy w rozdziale I jakieś pogłębione spojrzenie na zmartwychwstanie Jezusa w świetle źródeł biblijnych. Otrzymaliśmy natomiast zestaw świadectw nowotestamentowych mówiących o zmartwychwstaniu Jezusa oraz ze-

gorszego rodzaju – recenzent sugeruje, że autor robi coś niedopuszczalnego, »zapominając«, że to samo robi on sam.

Jakie wnioski?

Zapewne dla każdego z Czytelników po zapoznaniu się z pokazanymi wyżej przykładami jest jasne, co tu się stało. Myślimy też, że jest jasne, iż nie chodzi o idiotyzmy, które pokazują owe przykłady. Chodzi o to, dlaczego teologowie, uważający się za poważnych, bez skrupowania prezentują takie idiotyzmy.

Powodem nie są ani poglądy Eligiusza Piotrowskiego, ani poglądy recenzentów. Powodem jest chora niezgoda na to, że ktoś może być bardziej twórczym teologiem niż którykolwiek członek poklepującej się wzajemnie po plecach „gildii” czy też, jak to ujął jeden z uważnych obserwatorów polskiej rzeczywistości teologicznej: „kasty, która nigdy nie wybacza”.

To musi mieć skutki. Skutkiem jest samodławienie się polskiej teologii. To dlatego zatytułowaliśmy ten tekst „Polska teologia jako rosnąca klęska”. To krótki tekst. Przedstawiamy go jako wezwanie do dalszej poważnej rozmowy o tej klęsce.

I jeszcze jedno. Naszym zdaniem sprawa wykracza daleko poza casus ks. dra Eligiusza Piotrowskiego, ale dotyczy samego sedna obecności Kościoła katolickiego w polskim społeczeństwie. Przed laty znakomita filozofka Barbara Stanosz opublikowała książkę „W cieniu Kościoła, czyli demokracja po polsku”. Stanosz nie dotykała kościelnego szkolnictwa wyższego, bo na początku lat 90. było ono wewnętrzną sprawą polskich biskupów. Dzisiaj, w połowie trzeciej dekady XXI wieku, stało się ono częścią pejzażu wyższej edukacji w Polsce.

Z książki Bogusława Śliwerskiego „Turystyka habilitacyjna Polaków na Słowację w latach 2005-2016”, wiemy, że szczególnie chętnie uprawiali ją duchowni katolicy. To samo możemy powiedzieć o bliskich związkach z Kościołem Collegium Humanum – rozmiar panującej w tej szkole patologii ciągle poznajemy.

Dzięki przedstawionemu przez nas przypadkowi patologii, do jakiej doszło na Wydziale Teologicznym działającym w ramach Uniwersytetu Opolskiego, wiemy, że patologia toczy samo sedno struktur akademickich polskiej teologii katolickiej. Wyda-

NIE MIAŁEM W DŁONIACH ŻADNEGO SZTYLETU



Próbowano
mnie ubrać w szaty
Robespierre'a,
nazywano Brutusem.

Jednej strony – zarzuty dotyczące mobbingu i działania na szkodę stowarzyszenia. Z drugiej – oskarżenia o spisek w celu przejęcia władzy. W takiej atmosferze przebiegały wybory prezesa Stowarzyszenia Filmowców Polskich. Ostatecznie reżyser Jacek Bromski, który pełnił tę funkcję od 1996 r., o włos przegrał ze scenarzystą Grzegorzem Łoszewskim, który kandydował z poparciem większości zarządu SFP. Sprawą ewentualnych nieprawidłowości zajmie się prokuratura. Zanim oddamy głos nowemu prezesowi, przypomnijmy, o co właściwie ta cała afera.

Jaki scenariusz dla branży filmowej?

Stowarzyszenie Filmowców Polskich zrzesza i reprezentuje interesy ludzi filmu. Jest jednym z głównych organizatorów m.in. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, a działające przy nim Studio Munka wspiera debiutantów.

Ale SFP to przede wszystkim organizacja zbiorowego zarządzania (OZZ). W imieniu twórców pobiera należne im tantiemy, czyli wynagrodzenie za każde wykorzystanie utworu. W tym celu powołano Związek Autorów i Producentów Audiowizualnych. SFP-ZAPA potrąca 10 proc. z tantiem na swoją działalność statutową. Ustawa precyzuje, że trzeba je wydać na cele o charakterze socjalnym, kulturalnym i edukacyjnym.

Członkowie zarządu SFP powzięli podejrzenia, że ekipa prezesa Bromskiego marnotrawi część tych pieniędzy. Zarząd rozpoczął więc wewnętrzną kontrolę, wcho-

dząc w konflikt z Bromskim. Na jaw zaczęły wychodzić nadużycia, do których według informacji od sygnalistów miało dochodzić w stowarzyszeniu. Część zarzutów (mobbing, nepotyzm) dotyczyła byłej dyrektorki biura SFP. Środowisko zbulwersowały jej zarobki (jak podała „Polityka” – 45 tys. zł miesięcznie), do których dochodzić miały jeszcze premie, nagrody (ponad milion rocznie) czy odpawy, po których zatrudniała się ponownie.

Sam Bromski według sygnalistów alarmujących zarząd miał wykorzystywać majątek i pracowników SFP do prywatnych celów.

W konsekwencji doszło do zmiany warty. Kadencję Bromskiego, który najpierw sam zrezygnował z funkcji, a następnie wystartował w konkursie, dokończy Grzegorz Łoszewski. Będzie prezesem SFP do kolejnych wyborów, za dwa lata.

Zmiany, zmiany

Wybór nowego prezesa SFP to niejedyny ważne rozstrzygnięcie dla środowiska filmowców w ostatnich tygodniach. Przez Sejm przeszła nowelizacja prawa autorskiego dająca polskim twórcom i artystom wykonawcom tzw. tantiemy z internetu. Do uregulowania tej kwestii zobowiązywały Polskę unijne dyrektywy. Do tej pory takie opłaty odprowadzały kina i nadawcy telewizyjni, ale filmowcy nie dostawali żadnych pieniędzy za rozpowszechnianie na platformach streamingowych, nawet jeśli ich film czy serial okazał się wielkim hitem. Teraz się to zmieni.

Oprócz tego w konkursach wyłoniono dyrektorów dwóch instytucji kluczowych

z perspektywy branży, a upolitycznionych pod rządami PiS. Chodzi o Polski Instytut Sztuki Filmowej, gdzie za kadencji Radosława Śmigulskiego miało dochodzić do nieprawidłowości także przy przyznawaniu dotacji. Teraz PISF-em pokieruje Karolina Rozwód.

Z kolei misję odbudowy FilMOTEKI Narodowej – Instytutu Audiowizualnego (FINA) konsekwentnie niszczonej przez ludzi z nadania ministra Piotra Glińskiego powierzo- no Tomaszowi Kolankiewiczowi.

Z GRZEGORZEM ŁOSZEWSKIM, NOWYM SZEFE M STOWARZYSZENIA FILMOWCÓW POLSKICH ROZMAWIA PIOTR GUSZKOWSKI

PIOTR GUSZKOWSKI: Zaraz po wyjątkowo burzliwych wyborach na prezesa SFP wyjechał pan łowić łososie. Podobno, żeby nie zwariować. Ryby pomogły?

GRZEGORZ ŁOSZEWSKI: To jedyny możliwy urlop, nie dało się go przełożyć. Przed wyjazdem wpadłem jeszcze do biura. Telefonu nie wyłączyłem, o czym sam się pan przekonał, kiedy zadzwonił w sprawie wywiadu. Byłem na gorącej linii przed głosowaniem w Sejmie nowelizacji ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych, która wreszcie reguluje kwestię tantiem z internetu. Stowarzyszenie od początku roku skutecznie reprezentowali w tej walce młodzi filmowcy.

Za mną miesiące życia w napięciu, z eskalacją w okresie przedwyborczym i kulminacją na walnym zebraniu członków

SFP. Uznałem, że wszystkim zrobi dobrze kilka dni na uspokojenie emocji.

Emocje podczas wyborczego zebrania były ogromne. Spodziewał się pan takiej polaryzacji?

– Wiedziałem, że zwolennicy Jacka Bromskiego są zmobilizowani. Okazali się również świetnie zorganizowani; zebrali upoważnienia do reprezentowania nieobecnych członków SFP. Jedna osoba mogła mieć zgodnie ze statutem aż siedem takich pełnomocnictw.

Czyli takiej osobie wydawano siedem pilotów do głosowania?

– Technicznie blokuje się te głosy na aparacie osoby upoważnianej. Otwiera to być może pole do manipulacji głosami, stąd wpłynął już wniosek o zmianę statutu, żeby tych pełnomocnictw w przyszłości było mniej. Natomiast ostatnie wybory odbyły się jeszcze na starych zasadach. W trakcie walnego część osób, która zamierzała poprzeć Jacka, przeszła na stronę moją i zarządu. Wyniki kolejnych głosowań pokazały, że podział wynosi 50/50. Potocznie mówi się, że szło to na żyletki.

Jacek Bromski zdobył 351 głosów, pan – 355. Ale nawet tak niewielka różnica nie oddaje chyba tamtej atmosfery.

– Dotarły do mnie głosy, że niektórzy z uczestników zjazdu nie byli w stanie wytrzymać na sali. To była bezpardonowa walka o utrzymanie władzy, dochodziło do przekroczenia granic smaku i dobrego wychowania. Padły oskarżenia pod adresem zarządu, komisji rewizyjnej. Mnie próbowa-

no ubrać w szaty Robespierre’a, nazywano Brutusem. Ale nie miałem w dłoniach żadnego sztyletu. Stałem po stronie prawdy i ludzi, którzy mi zaufali.

„To nie są żadni sygnaliści, to donosiciele!” – grzmiał reżyser Jerzy Hoffman.

– I został wybuczany, bo to były niegodne wielkiego mistrza słowa. Sygnaliści, których nazwał donosicielami, podpisali się z imienia i nazwiska gotowi zeznać w prokuraturze. Informując najpierw o nadużyciach w biurze SFP, potem o podejrzeniu straty na rzecz stowarzyszenia, nie mieli żadnego zabezpieczenia, ryzykowali pracę i dobre imię w przyszłości. Wykazali się wyjątkową odwagą obywatelską. Bardzo ich szanuję.

Pojawiały się też pretensje do zarządu, że sprawę tych oskarżeń upubliczniliśmy. Nie planowaliśmy tego.

Jak to?

– Żeby mnie pan dobrze zrozumiał: nie zamierzaliśmy zamiatać sprawy pod dywan, natomiast początkowo chcieliśmy wyjaśnić to wewnętrznym. Podjęliśmy kilka prób mediacji z Jackiem i jego otoczeniem. Nic to jednak nie dało. Jacek podporządkował sobie biuro SFP, mieliśmy ograniczony dostęp do dokumentów i naszych organizacyjnych kanałów komunikacji z członkami. Dopiero po konsultacjach z prawnikami, którzy przeanalizowali charakter oskarżeń, zdaliśmy sobie sprawę z tego, że do zbadania sprawy niezbędne są narzędzia śledcze.

– Myślę, że podziały wynikają w głównej mierze z niewiedzy i braku komunikacji. W trakcie kampanii wyborczej Jacek i jego zwolennicy przedstawiali mnie jako tego, który wszystko odbierze, wręcz zniszczy dorobek ostatnich lat. Na czele z programami socjalnymi, dopłatami do obiadów czy wyjazdów integracyjnych.

Powtarzałem, że nic nie zamierzam odbierać, przeciwnie – chciałbym znacznie zwiększyć pulę pieniędzy przeznaczanych zgodnie z ustawą na działalność o charakterze socjalnym, kulturalnym i edukacyjnym.

Jeśli mówiłem o ograniczeniu kosztów, chodziło mi o koszty działalności biura i prezesa, czyli władz SFP. Do tej pory zbyt dużo pieniędzy szło na dobra luksusowe. Dla przykładu mamy na stanie kilka samochodów, w tym auta klasy premium. Koszt utrzymania i leasingu to obciążenie dla budżetu SFP. Według mnie niepotrzebne. Chcemy skończyć z tym bizantyjskim stylem.

„Ludzie byli zwalniani i dostawali pieniądze za milczenie, zawierano ugody przedsądowe” – tak w rozmowie z Onetem sytuację opisywały wiceprezeski stowarzyszenia Kinga Dębska i Karolina Bielawska. Ile kosztowały SFP podpisywane przez Jacka Bromskiego ugody z byłymi pracownikami biura, którzy dochodzili zadośćuczynienia za mobbing i doprowadzenie do rozstroju zdrowia?

– Za dużo. Nie wyobrażam sobie, żeby to mogło się powtórzyć ani że prawa pracow-



Grzegorz Łoszewski

• Prezes Stowarzyszenia Filmowców Polskich, wcześniej od 2022 r. członek zarządu. Scenarzysta. Piszę dla filmu, teatru i telewizji. Za scenariusz „Komornika” zdobył nagrodę na FPFF w Gdyni oraz Orła – Polską Nagrodę Filmową. Pomysłodawca telewizyjnego cyklu „Święta polskie”. Na koncie ma również scenariusze filmów „Bez wstydu”, „Minghun” oraz odcinki seriali „Ojciec Mateusz” czy „Miodowe lata”. Wykładowca Szkoły Filmowej w Łodzi i Gdyńskiej Szkoły Filmowej.

Przedmieściu w Warszawie. Wynajmujecie również lokal w siedzibie SFP przy ul. Pańskiej 85.

– Trzeba zacząć od wyzerowania strat, a potem doprowadzić do wygenerowania zysku. To się nie stanie z dnia na dzień. A zysk, jak już się pojawi, będzie inwestowany w naszych członków: przeznaczany na opiekę

Jacek Bromski i jego zwolennicy przedstawiali mnie jako tego, który wszystko odbierze. Włącznie z dopłatami do obiadów

Myślę, że ogromne emocje wynikały stąd, że dość późno poinformowaliśmy koleżanki i kolegów o sytuacji wewnątrz stowarzyszenia oraz podjętych przez zarząd działaniach wyjaśniających i naprawczych.

Ponieważ priorytetem było dla nas przeprowadzenie do końca ustawy o tantiemach z internetu, nie chcieliśmy wokół naszych spraw robić szumu, który mógłby przesłonić to, co było najważniejsze z naszego punktu widzenia w tamtym czasie.

Pierwsze czytanie ustawy na sejmowej komisji kultury i środków przekazu odbyło się dziesięć dni przed wyborami. Zostawało mało czasu, a – jak wspominałem – byliśmy odcięci od kanałów komunikacyjnych. Za pośrednictwem zarządów kół i sekcji działających w ramach stowarzyszenia mogliśmy dotrzeć do ich przedstawicieli. Ale to 30 proc. członków, reszta nie należy do żadnego z kół ani sekcji. Wiele osób dowiedziało się więc o wszystkim dopiero na walnym. Stąd eksplozja emocji.

Jest takie wymowne zdjęcie odchodzącego Jacka Bromskiego, który z teczka w ręce kieruje się samotnie do wyjścia z sali, gdzie odbyło się walne – zdaje się, że zrobił je Juliusz Machulski. Rozmawiał pan z Bromskim po głosowaniu?

– Podąłem Jackowi rękę, padły jakieś grzecznościowe słowa. Ale żeby porozmawiać – nie było okazji. Jeszcze.

Co z zawiadomieniem do prokuratury, które złożyliście w związku z doniesieniami o nieprawidłowościach w SFP?

– Mogę powiedzieć, że sprawa się toczy. My możemy się wreszcie zająć bieżącymi kwestiami.

Skoro jest pan świadom wewnętrznych podziałów w SFP, to co pan zamierza w tej sprawie zrobić?

nicze w biurze nie będą respektowane. Ale deklaracje to za mało. Już podjęliśmy decyzję o powołaniu rzecznika dla sygnalistów. Zdecydowaliśmy się to zrobić, nie czekając na wejście w życie ustawy o ochronie sygnalistów.

Większość pieniędzy, jakimi dysponuje SFP, pochodzi z 10 proc. pobieranych z tantiem. O jakiej kwocie konkretnie mówimy?

– W 2023 r. nasz budżet po odprowadzeniu podatków wyniósł ok. 22 mln zł.

Ze sprawozdania, na które powołuje się „Polityka”, wynika, że na „pomoc dla seniorów” poszło z tego 226 tys. zł. To zaledwie 1 proc. waszego budżetu. Mało, biorąc pod uwagę, że wciąż podkreślano, ile Bromski robił dla tej grupy.

– No właśnie, dokładnie o tym mówię! Przypomnę również po raz kolejny, że – przy całym uznaniu dokonania Jacka – to nie była żadna dobra wola prezesa, ten obowiązek na SFP jako organizację zbiorowego zarządzania nakłada ustawa.

Z pana wcześniejszych zapowiedzi wynikało, że grubej kreski nie będzie.

– Na pierwszym zarządzie po wyborach przegłosowaliśmy przeprowadzenie dwóch audytów. Chodzi, po pierwsze, o sprawdzenie, jak były wydawane pieniądze pochodzące z tantiem – chcemy wprowadzić nowe regulacje wewnętrzne, żeby nieprawidłowości nie mogły się więcej zdarzyć.

Po drugie, przyjrzymy się działalności gospodarczej SFP. Nie mówię teraz o nadużyciach, ale gospodarczej racjonalności, której w tym obszarze brakowało.

Przypomnijmy: SFP ma restaurację przy domach pracy twórczej w Kazimierzu Dolnym i Sopocie oraz przy Krakowskim

zdrowotną, na szkolenia, które postulują młodzi filmowcy.

Pan wie, kto jest najemcą lokalu w siedzibie SFP?

– Nie jest to chyba żadna tajemnica, choć nie znam właścicielki osobiście. Jesteśmy zadowoleni, że mamy u siebie doskonałą restaurację, której chińska kuchnia uchodzi za najlepszą w Warszawie. Nie jesteśmy zadowoleni jedynie z zysku, jaki osiągamy z wynajmu.

Mówił pan, że osiagacie z wynajmu zysk mniej więcej czterokrotnie niższy, niż powinniście, biorąc pod uwagę realia rynkowe. W jednym z wywiadów właścicielka stwierdziła tak: „Powoli wycofywałam się z branży gastronomicznej, ale do powrotu namówił mnie Jacek Bromski, mój wieloletni przyjaciel i prezes stowarzyszenia”. Może to tłumaczy umowę najmu odbiegającą od realiów rynkowych?

– Nie wchodząc w szczegóły, chcielibyśmy doprowadzić do sytuacji, w której amortyzacja lokalu stanie się wreszcie racjonalna.

W takiej organizacji jak stowarzyszenie potrzebne jest lepsze gospodarowanie pieniędzmi, w wielu obszarach. Dużo pieniędzy przeznaczamy na dziesiątki wydarzeń kulturalnych, choćby dofinansowanie licznych festiwali, przeglądów czy programów edukacyjnych. Musimy się zastanowić, czy w obecnej sytuacji finansowej to właściwe podejście, czy nie lepiej skupić się jednak na flagowych festiwalach.

Jesteśmy współorganizatorami Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, Krakowskiego Festiwalu Filmowego i Koszalińskiego Festiwalu Debiutów Filmowych „Młodzi i Film”. Te festiwale są ważnym miejscem spotkań członków stowarzyszenia, a w zasadzie całego środowiska. Mimo to wydają się niedoinwestowane.

Skoro jesteście przy festiwalu w Gdyni. Prezes Bromski, co wiemy m.in. z relacji byłego dyrektora artystycznego Tomasza Kolankiewicza, próbował ingerować zarówno w selekcję filmów do konkursu głównego, jak i w wybór jury. Pan zamierza dołączyć do komitetu organizacyjnego?

– Prezesa Bromskiego zastąpiła w Komitecie organizacyjnym Kinga Dębska. Delegowanie jej jako przedstawicielki SFP okazało się świetną decyzją. We współpracy Kingi z dyrekcją festiwalu, czyli Joanną Łapińską i Leszkiem Kopciem, jest synergia, festiwal tylko na tym zyskuje. Nie mam najmniejszego zamiaru ingerować w organizację festiwalu ani selekcję konkursową, od tego są niezależne ciała z odpowiednimi kompetencjami. Nie zawsze muszę się z ich decyzjami zgadzać, ale takie jest życie.

Do tej pory na czele SFP stali reżyserzy.

To zresztą był jeden z argumentów przeciwko pańskiej kandydaturze. Jak scenarzysta odnajduje się w roli prezesa?

– Powiem panu za pół roku, bo na razie jestem w pędzie setek spraw. Na pewno nie przyszedłem z toporem. Zamierzam rozmawiać z ludźmi, ale chciałbym też, żeby brali na siebie odpowiedzialność – mam wrażenie, że sytuacja jednowładztwa, jaka tu panowała przez lata, była dla wszystkich z jednej strony bardzo wygodna, a z drugiej demobilizująca i niezbyt dobra dla samego stowarzyszenia.

A co do kompetencji scenarzysty... Faktycznie, można powiedzieć, że scenarzysta to ostatnia osoba, która powinna zarządzać organizacją. W końcu na co dzień pracuje poza zespołem. Natomiast wychowałem się w domu, w którym panował etos społecznictwa. Wewnętrzna potrzeba pracy dla innych, a tak postrzegam rolę prezesa stowarzyszenia, jest więc dla mnie czymś naturalnym. Wybrałem zawód samotnika – to prawda, co nie znaczy, że nie uczestniczę w różnych inicjatywach. Przed kilkoma laty zdecydowałem się na przykład na zebranie ludzi i wspólnie powołaliśmy Gildię Scenarzystów Polskich.

Jacek Bromski w ostatnich listach do członków SFP deprecjonował znaczenie innych stowarzyszeń i gildii.

– Zrzeszanie się przedstawicieli poszczególnych zawodów filmowych to fantastyczna sprawa. Uczymy się walczyć o swoje prawa i interesy, ale budując swoją tożsamość, z czasem dostrzegamy, jaką siłą jest solidarność. Moje doświadczenie współgra z tą zmianą myślenia.

Odpowiem na pana pytanie w ten sposób: odnajduję się jako prezes, bo wiem, że mogę współdziałać z ludźmi, liczyć na nich. Widzę siebie w roli osoby zarządzającej, a nie rządzącej. Takie kompetencje mam. Gdybym miał zostać prezesem w starym stylu, pewnie bym się na to nie porwał, to wbrew mojej naturze.

Drzwi do gabinetu prezesa SFP będą zawsze otwarte. Dopóki rozmawiamy, jest szansa na porozumienie. Inaczej pojedynczy interes być może się spełni, ale żadnego „razem” nie będzie. A kiedy jesteśmy razem, nasz głos jest zdecydowanie silniejszy. Jak w kwestii tantiem z internetu, które dzięki wspólnemu zaangażowaniu udało się wreszcie uchwalić. Dlatego mam zamiar powołać okrągły stół i wrócić do trudnych środowiskowych tematów. Chciałbym, żeby wszyscy mieli szansę powiedzieć o swoich rozczarowaniach i oczekiwaniach. Nie wiem, czy znajdziemy rozwiązania, ale chcę się przynajmniej tego podjąć.

Jeden trudny temat już widzę: tantiemy. Dotychczasowe zasady przyznawania tantiem kwestionują m.in. montażyści. Chcą mieć większy udział w podziale pieniędzy. Reżyserzy obsady walczą z kolej o uznanie statusu współtwórców, bo bez tego nie są do tantiem uprawnieni.

– W większości krajów tantiemy przysługują trzem grupom: reżyserom, scenarzystom i autorom muzyki filmowej. W Polsce

przed laty umówiono się, że system obejmie więcej zawodów. Mówiąc wprost, reżyserzy i scenarzyści zrezygnowali z kilkudziesięciu procent tantiemowego tortu, żeby zaspokoić oczekiwania m.in. operatorów obrazu. Krag współtwórców, którym przysługują tantiemy, został potem rozszerzony m.in. o scenografów.

Dziś aspiracje zgłaszają reżyserzy castingu, ale też kolorysty i specjaliści od nowych technologii. Przekonują, że ich wkład w powstanie utworu audiowizualnego ma charakter twórczy. Tort, który dzielimy, wciąż jest jednak taki sam.

Jak to rozwiązać?

– Nie będą to łatwe rozmowy, ale musimy szukać porozumienia.

Wśród tematów jest też aktualizacja katalogu tzw. czystych nośników.
– Znajdują się na niej płyty DVD, kasety magnetofonowe i VHS, a nie ma smartfonów, tabletów ani innych nowoczesnych urządzeń wykorzystywanych do powielania i utrwalania utworów. Oczywiście napotykamy opór producentów i sprzedawców, na których nakłada to opłatę reprograficzną.

Natomiast jesteśmy chyba ostatnim krajem w Unii Europejskiej, który tej sprawy nie uporządkował. Stąd pozew o odszkodowanie przeciwko Skarbowi Państwa. Rząd Donalda Tuska dostał go w spadku po zaniechaniach administracji Mateusza Morawieckiego. Mam nadzieję, że rozstrzygnięcia sądowe skłonią obecne władze do podjęcia rozmów. Czekamy tu na sygnał ze strony Ministerstwa Kultury.

Kwestia czystych nośników powiązana jest z ustawą o artyście zawodowym. Potrzeba zabezpieczenia socjalnego twórców jest jedną z kluczowych spraw dla środowiska. To niezbędne regulacje, choć obawiamy się sytuacji, w której doszłoby do podwójnego oskładkowania umów.

Spotkał się pan już z Karoliną Rozwód, nową dyrektorką Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej?

– Tak, i obiecuję sobie, że w udanej współpracy uda się dokonać wiele dobrego dla naszego środowiska. Dużo obiecujemy sobie po tej zmianie, podobnie z Filmoteką Narodową – Instytutem Audiowizualnym (FINA), gdzie nowym dyrektorem został Tomasz Kolankiewicz. Wszystkie te zmiany dają nadzieję na odnowę, usprawnienie działania i przywrócenie transparentności tych instytucji.

A jest co naprawiać. W ostatnich latach PISF był zarządzany w fatalny sposób, zachwiało to poważnie sytuacją egzystencjalną twórców.

W jakim sensie?

– Po pierwsze, wielu filmowców nie miało szans na otrzymanie dotacji. Przyczyny były różne, często polityczne. Część osób wykluczał również styl sprawowania władzy przez Radosława Śmigulskiego. Proszę pamiętać, że gros producentów to nie są ludzie z dużym kapitałem. Dla nich terminowość wypłat na poszczególnych etapach produkcji jest niezbędna do działania. Terminów nie respektowano, przez co niektórzy stanęli na krawędzi bankructwa. Brakuje słów, by określić taką praktykę instytucji publicznej.

Dla mnie niezmiernie przykrym aspektem tej sytuacji była bierność SFP, niezdolność organizacji do ujęcia się za poszkodowanymi filmowcami. Po co powstała nasza organizacja, jeśli nie do interwencji w takich właśnie sytuacjach? Tymczasem z SFP nie wychodził głos protestu, co więcej – do samego końca Jacek Bromski stał w obronie skompromitowanego dyrektora PISF.

Wśród wyzwań wymienia pan również przywrócenie TVP właściwej pozycji na rynku audiowizualnym.

– Chodzi w ogóle o media publiczne – o to, jak sobie wyobrażamy ich istnie-

nie i jaką rolę mają odgrywać. W naszym przypadku z oczywistych względów największe znaczenie ma Telewizja Polska. Przez lata jej kulturotwórcza rola była nie do przecenienia. Dziś jej dobra kondycja to kwestia zachowania niezbędnej równowagi na rynku audiowizualnym.

Doceniamy inwestycje platform streamingowych, które produkują coraz więcej filmów i seriali, dając przy okazji szansę debiutantom. Nie chcielibyśmy jednak, żeby dalsza degradacja Telewizji Polskiej poprowadziła do całkowitej komercjalizacji rynku. Rozmowa o przyszłości nie przesłania jednak teraźniejszości. To, co dziś martwi nas przede wszystkim, to kompletna niewydolność finansowa TVP. Mówiąc wprost: jej niewypłacalność.

TVP pozostaje bez pieniędzy z abonamentu, które blokuje Maciej Świrski, szef Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Ale sejmowa komisja finansów publicznych zaakceptowała przeznaczenie na media publiczne 600 mln z rezerwy celowej budżetu, w tym 480 mln dla telewizji. Za mało?

– To wszystko prawda, ale faktycznie działalność Telewizji Polskiej kredytują dziś zewnątrzni producenci. To oni od miesięcy nie otrzymują wypłat za filmy i seriele zrealizowane dla TVP. Zadłużenie sięga milionów. Nawet dla dużych firm to poważne obciążenie finansowe, a w przypadku mniejszych studiów filmowych oznacza niemożliwość dalszej pracy, bo nie mają one środków, które zapewniłyby stabilność procesu produkcyjnego.

A co z tantiemami?

– TVP w bieżącym roku przestała przekazywać tantiemy, chociaż niedawno dokonała wpłaty za ostatni kwartał ubiegłego roku. Boimy się jednak, że strata ta w tym roku sięgnie kilkudziesięciu milionów. Pewnie kiedyś odzyskamy te pieniądze, natomiast na bieżąco nie są wypłacane. To oczywiście nie polepsza sytuacji twórców.

Jak pan sobie wyobraża wsparcie produkcji audiowizualnej przez Telewizję Polską, skoro nie stać jej nawet na bieżące zobowiązania?

– Rozwiązanie tego problemu sprowadza się do konkretnych decyzji politycznych i wypracowania nowej, odpowiadającej współczesności wizji tej instytucji. Mam nadzieję, że politycy znajdą dla nas czas, a przede wszystkim – że wejdziemy w tę rozmowę na partnerskich warunkach. Jesteśmy twórcami. Bez nas nie byłoby kultury, która jest wartością samą w sobie, a zarazem szansą dla każdej społeczności, dla każdego kraju na zaznaczenie swojej obecności w świecie.

W tym roku w konkursie festiwalu w Gdyni znajdzie się „Minghun” Jana P. Matuszyńskiego według pana scenariusza.

– Już cieszę się ze spotkania z widzami.

Upraszczając, film opowiada o radzeniu sobie ze stratą. Skąd pan wziął pomysł na zbudowanie scenariusza wokół próby odprawienia chińskiego rytuału minghun, tzw. zaślubin po śmierci?

– To długa historia, film długo leżał we mnie, bohaterowie nie dawali o sobie zapomnieć. W którymś momencie zyskałem w końcu wewnętrzną pewność, że powinienem opowiedzieć tę dziwną historię, w której chiński wątek jest tylko pretekstem, kluczykiem do intymnego świata przeżywania żałoby, która przędzej czy później dotyka każdego z nas.

Czy znajdzie pan jeszcze czas na pisanie scenariuszy? A może już pan coś pisze?

– Scenariopisarstwo to raczej wymyślanie niż pisanie. Tak więc codziennie myślę, pytanie: kiedy znajdę czas, żeby to spisać. ●

FOT. MIECZYSLAW MICHALAK / AGENCIA WYBORCZA.PL



WIERSE POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Julian Kornhauser

Już nieświeży oddech pochod

Wszystkie troski tają jak
śnieg wiosenny
(I. Turgieniew)

Zamknięty pochod

Tu i tam

Zamknięta seria której nie pokazywano w telewizji

Śnieg stopniał tak

Szybko że nie zdążyliśmy zaprosić go

Do dzienników gazety pamiętamy

Malowały grube

Usta rynek krążył ze zdwojoną

Szybkością wokół

Słońca

Przyspieszone oddechy spikerów

Premier dziękował kłaniał się

Pukał w nieheblowany stół tyle

Z tej zimy dotarło

Do naszych rękawiczek

Haftowane wieczorem orły pruły

Się powoli apteki

Wydawały aspirynę i krople

Do nosa

Nowe symbole dezynfekcja

Piękne książki dezynfekcja wszystko

Będzie dobrze dezynfekcja

Dezynfekcja dezynfekcja znowu

Z takich małych pluszowych

Niedźwiadków Polska odbuduje

Sobie serce

I sumienie

Zabójstwo

Zostaniesz zabity w południe, na skraju
miasta, pod bokiem komendy, na plecach
urzędu, zostaniesz zabity z premedytacją

i starannie, tak by nikt nie poznał,

by nikt nie poznał, kto ty jesteś,

jaki twój zawód, jaki rys szczególny,

jaka Polska w tobie jeszcze nie zginęła.

Nie zginęła we mnie jeszcze trucizna

uczciwości, gwizd lokomotywy, o którym

wspomina poeta w samobójczym wierszu,

dlatego tak często przesiaduję na granicy

państwa, aby oglądać wbitego na pal

orla, którego skrzydła rozmieniamy na

pięćdziesięciogroszówki.

Zamieszczone tu utwory Juliana Kornhausera (ur. w 1946 r., poety, prozaika, krytyka, profesora UJ) pochodzą z tomu „Zabójstwo”, wydanego poza cenzurą w roku 1973 przez Janusza Andermana i rysownika Wacława Potoczka. Ilustrowane i oprawne w płótno „Zabójstwo” składa się z dziesięciu wierszy, skreślonych przez cenzurę z książek poetyckich Kornhausera „Nastanie święto i dla leniuchów” (1972) oraz „W fabrykach udajemy smutnych rewolucjonistów” (1973). Służba Bezpieczeństwa rozpracowała tę inicjatywę. Z przecieków wiadomo było, że planuje proces, do którego nie dopuścił ówczesny I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR Józef Klasa: „Nam, towarzysze, nie potrzeba na naszym terenie męczenników”. W zamian Anderman został wyrzucony z pracy w krakowskim oddziale TVP. Miał również rozprawę przed kolegim do spraw wykroczeń, które skazało go na najwyższy wówczas wymiar grzywny za wymyśloną przez SB rozróbę w hotelu Cracovia. Pożyczki na zapłatę owej grzywny udzielił mu Adam Zagajewski.

Dlaczego wszyscy czepiają się „Wyborczej”

MOJE WŁASNE DZIECI LAJKUJĄ „TAGESSCHAU”

Uczęszczałam do szkoły, w której przedmioty „polityka” i „historia” miały status na równi z matematyką i niemieckim. „Polityka” na maturze była obowiązkowa

Magdalena Parys

Gazeta Wyborcza” kończy w tym roku 35 lat. Świętuję z nią, bo nadal jest. Bo przetrwała. Bo nie widzę w niej bezosobowego tworu, lecz ludzi.

•
Ósmego maja 1989 roku, kiedy ukazuje się pierwszy numer, w Polsce stacjonują wojska radzieckie, mur berliński upadnie dopiero za pół roku, w Berlinie Wschodnim zdążą odbyć się jeszcze obchody 40. rocznicy powstania NRD z udziałem Gorbaczowa. Ludzie powitają go okrzykami: „Gorbi, Gorbi, pomóż nam!”. We wszystkich krajach bloku wschodniego chwieje się, ale jeszcze jest socjalizm. Obrady Okrągłego Stołu przypadają w Polsce na luty-kwiecień, w Czechosłowacji rząd ustąpi w grudniu, na Węgrzech obrady przy Trójkątym Stole zaczęły się dopiero za rok. W Polsce niezależna od partii i wpływów z zewnątrz „Wyborcza” ukazuje się regularnie od pół roku. I od pierwszego wydania ma olbrzymią rzeszę czytelników.

To pierwsza gazeta, która jest ogólnie dostępna i wolna. „Wolna” znaczy wtedy coś innego niż dzisiaj. Świat jest prostszy. Owszem, istnieją już prawdy alternatywne i fakty równorzędne, ale nie w naszych domach. Zło nie roznosi się przez sieć wirtualną, bo sieci jeszcze nie ma, i chcąc przekazać prawdę czy plotkę w świat, trzeba wyjść z domu lub zamawiać rozmowy międzymiastowe, międzypaństwowe. Zdjęcia to też nie taka prosta sprawa, trzeba swoje odczekać, żeby je wywołać. Świat jest powolniejszy i do tego stawia na dosłowność, dlatego „wolna” znaczy wolność.

To, co „Wyborcza” pisze, nie musi się podobać w tamtych czasach i nie musi dzisiaj, ale w 1989 roku powstaje po raz pierwszy coś, czego od ponad 40 lat w Polsce nie było. Nie było słowa drukowanego, które nie przeszłoby przez ręce cenzora. W kinie, teatrze, w każdej gazecie i w każdym wydawnictwie przedstawiciel władzy czuwał nad słowem.

Przepraszam starszych czytelników, że tłumaczę podstawowe rzeczy. Z jednej strony to piękne, że młodszemu pokoleniu trzeba tłumaczyć, na czym polegała praca cenzora (skracał, wykreślał lub nie dopuszczał do wydania artykułów, powieści, re-

portaży, poezji). Z drugiej strony cieszę się, że tłumaczę, bo niewiele brakowało, żeby nie musiała tłumaczyć, oto bowiem czytający i piszący już niedługo mogliby tego sami doświadczyć. Telewizja mojego dzieciństwa to telewizja Jacka Kurskiego, nawet występuje w niej ta sama, niezniszczalna i neutralna (ale zawsze wspaniała) Maryla Rodowicz, tylko zamiast PiS jest Związek Radziecki.

Więc po kilku dekadach nawet do najbardziej opornych dociera, że telewizor włącza się dla „Czterdziestolatka”, „Czarnych chmur”, „Janosika” i koncertu w Sopocie, a „Wiadomości” – przepraszam, „Dziennik Telewizyjny” – ogląda się tylko dla pogody i informacji sportowych. Dla młodszych są „Wakacje z duchami”, „Pan Samochodzik”, wieczorynki i „Teleranek”. W niedzielę jest zawsze awantura, bo telewizja puszcza rano fajne przedwojenne filmy, a mnie i moim koleżankom z Gdańska babcie każą iść do kościoła.

Polska w „Dzienniku”, reportażach, kronice filmowej jest zasobna, rolnicy uśmiechnięci, mieszkańcy miast szczęśliwi, dominuje perspektywa z lotu ptaka, wszędzie kolorowe dywany zbóż (z awionetki – dronów też jeszcze nie ma – biedy, odpadających tynków z szarych bloków, wsi bez toalety i łazienki, kamienic bez bieżącej wody nie widać). Rzeki są czyste, nie ma morderców, nie ma gwałcicieli. Polska wstała z kolan już dawno. We wszystkich dziedzinach dościga Zachód. A w Ameryce i zachodnich Niemczech strzelaniny, morderstwa, strach chodzić po ulicy.

Jest jeszcze kolorowa prasa kobieca, techniczna, młodzieżowa, motoryzacyjna, którą zamawia się w kioskach „do teczek”, bo to towar, którego brakuje, i towar pożądany – dla oddechu i zapomnienia, dla mody, niewinnych plotek i kultury.

■
W moim domu nie było dziennikarzy, polityków, pisarzy. Pochodzę ze świata cicio i wujów, którzy trzymali na parapecie Wałęsę obok Jana Pawła II, czytali „Wyborczą”, a dziś nie cierpią „Wyborczej”

Kiedy chce się dowiedzieć czegoś o kraju czy o świecie, słucha się Wolnej Europy, czyta bibulę, książki wydawane w drugim obiegu.

Wiem, że to oczywiste, ale zanim się rozpiszę, muszę podłożyć solidny fundament.

•
Mama, która na początku lat 80. opuściła Polskę w wieku 34 lat, domaga się, abym dodała jeszcze serial „Wojna domowa” oraz „Kabaret Starszych Panów”, Teatr Telewizji i „Kabaret Olgi Lipińskiej”. Szykuje mi także listę książek. Tłumaczę jej, że nie o to w tym artykule chodzi. Nie słucha, twierdzi, że z gazet zapomniałam wymienić „Po Prostu” i „Przekrój”, powtarzam, że ten tekst jest nie o tym. Że chcę napisać o gazecie, która nie powstała w PRL-u, nie jest kontynuacją czegoś, co było. Piszę o gazecie, która powstała w okresie decydującego przełomu w (prawie) wolnej Polsce. O gazecie, która przetrwała do dzisiaj. To naprawdę nie jest takie oczywiste. Ile gazet w Polsce świętuje dziś 35-lecie? (algorytm podpowiada, że jeszcze miesięcznik „Pani”).

Mama domaga się głosu. Według niej prasa polska jest na najwyższym poziomie. Filmy, teatr, w ogóle cała dawna i dzisiejsza Polska; im dłużej w niej nie mieszka, nieprzerwanie zyskuje w (jej) oczach. Przypomina mi trochę Iwaszkiewicza z „Książki moich wspomnień”: „Myślałem przez pewien czas, że jestem podobny do babuni z »Ładnej historii« Cailavetta i Flersa, która uważała Ludwika Filipa za najlepszego króla francuskiego, ponieważ za jego panowania miała 16 lat”.

Oto dowiaduję się od polskich emerytów, że w PRL żłobki, przedszkola i szkoły były dostępne dla wszystkich dzieci i ogólnie wszystko było za darmo. Służba zdrowia była lepsza. Nie było bezrobotnych. Świetna komunikacja miejska, większa i wszelaka. Podobne historie słyszę od wiekowych znajomych z byleż NRD, za ich młodości wszystko było w sklepach i o wiele zdrowsze. Uwaga, że pestycydy i herbicydy świętowały wtedy swoje złote czasy, spotyka się z niebywałym oburzeniem. Dalszych uwag lepiej nie wysuwać.

•
Wyjeżdżam z Polski, mając 12 lat, czuję się jak dorosły, doświadczony człowiek, sporo rozumiem, niczego nie zapomniałam. Tego się nie da odzapomnieć. Wiem na przykład, że do przedszkola poszłam tyl-





**Wkwestiach czytania Europa jest konserwatywna.
Lubi papierowy fundament, ciągłość, tradycję.
Im świat jest płytszy, szybszy, tym bardziej stawia
na wieloletnią markę**

ED: WALTERSCHMIDT/FAZ NEWS

ko dlatego, że tata miał znajomości w urzędach i regularnie zaopatrywał tam wszystkich w koniaki. Oczywiście, żeby dostać się w swoim rejonie, nie było mowy, więc po pół roku oczekiwania drałowałam z tatą na piechotę przez pół miasta do przedszkola. Autobusy, tramwaje tam nie dojeżdżały.

Na parapetach obok papieża stały fotografie Lecha Wałęsy. Krewni awanturują się, że to nieprawda, że tylko Papież i Matka Boska, ale ja pamiętam.

Wycinało się zdjęcie Lecha z ulotek, wyciągało ułana Bolesława z ramek i wymieniało na Lecha. Nie zapomnę też, jak dekadę później, tuż przed upadkiem muru, odwiedzałam Polskę i wujek z kolegami szli na spotkanie z Adamem Michnikiem do stoczni czy Gedanii, wracali potem zatonieni w refleksjach. Nad Polską. Wiele wujków, dzisiaj zacierzewanionych wyborców PiS, nie chce pamiętać, że wtedy Michnik był dla nich dobry, wtedy czytali „Wyborczą”, wtedy wielbili Lecha.

Zwykły człowiek nie zastanawiał się nad frakcjami, rozłamami w „Solidarności”. Dla mojego wujka i cici, dla mojej byłej nauczycielki biologii i jej córki (wiele miesięcy internowanych) Wałęsa, Walentynowicz, Mazowiecki, Michnik, Kuroń, Krzywonos czy Kaczyński to było jedno dobro. Liczyło się tylko to, że Polska jest wolna.

W takim duchu powstawała „Wyborcza”.

Pochodzę ze świata tych cioc, wujów i nauczycielek biologii. W moim domu nie było dziennikarzy, polityków, pisarzy. Mój odbiór był odbiorem oddolnym. Powoli zyskiwałam też perspektywę z Zachodu. Za rok miałam zdawać maturę w Berlinie, ale odwiedzałam Polskę nieustannie. A kiedy padł berliński mur, znajdowałam się zaledwie kilkaset metrów dalej. Granicę polsko-niemiecką i berlińsko-berlińską przekraczałam na nielegalnym paszporcie w 1983 roku. A więc zabieram głos. Bo mogę.

Tymczasem upadały znienawidzony system i Związek Radziecki. Polityka wypychała się do domów każdą szparą. W takiej chwili obojętnych nie było. Uczęszczałam do szkoły, w której przedmiot polityka i historia miały status na równi z matematyką i niemieckim. Polityka na maturze była obowiązkowa. W latach 80. do naszej niemieckiej szkoły przyjeżdżał profesor Bartoszewski i inicjował pierwsze wymiany międzyszkolne między Wschodem a Zachodem. Wtedy to było coś niewyobrażalnego.

Od siódmej klasy na lekcjach historii zmieniający się co tydzień tandem uczniowski prezentował prasówki i dzięki temu znaliśmy każdy polityczny szczegół z najdalszych zakątków świata. Nauczyciel historii, legendarny Bachmann, uczył nas czytać świadomie gazety, rozróżniać dziennikarzy, polityków, partie. Przepytywał nas z nazw i nazwisk, niemal jak moja była nauczycielka rosyjskiego ze słówek w Gdańsku.

Nie mówiłam jeszcze na tyle dobrze po niemiecku, aby w prasówkach czuć się pewnie. Bałam się ich więc bardzo. Najgorsze były pytania koleżanek i kolegów. Po przedstawieniu wydarzeń z minionego tygodnia klasa chciała wiedzieć, dlaczego doszło do wojny, czy Francja robi potajemne eksperymenty nuklearne i tak dalej. Trzeba było znać historię poszczególnych partii, landów, tła afer politycznych, biografie polityków (ulubione pytanie Bachmanna: czy dany polityk należał do NSDAP, walczył w Wehrmachcie?), wiedzieć, kto rządzi w Brazylii. Siedziało się w bibliotekach i przygotowywało. Dniami, godzinami. Oceny z prasówek liczyły się bardziej niż te ze sprawdzianów.

Tylko jak opowiedzieć Niemcom cokolwiek, skoro kilka miesięcy wcześniej chodziło się w niebieskim fartuszkowi i na apel stało na baczność w peerelowskiej szkole. Powoli docierało do mnie, na czym polega wolność. Że największa wartość to dyskusja i niezgadanie się z nauczycielem. Przedstawianie swoich racji. I że nieposłuszeństwo to też demokracja. Że nie uczy się

na pamięć, lecz aby zrozumieć i przedstawić swoimi słowami.

I że uczy się tego wszystkiego po to, aby nigdy więcej żaden niemiecki obywatel nie powędrował posłusznie za fanatykiem ze swastyką.

Kiedy na lekcji polityki opowiadałam, co działo się w Polsce, nikt poza mądrym Bachmannem nie miał odwagi wierzyć, że coś podobnego może się wydarzyć we wschodnich Niemczech. Bo tam rządził wciąż Erich Honecker z antypatyczną Margot. A w Polsce już wychodziła „Wyborcza”.

Ponieważ na wszystko, co dzieje się w Polsce, patrzę z perspektywy 40 lat przeżytych w Niemczech, natychmiast przychodzi mi do głowy sytuacja z 1945 roku. Dwanaście lat po dojściu Hitlera do władzy, po klęsce, po wymordowaniu milionów ludzi w Niemczech mają się narodzić demokracja i wolna prasa. Ale jak układać zdania w państwie, w którym przez 12 lat słowa należały do Führera oraz ministra propagandy i oświecenia publicznego dr. Josepha Goebbelsa.

W jednym z jubileuszowych wydań „Die Zeit” czytam, że tylko w samej strefie brytyjskiej w pierwszym kwartale roku 1946 licencję otrzymało 40 nowych tytułów. Początkowo z powodu braku papieru pojawiały się jedynie dwa razy w tygodniu na czterech stronach. Przyjęto regulę, że licencję mogą otrzymywać wyłącznie wydawcy bez faszystowskiej przeszłości. Ilu dziennikarzy pisało wtedy pod fałszywym nazwiskiem lub ukrywało prawdziwą tożsamość, to już odrębny temat. Wiele uwagi i miejsca poświęcono temu w jubileuszowych wydaniach wszystkich gazet. Mroczna lektura, miejscami wstrząsająca.

Okrągłych rocznic ostatnio w Niemczech jest wiele, za chwilę będzie jeszcze więcej. „Die Zeit”, „Die Welt”, „Der Handelsblatt” skończą osiemdziesiątkę za dwa lata, tygodnik „Spiegel” za trzy, „Tagesspiegel”, „Süddeutsche Zeitung” już za rok. Swoje 75-lecie „Frankfurter Allgemeine” będzie obchodzić za trzy lata. Najmłodsza z tego grona „Die TAZ” dobiega pięćdziesiątki. A przecież to nie wszystkie niemieckie gazety szanowane i często cytowane w Europie.

Niemcom się więc udało.

W tym roku nasi sąsiedzi obchodzą uroczyscie – choć w cieniu rosnącej w siłę skrajnie prawicowej AfD – rocznicę 75-lecia konstytucji. Precyzyjniej, 75 lat ustawy zasadniczej RFN. Opublikowanej 23 maja 1949 roku na terenie stref okupacyjnych USA, Wielkiej Brytanii i Francji; tego samego dnia powstała Republika Federalna. Ale dlaczego mowa o ustawie zasadniczej, a nie o konstytucji? Otóż dlatego, aby podkreślić jej prowizoryczny charakter. Konstytucję miano uchwalić po zjednoczeniu Niemiec.

Jej pierwszy artykuł otwiera zdanie, które zna każdy niemiecki obywatel: „Godność człowieka jest nienaruszalna”. Zastanawiam się, jak najprościej wytłumaczyć Polakowi, dlaczego uznawane jest w Niemczech za święte. Najkrótszą odpowiedź znajduję w artykule Marcela Fürstenau’a w Deutsche Welle: „Narodziło się ono z poczucia bezprecedensowej winy, jaka spoczywa na nazistowskich Niemczech odpowiedzialnych za rozpętanie II wojny światowej 1939–45 i wymordowanie milionów ludzi w całej Europie, w tym sześciu milionów Żydów”.

Tak było w RFN. Ze wschodniej części Niemiec utworzono Niemiecką Republikę Demokratyczną. Czy ktoś pamięta, od jakich słów zaczyna się konstytucja NRD?

Oczywiście sytuacji Niemiec w 1945 r. nie sposób porównać do Polski z 1989 r. Tam stacjonowali Amerykanie, Brytyjczycy, Francuzi i Rosjanie i wszystkim, choć z różnych względów, zależało, aby prasa powstała jak najszybciej. Słowo było ważne. I chociaż cała Europa głodowała i zastanawiano się, czy w ogóle Niemcy mają

prawo nadal istnieć, dla słów szybko znalazł się papier.

Polska musiała sobie w 1989 roku sama zorganizować i papier, i słowa.

Nie wiem dokładnie, ile poważanych gazet utworzono lub chciano utworzyć w 1989 roku w Polsce. Ale tylko jednej udało się osiągnąć wyjątkowy status. Oczywiście jest wiele zasłużonych mediów w Polsce, ale albo mają zbyt trudną do wyartykułowania dla Niemca, Francuza czy Anglika nazwę, jak „Rzeczpospolita”, albo działają zbyt krótko, aby zdążyły wyrobić sobie na arenie międzynarodowej renomę, a do tego nie były wcześniej papierową gazetą, jak Onet. A Europa jest konserwatywna w tych kwestiach, lubi papierowy fundament, ciągłość, tradycję. Lubi wiele lat doświadczeń. Im świat jest płytszy, szybszy, tym bardziej stawia na wieloletnią markę.

Nazwa „Gazeta Wyborcza” też nie jest łatwa dla Francuza, Niemca, Anglika czy Włocha, a jednak radzą sobie z wymówieniem jej wcale nie najgorzej. Tak to już jest, kiedy przez dziesiątki lat setki razy coś słyszysz i sam powtarzasz – nauczysz się i nie zapomnisz.

Z tyłu głowy słyszę głosy skrupulatnej inteligencji polskiej w Niemczech, przypominają, że w największej rozgłośni radiowej Deutschlandfunk obok „Wyborczej” w przeglądzie prasy cytowana jest też „Rzeczpospolita”. Ale gdy pytam znajomych Niemców o polskie gazety, ożywają się tylko wtedy, kiedy wspominam „Wyborczą”.

A niby która inna? Nie pytajcie dlaczego. Nie wiem. Powtarza się to za każdym razem, także we Francji i we Włoszech, w Belgii i Austrii. Na festiwalach i targach książek w Europie, kiedy przedstawiając mnie publiczności, wspominano, że piszę felietony dla „Wyborczej”, robilo to na czytelnikach spore wrażenie. Zdecydowanie większe niż na Polakach w Polsce. Nasi bliźsi i dalsi sąsiedzi nie potrafili wymienić czołowych gazet z Węgier, Czech, ze Słowacji, z Chorwacji, Estonii, Łotwy, Bułgarii czy Rumunii, ale znali „Wyborczą”.

(A teraz z ręką na sercu przyznajcie Państwo sami, jak nazywa się największa gazeta w Litwie, Serbii, Mołdawii? Tylko bez zaglądania do Wikipedii, tak na szybko, z pamięci...)

Europa wyrobiła sobie zdanie o nas na podstawie tego, co widziała i co najczęściej słyszała przez ostatnich 35 lat. Europa Zachodnia mało wie o Europie Wschodniej, ale gdy słyszy „Wyborczą”, kojarzy ją z Polską.

Jaka Wschodnia? – już słyszę oburzone głosy. Niestety, z perspektywy Zachodu należymy do Europy Wschodniej. Możemy sobie leżeć centralnie czy środkowo i czuć się zachodnio, ale dla Zachodu Czechy, Estonia, Litwa czy Polska to jedna Europa Wschodnia.

Na targach książki w Brukseli rozmawiam o tym z pisarkami z Czech, Węgier i Hiszpanii. Cóż, ja także nie potrafię przypomnieć sobie żadnej nazwy gazet z ich krajów. Jest mi głupio z powodu mojej arogancji. One oczywiście słyszały o „Wyborczej”, wspominają rodzimych dziennikarzy, którzy odbywali staż w „Wyborczej”.

Mnie też przed oczami stają trzej dziennikarze niemieccy. Dzisiaj pracują w „FAZ”, „Tagesspiegel” i „TAZ”. I mówią po polsku. Nauczyli się w Polsce. Nie mieli dziadków z Polski, korzeni polskich. Interesowała ich wschodnia Europa, konkretnie Polska. Po powrocie z Brukseli dzwonię do jednego z dziennikarzy i pytam, dlaczego akurat Polska. „Największy sąsiad po Francji” – słyszę. A czemu „Wyborcza”? „A niby jaka inna w Polsce?”. Niezły bilans, kilka zdań, a w każdym „Polska”.

W serwisach społecznościowych ktoś zauważa sucho, że co w tym dziwnego, jesteśmy prawie 40-milionowym i jednym z największych państw w Unii Europejskiej, to normalne, że mamy znaną gazetę, znanych pisarzy i znane nagrody. Nie wiem, czy te argumenty mnie przekonują.



Liberalnych, centrowych gazet w Polsce mamy... policzmy... Ile? Właśnie dlatego tych, którzy tak bezlitośnie „Wyborczą” krytykują – rozumiem. Ma spełnić oczekiwania wszystkich: liberalów, centrowców, lewicowych i niezdecydowanych, starych, młodych i tych w średnim wieku. Ma być nowoczesna, tradycyjna, zachowawcza, odważna i wstrzemięźliwa

Rosja jest olbrzymia i najbardziej znaną gazetą przez lata była „Prawda”. Szwecja jest niewielka i przyznaje Nagrodę Nobla. Myślę, że trzeba coś zrobić bardzo źle albo bardzo dobrze, żeby zaistnieć w świadomości na lata.

Być może to jest powód, dlaczego od „Wyborczej” wymaga się więcej. Gdyby gazet jej pokroju udało się utworzyć w 1989 roku kilka lub kilkanaście, odpowiedzialność za słowo rozłożyłaby się na więcej pleców.

W Niemczech ta odpowiedzialność rozkłada się na wiele gazet ukazujących się codziennie i tygodniowo. I chociaż świat już dawno ogarnęła gorączka czytania cyfrowo, nasz zachodni sąsiad nadal czyta papier. Tradycja to potężna siła.

Według Stowarzyszenia Niemieckich Wydawców Czasopism (VDZ) gazet codziennych, dystrybuowanych głównie regionalnie, jest około 320, tygodników naliczono 16, magazynów 1300 (o prawie 1340 czasopismach konsumenckich nie wspominam, bo to inna para kaloszy).

Diabeł jak zwykle tkwi w szczegółach. W rankingu najczęściej czytanych tygodników pięć pierwszych miejsc zajmują telewizyjne – „TV14” sprzedaje 1,4 mln egzemplarzy, „nurTVplus” – 828 tys., a dopiero na szóstym znalazł się „Spiegel” z 645 tys. egzemplarzy. Gazety codzienne to przede wszystkim „Bild” (1,04 mln egzemplarzy), „Süddeutsche Zeitschrift” i „Frankfurter Allgemeine” (obie oscylujące wokół 400 tys.).

Co mówią te statystyki? Że Niemcy to kraj starych ludzi. Ogląda się tu wciąż jeszcze telewizję. Nie znaczy to jednak, że zapomina się o młodych widzach, słuchaczach i czytelnikach. Jak to zrobić? Najlepiej przez Instagrama, TikToka lub podcast. Zatrudnić do tego trzeba też młodych ludzi. Że to działa, pokazuje świetnie przykład niemieckiej telewizji publicznej i jej „Tagesschau”, czyli „Wiadomości”.

W filmikach uderzają krótkie, lecz dosadne treści. Na Instagramie konto „Tagesschau” obserwuje 5,1 mln ludzi. Odkrywam wśród nich własne dzieci, regularnie lajkujące posty „Tagesschau”. To by tłumaczyło, dlaczego ostatnio odszukują w telewizyjnej mediatece – to miejsce w sieci, gdzie można odtworzyć niemal wszystko, co było wyświetlane w ostatnim czasie w publicznej telewizji – programy i je oglądają. Linki do nich odkryli na Instagramie.

Z kolei „Spiegel” i „Die Zeit” docierają do młodych przez podcasty. Podcasty w Niemczech to potęga. Słuchają ich i młodzi, i starzy. Próbuje się doliczyć, ile podcastów ma w ofercie tygodnik „Die Zeit”: kryminalny, zagraniczny, historyczny, literacki, psychologiczny, socjologiczny, tylko o Ameryce, tylko o Europie, biblijny, biznesowy, o partnerstwie, o sztuce, a wymieniam najważniejsze, bo kończy mi się liczba znaków dopuszczona przez redaktora. Wszystkie okupują wysokie miejsca w rankingach.

Jaką tematyką, jakim ujęciem kuszą młodych prawie 80-letnie tygodniki i gazety? „Spiegel” na przykład przygotował podcast o kulisach śmierci Kasi Lenhardt, byłej partnerki piłkarza Jérôme Boatenga z Bayernu Monachium. Młode, świetnie przygotowane dziennikarki przeprowadziły śledztwo w odcinkach. Podcast bił rekordy popularności i ponownie rozgrzał dyskusję wokół hejtu i przemocy. I nie dziwię się, do tej pory nie jestem w stanie zapomnieć głosu Kasi – wykorzystano oryginalne nagrania z WhatsAppa do jej mamy.

Ktoś mądry powiedział mi kiedyś, że nie jest dobrze porównywać Polskę do Niemiec czy do Szwecji. Że to stawianie poprzeczki zbyt wysoko i prowadzi wyłącznie do kompleksów. Lecz ja uważam, że aby coś zmieniać, trzeba stawiać poprzeczki wysoko. Poza tym dzięki takim porównaniom można wiele zrozumieć.

Na przykład to, dlaczego „Wyborcza” stała się w ostatnich latach chłopcem – czy raczej dziewczyną – do bicia. Wciąż czytam o jej „bolesnym upadku”, „absolutnym upadku” o jej „definitywnym końcu”, „blamażu”, „skandalu”.

Czytam, patrzę i nie wierzę. Chętniej wspomina się „Wyborczej” afery z jej udziałem niż to, ile afer odkryła. Wciąż się ją krytykuje, poucza, laje i – może to tylko moje zaangażowane wrażenie – z satysfakcją dobija. Wytyka się jej wszystko: brak korekty, ciągle zwolnienia i błędy.

Też wolałabym, aby mój tekst był nie raz ani nie dwa, ale trzy albo i cztery razy sprawdzany, poprawiony i wymuskany. Też nie podoba mi się zdanie tej czy innej osoby, która w niej publikuje, ba, często się z nią nie zgadzam. Nierzadko mnie coś wkurza. Jednak gdy biorę „Wyborczą” do ręki – czytam od deski do deski. I muszę przyznać rację mojej mamie mieszkającej 40 lat w Niemczech: „Wyborcza” może ry-

walizować z najlepszymi niemieckimi gazetami. Wciąż piszą dla niej wspaniali polscy dziennikarze. Współpracują z nią wybitni reporterzy i pisarze. Zastanawiam się, czy ci, co piszą, że „zeszła na psy”, naprawdę ją czytają? Kiedy ostatni raz wzięli ją do ręki?

Ale skoro wszyscy kopią, to czemu też nie kopnąć? Kopali i niszczyli „Wyborczą” ludzie sprawujący przez osiem lat najważniejsze urzędy państwowe i jakoś przeżyła. Ale dlaczego kopać ją teraz? Czy nie prościej skierować pretensje do tej jednej konkretnej osoby, która napisała artykuł, który się nam nie podoba? Dlaczego mówić o wszystkich i do wszystkich: Skończyliście się! Dno!

A może to teraz taka moda?

Liberalnych, centrowych gazet w Polsce mamy... policzmy... Ile? Ile jest w Polsce gazet liberalno-centrowych wydawanych codziennie na terenie całego kraju?

Odpowiedź jest tak prosta, że w pewnym sensie tych, którzy tak bezlitośnie „Wyborczą” krytykują – rozumiem. Właśnie dlatego, że tych gazet jest tak niewiele, wymaga się od niej wiele. Ma spełnić oczekiwania wszystkich: liberalów, centrowców, lewicowych i niezdecydowanych, starych, młodych i tych w średnim wieku. Ma być nieskazitelnie moralna, sprawiedliwa, neutralna, nowoczesna, tradycyjna, zachowawcza, odważna, wstrzemięźliwa. Pod każdym względem – również biznesowym i sprzedażowym – ma być na najwyższym poziomie i ma ją być stać na najlepszą korektę, na zagranicznych korespondentów, na najlepszych ekspertów i na wysokie płace. Czyli ma spełniać nasze polskie marzenia. Ma nas zadowalać w 100 proc. Bo jest jedna. Bo jej jednej udało się przetrwać 35 lat. A skoro tak, to niech spełnia te oczekiwania. Niech się postara jeszcze bardziej.

A tymczasem ona jest taka jak nasze wybory, jak nasze rządy, nasze partie, jest naszym lustrem. Urodziła się i dojrzewa z nami w tworzonej przez nas Polsce od pierwszego wolnego tchnienia demokracji. Jest, jaka jest, bo jest z nas.

Nie ma w Polsce „Der Tagesspiegel”, „TAZ”, „Frankfurter Allgemeine”, „Süddeutsche Zeitung” ani kilkunastu innych, w których można by przebierać. W Niemczech jest luksus wyboru. Tę kupuję, tę nie. Jak się znudzi ta, to można przerzucić się na trzecią lub czwartą, piątą, w końcu się znajdzie taką, jakiej akurat trzeba. Albo nie znajdzie. To się nie kupi. Też dobrze.

W Polsce jest ta jedna. Więc jaka by była, nie przepowiadajmy jej końca, klęski, upadku. Bo w końcu nas wszechświat wysłucha.

A jeśliby naprawdę przestała istnieć, czy poczulibyśmy satysfakcję? Komu zrobimy tym na złość? Jak dobitnie i zjadliwie to skomentujemy? Wszystkie słowa wykorzystaliśmy, wszystko zdewaluowaliśmy.

Ostatnio czytałam u kogoś, kogo bardzo lubię i cenię, o końcu i klęsce totalnej „Wyborczej”. Zrobiło mi się dziwnie. Co jest po klęsce totalnej?

Błędy należy gazetom wytykać, skandaliczne czy przemocowe teksty oprotestowywać. Jako czytelnicy mamy prawo żądać, wymagać, zastanawiać się, jak zrobić coś lepiej, pertraktować, zgłaszać propozycje, pisać listy, zbierać podpisy, możemy też wyśmiać, przestać czytać. To jest demokracja. Ale nie mamy prawa niszczyć dla satysfakcji samego niszczenia. Zniszczyć można szybko, ale czy da radę odbudować?

PS Za błędy przepraszam, za tekst odpowiadam ja sama. To tylko moje zdanie. I można się z nim nie zgadzać. ●



Thrillery polityczno-historyczne Magdaleny Parys – „Tunel”, „Magik”, „Książę” – dostępne na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booków na Publio.pl.

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

WŁOSKIE LATO

„Niech ustąpią Putinowi i wojna się skończy” – słyszę. Kiedy pytam, co by powiedzieli, gdyby Putin zażądał Bolonii albo Mediolanu, mówią, że to coś całkiem innego.

Jarosław Mikołajewski

Wlochy, lipiec 2024. Jest w moich tegorocznych wakacjach pewna zmiana: po raz pierwszy nie jadę z Warszawy 1800 kilometrów samochodem. Skończyło się. Przez zaniedbaną cukrzycę (chyba, bo któż to wie na pewno) nam zniszczone nerwy nóg i nie zawsze czuję samochodowe pedały. Wolę nie ryzykować sytuacją sprzed roku, kiedy, żeby zdjąć nogę z gazu, musiałem ją podciągać za spodnie.

Jazda autem miała swoją poetykę – wspólne rodzinne słuchanie muzyki, od czytania z piosenek społecznych nastrojów. Wielki wjazd do Włoch przez Alpy Karnickie, gdzie opadała z nas austriacka mroczność, a witalo światło, górskie strumienie, szkielec rzeki Tagliamento, pierwsza kawa, pierwsza włoska uprzejmość. Pierwsze odechnięcie wolnym, czystym powietrzem. I tego już nie ma. Przylatujemy samolotem do Rzymu, ja i żona, po raz pierwszy bez żadnej z bardzo dorosłych już córek. Będziemy próbowali czuć się dobrze we dwoje. Poczuć aurę, którą dobrze znamy, ale też poczuć siebie nawzajem.

W Rzymie zatrzymujemy się na trzy noce w samym centrum, tuż obok Schodów Hiszpańskich. Jest dobrze. Chodzimy po miejscach znanych, ale te miejsca okazują się często inne. Umarł szef restauracji Piccola Irpinia, nie żyje właścicielka Pastificio, gdzie do dziś najlepszy makaron je się na stojąco, za kilka euro... I nagle, kiedy po raz pierwszy wychodzimy na plac, schody hiszpańskie nie są białe, tylko czerwone. Miejskie służby leją na nie wodę, energicznie usuwają czerwieni szcztokami.

Pytamy policjantów, co się dzieje – to protest przeciw rosnącej liczbie zabitych kobiet. Porzuconych żon, z którymi mężczyźni nie wiedzą, co dalej robić, dziewcząt, które porzuciły, żeby być same, żeby być z innym, z inną. Okazuje się, że dla wielu starszych i młodszych chłopców sposobem na rozwiązanie problemu jest zabić. Schować ciało, fingować śmierć naturalną albo ucieczkę żony, partnerki, po czym zrzucić ze skały. Dopiero na szarym końcu – próba nawiązania rozmowy, pomoc terapeutów.

Dominuje wściekłość, lęk przed trudną sytuacją. Wygrywa morderstwo. I właśnie przeciw temu mają wołać polane czerwonią Schody Hiszpańskie.

W tym roku zobaczymy z żoną niewiele galerii i wystaw. Jedyną rzymską, którą udaje nam się zobaczyć, jest niewielka wystawa Filippa i Filippina Lippich, ojca i syna, na Kapitolu. Ci, którzy chodząc po Mieście, które jest Światem, wyrobili sobie wyobrażenie



• Włoska policja usuwa aktywistów „Bruciamo Tutto”. Wylali czerwoną farbę na Schody Hiszpańskie protestując przeciw kobietobójstwom. Rzym, 26 czerwca 2024 r.

o rzymskim malarstwie barokowym, wiedzą, na jaki rodzaj cudu się nastawić.

Obrazy w rzymskich kościołach są często arcydziełne, lecz mroczne, skłębione. I wystarczy wizyta w Santa Maria sopra Minerva, żeby za sprawą radosnych toskańczyków dotlenić oczy świeżością i światłem. Inną pogodą wciąż tych samych przedstawień, a to za sprawą Filippina właśnie i jego Zwiastowania.

Po trzech rzymskich dniach jedziemy pociągiem do Toskanii. Tam wszystko przypomina świat, który zostawiliśmy w lipcu zeszłego roku. Błoga nieobecność dyskotek, powolne ruchy dziadków, których młodzi jeszcze rodzice wywieźli nad morze z dziećmi, ten sam agent plaży i restauracji nad morzem, „Jarek – krzyczy ajent...” – w połowie czerwca do morza przy wyspie Montecristo wpadł meteor. Woda zrobiła się czarna jak błoto!...” Agent stoi za barem, zbiera opowieści i sugestie klientów, dzieli się nimi bez żadnego krytycyzmu. W trakcie naszego pobytu zmienia wersję meteoru dwukrotnie. Kiedy wyjeżdżamy, jest na etapie podejrzeń, że wstrząs, do którego doszło w czerwcu, był konsekwencją wojskowych eksperymentów. „Od tamtej pory – twierdzi – samoloty wojskowe kręą się tutaj jak oszalałe”.

Rzeczywiście – szybko się przekonujemy, że częściej niż w poprzednich sezonach niebo rozrywa nagły, głośny przelot. Przypominam sobie, że podobnie było w latach 60. w Kołobrzegu, kiedy z bazy wojskowej w Bagiczu co chwilę nad plażą i morzem nisko przelatowały myśliwce.

Czytam gazety i ich nie czytam. Wolę rozmawiać z miejscowymi, od których dowiaduję się, że wszystko podrożało, choćby gaz, że Włosi mają mniej pieniędzy niż w poprzednich latach, przez co turystyka siada. „Ludzie z wnętrza Toskanii – twierdzi jeden ze sklepikarzy w pełnej zgodzie z pozostałymi – przyjeżdżają na dzień, bez wynajmowania hoteli, spędzają tu najwyżej weekend, i wracają do siebie”. Mniej więc kupują, mniej jedzą w restauracjach, częściej robią na plażę domowe kanapki.

Znając trochę Włochów czuję, że nie powinienem tego robić, a jednak chcę się przekonać... Napomykam w rozmowie ze sprzedawcą staroci na cotygodniowym bazarze o wojnie. I mówi to, co wielu innych – ludzi mieszkających na tokańskiej prowincji, rolników sprzedających pomidory, owoce i sałatę: że winni wszystkiemu są Ameryka-

nie. „Jak zawsze w historii chcą tylko zarobić, sprawić, że wzrosną ceny ich surowców i produktów...” Obok Amerykanów, winę ponosi prezydent Zelenski, który „nie chce pójść na żadne ustępstwa”.

Kiedy pytam, co powinna więc zrobić Ukraina, odpowiedź pada prosta i jasna, jak dobra rada wujka, który patrzy na świat przez zamglone szkiełka nostalgicznego filozofizmu: „Ustąpić, dać Putinowi to, czego chce, i wojna zaraz się skończy”. Kiedy pytam, co by powiedzieli Włosi, gdyby Putin zażądał Bolonii albo Mediolanu, mówią, że to coś całkiem innego.

Tak, jednym ze źródeł problemu z włoskim (na poziomie ludowym) niezrozumieniem racji Ukrainy jest poczucie wyższości. Ci ludzie naprawdę uważają, że Toskania jest ważniejsza od Ukrainy, a raczej nie wierzą, że ziemia ukraińska jest dla ludzi innego języka taką samą matką i domem jak dla nich samych rolnicza Maremma. I żadne zniecierpliwienie, żadne przykłady z historii tego nie zmienia. Oni wiedzą, że tak jest, i już. I w konsekwencji „przez ten upór Zelenskiego i przez ekspansjonizm ekonomiczny Amerykanów” Włosi płacą wyższe rachunki.

W chwili, kiedy tak beznadziejnie rozmawiam sobie z Toskańczykami (tymi ze wsi, nie tymi z Florencji), media podają wiadomość, że kilku chłopaków związanych z faszystowską organizacją CasaPound poturbowało w Turynie dziennikarza gazety „La Stampa”. W doskonałym stylu faszystowskich szwadronów – piszą włoskie media – napadli na niego w kilku i pobili. Bo natknął się na faszystowską manifestację i zaczął nagrywać ją telefonem. Wśród wielu reakcji, najbardziej obrzydliwą były słowa przewodniczącego senatu Ignazia La Russy (który do niedawna trzymał w swoim gabinecie popiersie Mussoliniego), że dziennikarz powinien starannie dobierać sobie materiał do nagrywania.

Z całej tej historii wywiązała się w prasie pouczająca dyskusja, w której po demokratycznej stronie padły słowa, że w sytuacjach takich jak ta z ust rządzących padają słowa potępienia, wyrazy solidarności, które niczego nie zmieniają, podczas gdy potrzebne byłoby odżegnanie się od faszyzmu, na co rząd zdaniem publicystów nie ma ochoty.

Żąda się między innymi delegalizacji CasaPound, organizacji politycznej odwołującej się do wielkiego amerykańskiego poety Ery Pounda, zafascynowanego Mussolinim i faszyzmem, mającej wielu zwolenni-

ków zwłaszcza wśród prawicowych intelektualistów i młodzieży. Odbyłem kiedyś rozmowę z grupą jej zwolenników w Syrakuzach, kiedy kolportowali listę proskrypcyjną sycylijskich burmistrzów, którzy przyjmowali migrantów z Afryki. Niemal fizycznie doświadczyłem wtedy ich determinacji. Poczuliem, jak bardzo nie mają ochoty zmieniać swoich idei.

Kiedy planowaliśmy drogę powrotną do Warszawy, zauważyłem, że 29 lipca są urodziny Mussoliniego, zarezerwowaliśmy więc lot na 30-go. Na grobie Duce – o czym pisałem – byłem w zeszłym roku. Wydał mi się pilnowany i czczony na poziomie sentymentów obywateli Predappio, w którym się urodził, i na poziomie partii politycznych. Postanowiłem zobaczyć, jak kult wodza wygląda w tym symbolicznym dniu.

Kiedy w upale 38 stopni jechałem z Bolonii do Predappio, najpierw pociągiem do Forlì, potem autobusem do kolebki faszyzmu, spodziewałem się tłumy, manifestacji. Tymczasem powitało mnie grobowe milczenie. Na cmentarzu nie było nikogo. W krypcie Duce – dwóch dozorców w czarnych koszulach. Na piersi jednego z nich bił w oczy napis: cattolico e fascista (katolik i faszysta).

Pod popiersiem Mussoliniego rozpięta była szarfa z życzeniami „Buon compleanno – Dobrych urodzin”. Pytam katolika i faszysty, czy nie było tu lub nie będzie żadnego pochodu, zgromadzenia. „Nie – odpowiada – Po pierwsze jest upał, po drugie jest to dzień powszedni. Nikt by nie przyszedł. Manifestacyjka była wczoraj”. „Liczna?” „Kilkadziesiąt osób”.

A przecież czuję, że trzeba się bać. Nie Mussoliniego, którego przywołuje się tylko w razie politycznej potrzeby. Raczej tych, co czują się oszukani przez demokrację, władzę, Europę, która według wielu słucha wyłącznie opcji amerykańskiej. I którzy w poszukiwaniu patrona są w stanie ulec fascynacji mitem megalomańskiego proroka wielkiego narodu,

Kiedy wyjeżdżamy, przebojem tego lata jest „Sesso e samba” (Seks i samba), a pierwszy Włosi zdobywają olimpijskie medale. W słynnym muzeum sztuki nowoczesnej MAMbo trwa przejmująca wystawa Roberta Kuśmirowskiego, na którą składają się piwniczne przestrzenie i stare przedmioty. Na pierwszym piętrze jest stała wystawa Giorgia Morandiego, którą wzruszał się Adam Zagajewski.

W bolońskich podcieniach śpi i hałasuje wyjątkowo wielu (to nowość) pijanych czarnoskórych migrantów. Coś śpiewają, coś krzyczą. Jeden z nich o tym, że Francja wyrzuca ich z Europy i zaleca naukę Koranu w Maroku. Coś niepokojącego szumi i piszczy w trawie. ●



• Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPE współfinansowany jest przez Unię Europejską w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji.

• Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.

Ludzie, którzy szczerze chcieli pomóc chorym na schizofrenię, niekiedy wyrządzali im nie mniejszą krzywdę niż cynicy i hochsztaplerzy

Emilia Dłużewska

Wprzeciwieństwie do cukrzycy, choroby Parkinsona czy Alzheimera nie ma swoich rzeczników-celebrytów. Jest powszechna, a zarazem niewidzialna. Sądzę, że większość ludzi nie potrafiłaby wymienić ani jednej osoby publicznej cierpiącej na schizofrenię, a tym bardziej osoby, która zdołała dojść do siebie i otwarcie o tym opowiada” – tak swoją książkę zaczyna Jeffrey A. Lieberman, autor „Rozpadu umysłu”.

Trudno się z nim nie zgodzić. W ciągu ostatniej dekady podejście do zdrowia psychicznego bardzo się zmieniło, również w Polsce. O depresji, lękach, zaburzeniach odżywiania czy uzależnieniach rozmawiamy coraz bardziej otwarcie. Ale schizofrenia w najlepszym wypadku kojarzona jest z genialnym matematykiem Johnem Nashem granym przez Russela Crowe’a w filmie „Piękny umysł”, w gorszych – z okrutnymi mordercami z kryminalnych produkcji.

To wciąż ulubiona choroba filmowców i pisarzy – pozwala zgrabnie wytłumaczyć najdziwniejsze zwroty akcji, budzi lęk i dobrze wygląda na ekranie. Gubi się przy tym fakt, że obraz choroby niekoniecznie wygląda tak malowniczo jak w filmie. A przede wszystkim cierpienie, jakiego przysparza chorym i ich bliskim.

Lieberman, profesor i były szef wydziału psychiatrii na Uniwersytecie Columbia, widział je wielokrotnie. Schizofrenią zajmuje się od niemal pół wieku – rezydenturę w nowojorskim szpitalu św. Wincenta rozpoczął w 1976 r. Jego wydana właśnie w Polsce książka to nie tylko przekrojowa biografia tej choroby, ale też fascynująca opowieść o ciemnych i jasnych stronach amerykańskiej psychiatrii.

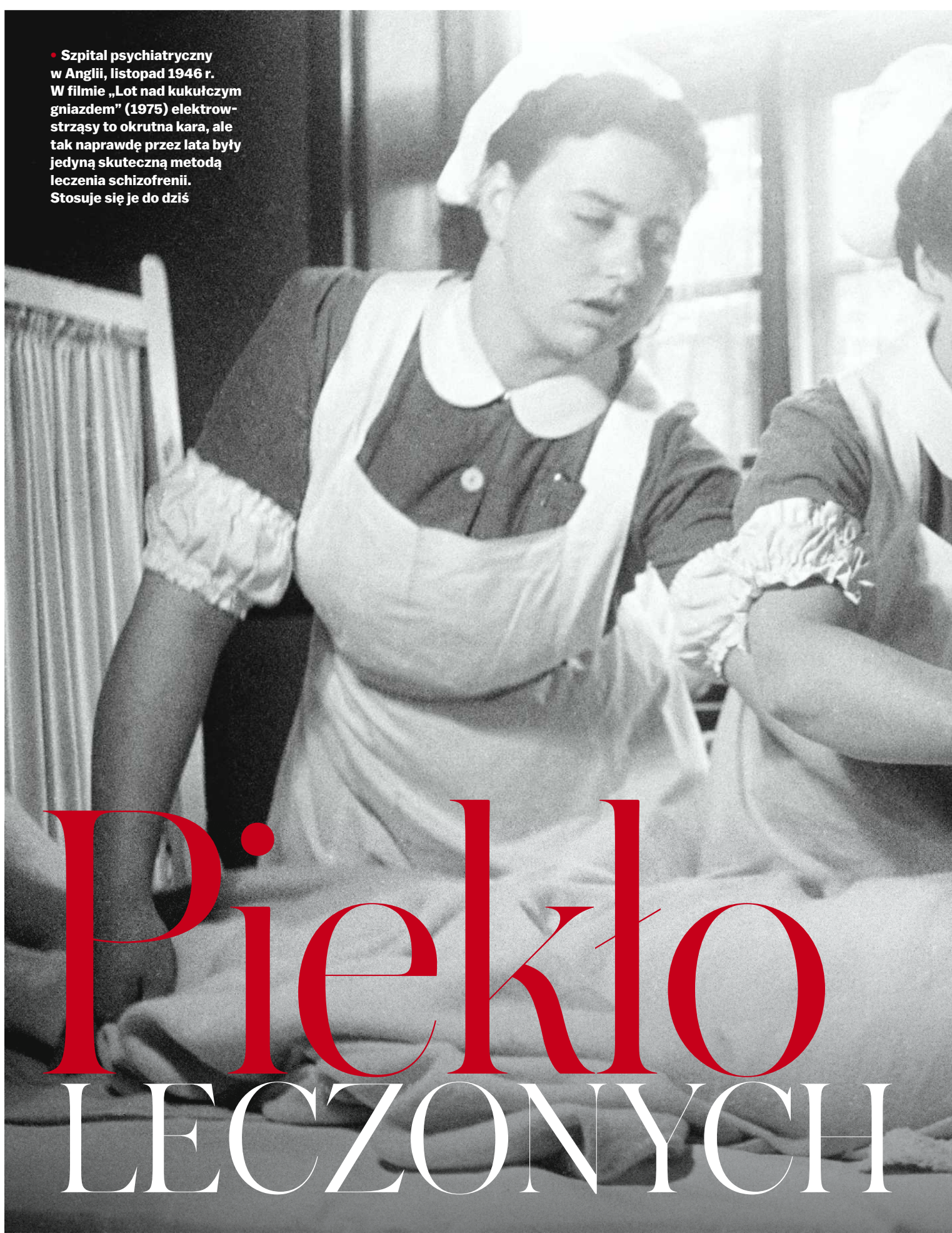
Kobieta, która otworzyła szpitale

Jest połowa lat 70., gdy Lieberman odbywa studenckie praktyki w szpitalu św. Elżbiety w Waszyngtonie. To miejsce emblematyczne – pierwsza w USA federalna instytucja zapewniająca opiekę psychiatryczną.

Pionierska placówka otworzyła się w 1855 r. dzięki staraniom Dorothei Dix, pielęgniarki, edukatorki i działaczki społecznej. Dix na początku lat 40. XIX w. przyjęła posadę nauczycielki w więzieniu East Cambridge w stanie Massachussets. Była wstrząśnięta warunkami, w jakich przetrzymywani są więźniowie, i tym, jak wielu z nich cierpi z powodu chorób psychicznych. Zaczęła pisać do rządu USA, domagając się stworzenia miejsc, które zapewnią chorym terapię i opiekę zamiast cel.

Dix trafiła w dobry moment: amerykańskie władze krótko wcześniej zaczęły się interesować liczbą obywateli cierpiących na zaburzenia psychiczne. I rozumieć, że zajęcie się nimi jest obowiązkiem państwa. Do śmierci Dix w 1887 r. (zmarła w stworzonym dla niej mieszkaniu na terenie Szpitala dla Oblakanych Stanu New Jersey w Trenton) w USA powstało 60 szpitali psychiatrycznych. Działaczka osobiście przyczyniła się do utworzenia 30 z nich.

Jej humanitarne idee szybko jednak zderyżyły się z brutalną rzeczywistością. Szpitale obiecujące chorym opiekę, a ich rodzinom wytchnienie, prędko zaczęły się przepelniać – na początku XX w. w szpitalu św. Elżbiety zaprojektowanym na 350 osób przebywało 8 tys. chorych. Pacjenci raz przyjęci, często



• Szpital psychiatryczny w Anglii, listopad 1946 r. W filmie „Łot nad kukułczym gniazdem” (1975) elektrowstrząsy to okrutna kara, ale tak naprawdę przez lata były jedyną skuteczną metodą leczenia schizofrenii. Stosuje się je do dziś

FOT. KURT HUTTON/GETTY IMAGES, DOMENA PUBLICZNA (3)

zostawali na stałe, bo lekarze nie mieli narzędzi pozwalających skutecznie ich leczyć. Co nie znaczy, że nie próbowali.

Leczenie dżumy cholera

Opisy tych prób są równie fascynujące, co przerażające. W drugiej połowie XIX w. pacjentów psychiatrycznych przede wszystkim uspokajano – najpierw podając im morfinę, później, gdy lekarze zaobserwowali masowe uzależnienia, wodzian chloru lub związki bromu. Jednocześnie psychiatrizy poszukiwali lepszych sposobów radzenia sobie z psychozą.

Na początku XX w. Austriak Manfred Sakel uznał, że rozwiązaniem może być wprowadzenie chorych w śpiączkę insulinową odwracaną zastrzykiem glukozy. „Terapia” insulinowa przyjęła się do tego stopnia, że stosowano ją jeszcze w latach 40. i 50. XX w., a jej orędownicy podkreślali, że na dłuższą metę łagodzi ona psychozę, uspokaja i zmniejsza agresję – pomijając to, że przyczyną jest najprawdopodob-

niej trwale uszkodzenie mózgu. Podobnie działała jeszcze popularniejsza wówczas lobotomia – metoda polegająca na usuwaniu tkanki z płatu czołowego. Jej ofiarą padła m.in. Rosemary Kennedy, siostra przyszłego prezydenta.

Równie nieludzka wydaje się dziś terapia gorączkowa polegająca na wstrzykiwaniu pacjentowi – niekiedy bezpośrednio do mózgu – pasożyta wywołującego malarię. Paradoksalnie, ta akurat okazała się częściowo skuteczna: pod koniec XIX w. psychozę powodowały bowiem często nie choroby psychiczne, ale zagnieżdżone w mózgu krętki kiły, które gorączka zabijała.

W przypadku schizofrenii metoda gorączkowa nie skutkowała, ale jej wynalazca Julius Wagner-Jauregg w 1927 r. został pierwszym psychiatrą uhonorowanym Nagrodą Nobla – nie tylko za przyniesienie ulgi chorym, ale też psychiatrom, którzy dostali dowód na to, że psychoza nie jest tylko chorobą duszy czy umysłu, lecz czymś, co ma podłoże biologiczne.

To istotne, bo przełom wieków XIX i XX to czas wielkich odkryć medycznych: w 1876 r. Robert Koch identyfikuje bakterię powodującą węglik; dziewięć lat później Ludwik Pasteur po raz pierwszy stosuje szczepionkę przeciw wściekliznie; w 1895 r. Wilhelm Roentgen wykonuje zdjęcie kości swojej żony, wykorzystując promienie X; w 1922 r. lekarze w Toronto wybudzają ze śpiączki umierające dzieci, podając im zastrzyki z insuliny; w 1928 r. Alexander Fleming odkrywa penicylinę. Psychiatria czeka na swój wielki przełom.

Przez kolejne lata coraz wyraźniej rysowało się pęknięcie między psychiatrią a innymi dziedzinami medycyny. O ile odkrycie bakterii, insuliny czy wynalezienie szczepionek dawało proste, eleganckie wytłumaczenie dręczących ludzkość chorób, a także sposoby na ich leczenie, o tyle mechanizmy stojące za zdrowiem psychicznym są złożone, trudno mierzalne i często niejasne.

Rewolucja w psychiatrii – przynajmniej częściowa – w końcu nadeszła. Zanim jed-



nak do niej doszło, amerykańska psychiatria musiała przejść etap psychoanalizy.

Choroba? Wina matek

Do Ameryki przywiózł ją osobiście ojciec. Zyg-munt Freud odwiedził USA raz, w 1909 r. Nie-długo po jego wizycie powstało Amerykańskie Towarzystwo Psychoanalityczne promują-ce „terapię rozmową”. Urodzony w Wiedniu Freud był już gwiazdą psychiatrii – zawdzię-czał to zarówno przełomowej koncepcji oso-bowości (dzielonej na id, ego i superego), suk-cesom w leczeniu nerwic, jak i charyzmie oraz błyskotliwości, które na jego wykłady i do lek-tury jego książek przyciągały nie tylko lekarzy. Do dominacji jego metody w Stanach w dużym stopniu przyczynił się jednak inny słynny Au-striak – Adolf Hitler.

Psychoanaliza nie odniosłaby takiego sukcesu, gdyby nie żydowscy uchodźcy ma-sowo szukający w Ameryce schronienia po przejęciu władzy przez nazistów. To dzięki nim w latach 30. i 40. XX w. w USA rozkwit-ły sztuka, architektura czy nauka, w tym fi-

zyka atomowa – w projekcie Manhattan klu-czowe role odegrali żydowscy naukowcy, którzy uciekli z Europy przed prześladowa-niami.

Na nowy kontynent przybywali też psy-choanalitycy. Intelktualiści, uczniowie słyn-nego Freuda, dostawali posady na najważ-niejszych uniwersytetach, kształcąc kolej-ne pokolenia psychoanalityków. „Terapia rozmową” stawała się coraz popularniejsza, choć sam Freud przyznawał, że w przypad-ku niektórych chorób – między innymi schi-zofrenii – jego skuteczność jest bardzo ogra-niczona.

W zwrocie ku psychoanalizie Lieberman widzi cień oportunistu – uważa, że da-ła psychiatrom pretekst, by odwrócić się od ciężko chorych pacjentów szpitali i zająć le-czeniem neurotyczek czy lękowców płac-ących spore sumy za wizyty w prywatnych gabinetach. Ich liczba w pierwszej połowie XX w. nieustannie rosła.

Gdy psychoanalitycy brali się do schi-zofrenii, bywało jeszcze gorzej. Adep-ci

i pogrobowcy Freuda próbowali wytłuma-czyć mechanizm choroby różnymi teoria-mi. Jedną z popularniejszych stała się teo-ria schizofrenogennej matki. Jej autorką była Frieda Fromm-Reichmann, urodzona w 1889 r. niemiecka psychiatra, analizy-czka, a później żona Ericha Fromma. From-m-Reichmann twierdziła, że schizofrenia zaszczepiana jest dziecku przez wycofa-ną i chłodną emocjonalnie matkę. Omamy i urojenia miały pomagać choremu radzić sobie z odrzuceniem.

Choć teoria ta nie znalazła potwierdze-nia w badaniach, na lata stała się źródłem stygmatyzacji matek, które i tak już cier-piały z powodu choroby dzieci. Jak Mi-mi Galvin, bohaterka reportażu Rober-ta Koltera „W ciemnej dolinie” o rodzinie, w której sześciu z dziesięciu synów zacho-rowało na schizofrenię. Mimi, mieszk-ająca w małej miejscowości gospodyni do-mowa, przez lata obarczana była winą za chorobę synów. Trzeba było kilkudziesię-ciu lat, rozwoju genetyki i obrazowania

Pionierzy:



• Dorothea Dix (1802-87)

pielęgniarka i działaczka społeczna wal-cząca o prawa ludzi umysłowo chorych. Dzięki niej w 1855 r. otwarto w Waszyng-tonie Szpital św. Elżbiety - pierwszą w USA placówkę psy-chiatryczną. Szpital istnieje do dzisiaj



• Manfred Sakel (1900-57)

austriacki lekarz psy-chiatra, który karierę zrobił w USA. Twórca „terapii insulinowej” - żeby uspokoić chorych, wprowadzano ich w śpiączkę insu-linową, odwracaną zastrzykiem z glukozy



• Henri Laborit (1914-95)

francuski chirurg i neurobiolog. W 1952 r. jako pierwszy zasto-sował w terapii schi-zofrenii chloropromazynę - pierwszy w historii lek psychotro-powy

Przymusowe zamykanie w szpitalu psychiatrycznym można uznać za bezprawne odebranie wolności, ale czy osoba w psychozie faktycznie tej wolności doświadcza?

mózgu, by uwierzyła, że choroba nie jest jej winą.

Lieberman jest zwolennikiem „twardej” nauki opartej na badaniach i doświadcze-niu, falsyfikowalnej, możliwej do zamknię-cia w określonym modelu. Nie odbiera psy-choanalizie możliwości niesienia ulgi przy pewnego rodzaju problemach, nie podwa-ża zaangażowania i dobrych chęci niektó-rych analityków. Ale nie ma też wątpliwości – psychoanaliza w leczeniu schizofrenii oka-zała się ślepym zaułkiem; nie tylko nie przy-niosła ulgi chorym, ale także opóźniła opra-cowanie skutecznych terapii.

Piekielne konsekwencje cudownego leku

W połowie XX w. psychiatria z jednej strony oferowała pacjentom niesprawdzalne teorie analityków, z drugiej – okrutne i ryzykowne zabiegi w rodzaju lobotomii. Jedyną istotnie skuteczną metodą były elektrowstrząsy: kos-ztowne, mające poważne skutki uboczne i prze-rażające pacjentów.

A jednak wielki przełom w końcu przy-szedł – jak to w nauce bywa – nieco przypad-kiem. Jego źródłem były badania francuskie-go chirurga. Henri Laborit już w latach 40. poszukiwał sposobu łagodzenia szoku u tra-fiających na jego stół operacyjny pacjentów, eksperymentując m.in. z lekami na alergię. Za jego namową nad uspokajającą substan-cją zaczęła pracować francuska firma Rhô-ne-Poulenc. W 1950 r. jej chemicy zsyntety-zowali substancję nazwaną chloroproma-zyną.

Początkowo chloropromazyna traktowa-na była jako lek uspokajający. W 1952 r. La-borit przekonał kolegów z paryskiego szpi-tala Val-De-Grace, by podać Jacques'owi Lh., 24-letniemu schizofrenikowi. W ciągu kil-ku tygodni stan pobudzonego, agresywnego pacjenta poprawił się na tyle, że lekarze wy-pisali go ze szpitala. Być może na jego nie-szczęście – Jacques Lh. nie miał możliwo-ści kontynuowania terapii i choć do Val-De-Grace nie wrócił, szanse, że od tamtej po-ry wiódł życie człowieka zdrowego, są nie-wielkie. Ale psychiatrzy dostali do ręki po-tężne narzędzie: pierwszy w historii lek psy-chotropowy.

Chloropromazyna była rewolucją. I jak to rewolucja nie obyła się bez ofiar. Entu-zjazzm związany z odkryciem „cudownego leku” przyniósł postulat kolejnej radykalnej zmiany: zwolnienia chorych z zakładów zamkniętych. Założenia deinstytucjonalizacji były szlachetne i słuszne – miała przywró-cić chorych do ich rodzin i społeczności, po-zwalając im kontynuować terapię w lokal-nych, dziennych ośrodkach, zmniejszyć ich stygmatyzację, jednocześnie oszczędzając państwowe pieniądze.

Udało się tylko to ostatnie. Masowo wy-pisywani ze szpitali pacjenci często nie mie-li bliskich albo nie byli mile widziani w do-mach rodzinnych. Lokalne ośrodki z braku funduszy nie powstawały albo zatrudnia-ły osoby nieprzygotowane do pracy z pacjen-tami. Pozostawieni sami sobie chorzy prze-stawali brać leki mające nieprzyjemne i po-ważne skutki uboczne. Ostatecznie część z nich była instytucjonalizowana ponow-nie, tym razem w więzieniu albo domu opie-ki. Inna część lądowała na marginesie społe-czeństwa.

„Obecnie największe placówki psychia-tryczne w kraju to Więzienie Hrabstwa Cook w Chicago, Więzienie Hrabstwa Los Ange-les i Rikers Island w Nowym Jorku” – pisze gorzko Lieberman.

Przez psychozę na drugą stronę

Tę gorycz można zrozumieć. W jego ujęciu historią amerykańskiej psychiatrii można by wybrukować przynajmniej połowę piekła. Ludzie, którzy szczerze chcieli pomóc chorym, niekiedy wyrządzali im nie mniejszą krzywdę niż cynicy i hochsztaplerzy.

Szlachetne pobudki stały za ruchem antypsychiatrii, który narodził się wraz z kontrkulturą. Jego orędownicy podważali samą kategorię „chorób psychicznych” jako społeczny konstrukt – etykietę nadawaną przez społeczeństwo osobom odrzucającym jego zasady, niedopasowanym, przeżywającym kryzysy.

Szkocki psychiatra R.D. Laing uważał, że psychoza to sposób, w jaki cierpiąca osoba radzi sobie ze swoim niedopasowaniem do świata – a najlepszym sposobem pomocy nie jest łagodzenie symptomów, ale pozwolenie pacjentowi przeżywanie ich w pełni. W 1965 r. Laing założył w Londynie hippisowską klinikę Kingsley Hall, w której schizofrenicy mieli bezpiecznie przejść przez psychozę. Nie wszystkim się to udało – przynajmniej dwie osoby skończyły z dachu, większość nadużywała narkotyków, a między mieszkańcami dochodziło do aktów przemocy. Kingsley Hall zamknięto się w 1970 r.

Lieberman o antypsychiatrii pisze bardzo krytycznie. Z perspektywy lekarza i zwolennika farmakoterapii jest ona szkodą wyrządzaną pacjentom – zwłaszcza że badania przeprowadzane od lat 90. wykazały, że każdy atak psychozy powoduje postępujące uszkodzenie mózgu. Zdarzali się jednak chorzy, którym to niestygmatyzujące, anarchistyczne podejście pomogło, m.in. mieszkanka Kingsley Hall Mary Barnes, która podczas pobytu w komunie odkryła w sobie talent artystyczny, wyszła z psychozy i została cenioną malarką. Albo Michael Gavin, jeden z bohaterów reportażu Kolkera, który uniknął tragicznego losu braci m.in. dzięki wsparciu hippisowskiej komun.

Ale autor „Rozpadu umysłu” potrafi być też krytyczny w stosunku do własnej dziedziny, w której historii nie brakuje ciemnych kart. Nie tylko nieudanych terapii, ale też przemocowego traktowania chorych, zaniedbań systemowych, eksperymentowania na osobach niemogących wyrazić na to świadomej zgody albo tych, których głos był lekceważony: więźniach, ubogich, Afroamerykanach.

Gen schizofrenii nie istnieje

Brak zaufania do psychiatrii ma też inny powód – nie ma jednego sposobu leczenia, który można by aplikować wszystkim chorym. O ile z dużą pewnością można przewidzieć, jak na cukrzyka wpłynie zastrzyk insuliny albo jaką infekcję leczyć penicyliną, o tyle dobranie właściwych leków psychiatrycznych bywa procesem czasochłonnym, wymagającym monitorowania i niejednokrotnie zmiany. Od czasu wynalezienia chlorpromazy farmakologia poszła do przodu, leki kolejnych generacji są bardziej różnicowane i mają mniej skutków ubocznych. Ale żaden z nich nie jest „magiczną pigułką”.

Również dlatego, że źródła schizofrenii są wielorakie, złożone i do dziś – mimo gigantycznych postępów medycyny i nauki – nie całkowicie zmapowane. Lieberman prowadzi czytelnika przez kolejne hipotezy neuroprzekaznikowe: serotoninową, dopaminową, glutaminianową. Każda z nich dawała częściowe wytłumaczenie mecha-



• Wiedeń, rok 1900. Wykład Juliusa Wagnera-Jauregga. Jego pomysł, by leczyć schizofrenię, wszczepiając chorym pasożyta wywołującego malarię, dziś budzi zgrozę. Ale dostał za niego w 1927 r. Nobla. Niebezpodstawnie

Fromm-Reichmann
twierdziła, że schizofrenia
zaszczepiana jest dziecku
przez wycofaną i chłodną
emocjonalnie matkę. Omamy
i urojenia miały pomagać
choremu radzić sobie
z odrzuceniem

nizmu choroby, ale żadna nie tłumaczyła całości.

Podobnie jest z genetyką. Badania udowodniły, że prawdopodobieństwo zachorowania rośnie, gdy na schizofrenię cierpi ktoś z rodziny – również w przypadku bliźniąt rozdzielonych przy urodzeniu, a więc wychowywanych w różnych warunkach. Naukowcy nie szukają już jednego genu, który wywoływałby schizofrenię, lecz mówią o kombinacji wielu genów, które zwiększają ryzyko zachorowania.

Do tego dochodzi wiele czynników środowiskowych – od kontaktu z zarazkami w życiu płodowym, przez komplikacje przy urodzeniu, po indywidualne uwarunkowania biologiczne i psychologiczne. Jak bardzo są istotne, pokazuje reportaż Kolkera o rodzinie Gavinów – pytanie, dlaczego sześciu z synów zachorowało na schizofrenię, jest równie interesujące, co pytanie, dlaczego pozostałych sześciu dzieci na nią nie zachorowało.

Ciotka Rose i przemilczani krewni

Nie znaczy to, że jesteśmy wobec schizofrenii bezradni. Lieberman wymienia wiele sposobów pozwalających poprawić sytuację chorych: wcześniejsze i dokładniejsze diagnozowanie, wspieranie chorych w remisji, budowanie sieci społecznego wsparcia, wzmacnianie wiary we własne kompetencje. Może

w tym pomóc pozbycie się tabu, jakim otoczona jest choroba – wyłapanie symptomów i postawienie trafnej diagnozy jest dużo łatwiejsze, gdy lekarze wiedzą o podobnych przypadkach w rodzinie pacjenta.

A często nie wiedzą o nich sami chorzy. Przypadki chorób psychicznych w rodzinie przez lata były ukrywane ze strachu przed społeczną stygmatyzacją. Nie wiedziały o nich nawet osoby blisko spokrewnione – kuzyni, wnuki czy młodsze rodzeństwo chorych. Sam Lieberman ma takie doświadczenie: był studentem, gdy na stypie po śmierci babci usłyszał o siostrze dziadka, Rose. Był zdziwiony, że jej nie poznał, ale ojciec zbył go, tłumacząc, że Rose była „niepełnosprawną umysłowo” i całe życie mieszkała w szpitalu.

Dopiero pół wieku później, pisząc swoją książkę, postanowił dopytać o nią matkę. Odkrył, że ciotka Rose w istocie cierpiała na schizofrenię. A jego matka nigdy jej nie poznała, gdyż chorych psychicznie krewnych „w tamtych czasach się nie odwiedzało”. I to mimo że na początku lat 50. XX w., gdy Rose jeszcze żyła, matka Liebermana bywała w tym samym szpitalu – jako wolontariuszka wraz z innymi paniami z klasy średniej urządzająca charytatywne obiady dla pacjentek.

Postulaty Liebermana tylko częściowo zależą od dobrej woli czy poziomu społecznej świadomości. Wiele z nich rozbiła się o kwestię budżetu – co z tego, że lekarze, chorzy i przedstawiciele organizacji ich reprezentujących zgadzają się co do tego, że ważną jest pomoc środowiskowa, skoro rząd nie przeznacza na nią pieniędzy?

Choć polski system opieki zdrowotnej bardzo różni się od amerykańskiego, tę frustrację znają również polscy eksperci, lekarze i aktywiści zajmujący się zdrowiem psychicznym. Trudno dyskutować o optymalnych sposobach leczenia i wspierania chorych, gdy zamykają się kolejne oddziały psychiatryczne, a na psychiatrii dziecięcej pacjenci śpią na materacach rozłożonych w korytarzu.

Czy psychiatra musi przewidzieć przyszłość?

W tych warunkach absurdalna może się здаć dyskusja o najbardziej kontrowersyjnym postulacie z książki Liebermana: rozszerzenia możliwości przymusowego leczenia psychiatrycznego.

Dziś zarówno w USA, jak i w Polsce przymusowe leczenie psychiatryczne jest możliwe, gdy chory stanowi poważne zagrożenie dla siebie lub innych. Zasada ta odwołuje się do fundamentalnego prawa jednostki do decydowania o samym sobie – w tym odmowy leczenia.

Za jej stosowaniem, poza abstrakcyjnymi wartościami, stoją też ponure doświadczenia osób przymusowo hospitalizowanych – niekiedy pod pretekstem choroby, na którą nie cierpieli. Dotykało to osób, których majątek chcieli przejąć krewni; żon, których chcieli pozbyć się niewierni mężowie; a w krajach totalitarnych również politycznych dysydentów – psychiatrzy w ZSRR ukuli nawet pojęcie „schizofrenii pelzającej” albo „bezobjawowej”.

Ale – jak argumentuje Lieberman – to tylko jedna strona medalu. Przymusowe zamknięcie w szpitalu psychiatrycznym można uznać za bezprawne odebranie wolności, ale czy osoba w psychozie faktycznie tej wolności doświadcza? Jak traktować odmowę leczenia ze strony kogoś, kogo postrzeganie rzeczywistości jest zaburzone? Czy respektowanie tej odmowy w istocie nie jest skazywaniem chorego na niepotrzebne cierpienie? Zławsza że – jak wskazują badania – każdy kolejny atak psychozy powoduje uszkodzenie w mózgu? A w dodatku naraża chorego na wypadek, konflikt z prawem czy policyjną przemoc?

A z drugiej strony – czy uszkodzenia mózgu nie powodują też spożywanie alkoholu i innych substancji psychoaktywnych, niewłaściwa dieta, palenie tytoniu? Gdzie przebiega granica między szkodą, którą wolno nam sobie wyrządzać, a tą, przy której powinno interweniować państwo?

Autor „Rozpadu umysłu” uważa, że państwo zrzuca zbyt dużą odpowiedzialność na psychiatrów, stawiając ich przed koniecznością oceny, czy chory jest niebezpieczny. „Psychiatrzy niespecjalnie dobrze sobie w tym radzili. Nic dziwnego: mało kto umie przewidzieć przyszłość” – komentuje gorzko. Ale czy zmiana kryteriów przymusowego leczenia zdejmie z nich tę odpowiedzialność?

Nie trzeba się z Liebermanem zgadzać – on sam przytacza w książce inne głosy – ale warto sobie te pytania zadać. Nawet jeśli na razie polska psychiatria zajmuje się gaszeniem innych pożarów. ●



• **Rozpad umysłu. Biografia schizofrenii**, Jeffrey A. Lieberman, przeł. Jan Dzierzgowski, Wydawnictwo Poznańskie, 2024

• **W ciemnej dolinie. Rodzinna tragedia i tajemnica schizofrenii**, Robert Kolker, przeł. Jan Dzierzgowski, Wydawnictwo Czarne, 2021

1 RP

wyborcza

magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.

Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;

ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielinski;
MAGAZYN KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywirski, Łukasz Grzymisławski, Igor Rakowski-Kłos
GRAFIKI: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Marta Błażejowska, Dominik Gajda (Ale Historia)
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11

DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU:
Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



Jak wygląda niebo tych, których stać

Z JUSTYNĄ BAJDĄ*
ROZMAWIA
WOJCIECH SZOT



• „Powrót z kąpeli”, Józef Pankiewicz. Obraz powstał w latach 1909-13 w czasie jego pobytów we Francji
FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE/ DOMENA PUBLICZNA

Młodym ludziom błękit kojarzy się z depresją, nie z niebem. O historii niebieskiego opowiada Justyna Bajda, historyczka sztuki i literaturoznawczyni.

WOJCIECH SZOT: Czy zawsze tak samo widzieliśmy kolory?

JUSTYNA BAJDA*: Tego nie wiemy i chyba nigdy się nie dowiemy. Mamy zaś świadectwa tego, jak w różnych epokach kolory były odbierane, jakie emocje wywoływały, jak próbowano je rozumieć, interpretować.

Pracując nad książką poświęconą błękitowi w literaturze przełomu XIX i XX wieku, próbowałam zrozumieć, czy były to te same kolory, które znamy. A może były inaczej postrzegane, opisywane?

– To był prawdziwy wiek kolorów! Kolorów, kwiatów, poezji i muzyki. Wiem, jak to brzmi, ale tak było. Chętnie korzystano z przeszłości, inspiracji szukano w dawnych wiekach, mówiło się choćby o „bleu de Chartres” związanym z witrażami w tamtejszej katedrze czy „bleu de Sèvres” – charakterystycznym kobalcie ornamentyki wyrobów porcelanowych. Te francuskie nazwy często funkcjonowały w polskiej publicystyce i literaturze, niektóre w ogóle nie miały polskich odpowiedników.

XIX wiek był wiekiem pary i elektryczności. I w tych obszarach też szukano nazw dla kolorów. Mówiło się o „szarości

pary” czy „błękitie elektrycznym”, a właściwie o „bleu électrique”, choć gdy szukałam XIX-wiecznych prób wyjaśnienia tego drugiego terminu, traślałam na sprzeczne tłumaczenia. Dla jednych był to „jasny błękit”, dla innych wręcz przeciwnie – nasycony.

Technika wkroczyła nawet do świata mody.

– Zdarzało się, że ekstrawaganckie kobiety zakładały na bale suknie dekorowane żarówkami. Za tak ubraną damą musiał ktoś nieść rodzaj akumulatora i kręcić korbką, by w odpowiednim momencie

suknia świeciła. Bolesław Prus w 1883 r. pisał o damie „od stóp do głów oblanej potokami światła z drobnutkich lampek Edisona”, za którą szedł włoski karyniarz z instrumentem „mieszczącym w sobie silną baterię elektryczną” łączącą się z suknią za pomocą dwóch drutów.

Znalazłam angielski podręcznik z początku XX wieku, którego autor opisywał zagrożenia wiążące się z sukniami elektrycznymi. Należało uważać, żeby nie stać się przyczyną pożaru.

Błękit również nagle wkroczył na salony czy był w nich wcześniej obecny?

Co mówią kolory o XIX wieku?

– Właściwie cały wiek XIX był błękitny czy niebieski. Karierę zaczął w romantyzmie m.in. dzięki Goethemu i „Cierpieniom młodego Wertera”. „Leżał twarzą zwrócony ku oknu, na plecach, zupełnie ubrany i obuty i miał na sobie błękitny frak i żółtą kamizelkę” – czytamy w przekładzie Franciszka Mirandoli. To zestawienie opozycyjnych barw było odważne, ale wkroczyło do mody. Wystarczy spojrzeć na XIX-wieczne portrety dam, żeby dostrzec, jak często do niego powracano.

Niedawno byłam we Frankfurcie nad Menem w Muzeum Goethego, które mieści się w jego rodzinnym domu. Okazało się, że zachowano w nim wystrój kolorystyczny dwóch pokoi. Jeden był niebieski, drugi żółty. Niestety, nie był to pomysł Johanna Wolfganga, lecz jego rodziców. Szkoda, bo tak idealnie to pasuje do Wertera... Goethe zajmował się teorią i psychologią barw, a swoje spostrzeżenia spisał w wydanej na początku XIX wieku „Teorii barw”.

Jak Goethe widział błękit?

– Kojarzył mu się źle – był jednym z tych kolorów, które należą do „ujemnej” strony koła barw. Wpisywał go w sferę mroku, negatywnych wartości etycznych, pasywności i niepokoju. Inaczej odbieramy błękit dzisiaj, choć wydaje mi się, że młode pokolenie jakoś instynktownie powraca do tego postrzegania błękitu.

Niedawno robiliśmy z koleżanką badania w szkole średniej. Młodzi ludzie mieli napisać esej na temat „Mój błękitny świat” na podstawie wiersza Kazimierza Przerwy-Tetmajera „W Zatoce Neapolitańskiej”. To rozedrgane kolorystycznie strofy, przepelnione światłem, błękitem i lazurem.

To, co przeczytałam, bardzo mnie zaskoczyło. „Mój błękitny świat” dla młodego człowieka to świat depresji, niebieskich ścieżek narkotyków, niebieskich smurfów skaczących na siebie z nożami. Dla 15-letnich ludzi błękit nie jest kolorem przyjemnym, uspokajającym. Gdy piszą o potrzebie zanurzenia się w błękicie, to ma to związek z depresją. Czasem potrzebują popatrzeć w niebo, bo są tak sfrustrowani codziennością, że szukają wolnej od niej przestrzeni.

Inaczej to wyglądało pod koniec XIX wieku, kiedy zaczęto robić pierwsze ankiety na temat preferencji estetycznych. Wówczas niebieski triumfował.

Był uznawany za kolor spokojny, wyciszony, bezpieczny, choć równocześnie był odbierany jako kolor chłodny. Widać to świetnie choćby w niektórych powieściach Gabrieli Zapolskiej – niebieski bywa w nich kolorem oziębłości, szczególnie tej w relacjach międzyludzkich.

Nie jest to pisarka dzisiaj popularna.

– A szkoda! Zapolska to moje wielkie czytelnicze odkrycie z perspektywy koloru. Pracując nad „niebieską” książką, wróciłam do jej powieści. To nieprawdopodobne, w jaki sposób pisarka patrzyła na świat, otoczenie i ludzi właśnie poprzez kolor.

W listach i korespondencjach prasowych z Paryża, gdzie przebywała na początku lat 90. XIX wieku, próbując zrobić karierę na deskach Théâtre Libre Antoine’a, opisywała obrazy impresjonistów i zachwycała się tym, że na malarskich Salonach Paryskich nie ma już „ani śladu dawnej sadzy i czerni”, „wiekowej pleśni”.

Niebieski to był jej kolor?

– Nie bardzo. Wolała ubierać się na białą, lubiła czerń i zielenie. Za to jej bohaterki bardzo często mają na sobie coś niebieskiego. Błękit można też znaleźć we wnętrzach, mieszkaniach, w których żyją jej postaci.

Mamy tu cały przekrój społeczny – od niemowlaków przykrywanych w wózkach niebieskimi kółderkami, przez dziewczątka w błękitnych sukienkach, aż po dojrzałe kobiety w szafirowych sukniach.

Kolor różnicuje społecznie jej bohaterki. Robotnice czy służące ubiera Zapolska w proste, niebieskoszare sukienki czy spódnice. Ale kiedy pisze o błękitnym pe-



Wszystko zaczęło się od boskości błękitu. W XII w. francuscy królowie uzanli, że skoro błękit na niebie otacza wszelkie świętości, to oni powinni go przejąć.

• „Apollo spętany” - witraż Stanisława Wyspiańskiego w siedzibie Towarzystwa Lekarskiego w Krakowie. 343 cm wysokości i 146 cm szerokości. Rekonstrukcja, bo oryginał z 1904 r. zniszczono w 1945 r.

FOT. ADAM GOLEC / AGENCJA WYBORCZA.PL

niuarze, czyli o ozdobnym, pełnym falban i koronek szlafroku, to niewątpliwie mamy do czynienia ze szlachetniejszą tkaniną, z której go uszyto.

Ta rozpiętość tonów była możliwa dzięki wprowadzeniu na rynek pigmentów syntetycznych.

– W drugiej połowie XIX w. już właściwie nie wykorzystywano naturalnych barwników. Nastal czas pigmentów syntetycznych, często trujących. Do tzw. zieleni Scheelego dodawano na przykład arszenik. I ludzie żyli w mieszkaniach wytapetowanych arszenikowymi tapetami, nosili ubrania, w których było go całkiem sporo. Często używano też arszeniku jako barwnika spożywczego. Zdarzały się dramaty. Mama przyniosła do domu dla swojej pocie-

chy słodką ozdobę – a dekoracje cukiernicze były wtedy małymi dziełami sztuki. Odnotowywano ofiary śmiertelne.

Błękit jest kolorem klasowym?

– Dziś nie, ale kiedyś... Wszystko zaczęło się od boskości, a właściwie maryjności błękitu. W XII w. francuscy królowie uznali, że skoro błękit na niebie otacza wszelkie świętości, to oni powinni go przejąć. I tak jak w Cesarstwie Rzymskim kolorem władzy była purpura pozyskiwana wówczas z wydzieliny szkarłatników [ślimaków morskich], tak Kapetyngowie postawili na barw dzo drogi błękit wytwarzany z lapis-lazu-li. Wprowadzili do herbu błękitne, a właściwie lazurowe tło usiane złotymi lilijkami.

Zatem początkowo był to kolor najwyższych sfer. Gdy zaczęto uprawiać urzet barwierski, z którego pozyskiwano barwnik, niebieski zaczął tanieć i wkroczył do niższych grup społecznych. Ale nie był już tak nasycony i wyrafinowany.

Natomiast bez tej najdroższej ultramaryny pozyskiwanej z lapis-lazu-li nie byłoby ani błękitów na freskach Giotta w Asyżu, ani tych w Kaplicy Sykstyńskiej, ani też podziwianego do dziś koloru niebieskiego na płótnach Vermeera, który wpędził rodzinę w długi ze względu na cenę pigmentu.

Gdy po latach renowacji pokazano freski publiczności, pojawiły się głosy, że kolory są jak z bajki Disneya, nienaturalne.

– Tak właśnie wygląda niebo tych, których na nie stać.

Gdy w XVI wieku zaczęto z Indii sprowadzać indygo pozyskiwane z liści indygowca, barwnik dużo wydajniejszy niż ten z urzetu, ceny pigmentu znów spadły. Prawdziwą rewolucją było zaś pojawienie się błękitu pruskiego, który początkowo nazywano błękitem berlińskim. Barwnik ten wziął się właściwie z pomyłki. W 1706 r. niemiecki farmaceuta Johann Diesbach chciał uzyskać czerwony pigment, jednak pomylił proporcje składników. Już kilka lat później błękit pruski znalazł zastosowanie w obrazach, a gdy w latach 30. XVIII wieku udoskonalono jego produkcję, podbił rynek.

Barok jednak nie lubił niebieskiego.

– Nie aż tak, ale rzeczywiście widać go wówczas mniej. Pozostał kolorem maryjnym, więc wciąż był stosowany, ale barok ubrał niebieski w złoto. Przyćmił go. Na początku XIX wieku z kolei błękit malarski krył się nieco w monachijskich „sosach” – to od miejsca, w którym prężnie działała konserwatywna Akademia Sztuk Pięknych. Ale potem wybuchł błękit impresjonistów i nie było już odwrotu od rozbłękitnienia malarskiej przestrzeni. A i poetyckiej, bo poezja Młodej Polski szczególnie upodobała sobie błękity i lazury...

Wielki wpływ na popularność niebieskiego miało wynalezienie na początku XIX wieku sztucznej ultramaryny, która w postaci tzw. farbki pojawiła się nawet w wiejskich chałupach. Wciąż są wsie, w których domy maluje się na niebiesko. Uważa się, że to kolor, który odstrasza robactwo. Ale błękit to także ciągle kolor maryjny otulający domostwo jak błękitny płaszcz Maryi, która bierze pod swoją opiekę ludzi.

Przypomnijmy sobie „Wesele” Wyspiańskiego. W opisie dekoracji, który otwiera pierwszy akt dramatu, czytamy: „Noc listopadowa; w chacie, w świetlicy. Izba wybielona siwo, prawie błękitna (...)”. A jak kończy się? Chocholim tańcem o świcie: „Od sadu, od pola, we świetle szafiru, co idzie jak luna błękitna – głosy się cisną przedrannych ptasich świergotai; niebieskie to Światło wypełnia jakby Czałem izbę (...)”.

Dużo mówiła o kobietach. Jak to było w przypadku mężczyzny?

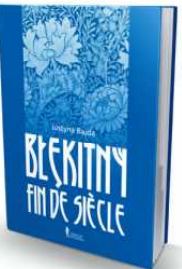
– Była już mowa o Goethem i jego Wert-rze, ale warto przypomnieć piękny portret autorstwa XVIII-wiecznego angielskiego malarza Thomasa Gainsborough zatytu-



• **Koniec XIX w. to w modzie damskiej nasycone kolory błękitu. Obraz „Niebieska suknia” (1870) Auguste’a Toulmoucha**
FOT. DOMENA PUBLICZNA

• **Czerwień w modzie męskiej. Obraz „Dr Pozzi w domu” (1881), Johna Singera Sargenta**
FOT. DOMENA PUBLICZNA

• **„Błękitny »fin de siècle«.** Kolor niebieski w kulturze i literaturze Młodej Polski (Gabriela Zapolska – Kazimierz Przerwa-Tetmajer – Stanisław Wyspiański)”, aut. Justyna Bajda, wyd. Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2023



lowany „Błękitny chłopiec”. Obraz być może przedstawia młodego Jonathana Buttle’a, syna zamożnego kupca, a powstał jako odpowiedź na stwierdzenie Sir Joshuy Reynoldsa, że kolor niebieski jest właściwie tylko „dodatkiem” czy „wsparciem” ciepłych barw. Jednak niekoniecznie! A z XIX wieku przywołajmy swoistą kulturę dandysów, którzy starali się urozmaicać swoje stroje, choćby poprzez barwne kamizelki czy akcenty kolorystyczne w postaci kwiatów.

Generalnie jednak panowie ubierali się w sposób znacznie bardziej stonowany, co jest też czytelne w powieściach z tego czasu.

Dzisiaj jednak na widok człowieka ubranego na różowo wciąż niektórzy pomyślą: ekstrawagancja.

– Historia różu jako męskiego koloru to też intrygujący wątek. W przypadku garderoby męskiej XIX wieku raczej należałoby jednak mówić o czerwieni. Nie mogę nie przypomnieć słynnego portretu dra Pozzi w czerwonym płaszczu pędzla amerykańskiego malarza Johna Singera Sargenta. A jeżeli róż – to głównie kolor małych chłopców – właśnie jako odpowiednik męskiej, silnej czerwieni!

Oczywiście dziewczynki i panny wkraczające w życie towarzyskie też często pojawiały się w pastelowych różach, ale dopiero po II wojnie światowej róż uznano za kolor jednoznacznie kobiecy. Zaczęło się od tego, że w czasie wojny kobiety przejęły wiele funkcji męskich. Robotnicze uniformy, które nosiły, były szare lub niebieskie.

W 1947 roku Christian Dior wypuścił swoją pierwszą kolekcję mody okrzykniętą „New Look”. Wylansował nową sylwetkę kobiety o figurze klepsydry, dodał szlachetne tkaniny, falbany, kapelusze i woalki, pantofle na szpilce. Wszystko miało mówić o nowym wizerunku kobiety. W ten sposób mógł też działać kolor różowy, jako za-

sadniczy kontrast dla poprzedniej nijakości. Tyle że ten wyjątkowy róż szybko został upupiony. Lata 50. XX wieku to czas, gdy kobiety niepracujące zawodowo zajmują się głównie dziećmi – różowiutkami i ślicznymi. I same zaczynają być tak traktowane. Róż przestaje być symbolem luksusu, wyrafinowania, rewolucji w stosunkach społecznych, a staje się określeniem infantylności.

Zdaje się, że róż powraca z hukiem, znowu silny i wyrazisty. Jak kolor wstążek ruchu walki z rakiem piersi. Magenta święci triumf – w logotypach banków, linii lotniczych, sieci telefonicznych.

Ile osób, tyle zdań o różowym. Jak wygląda twoja relacja z tym kolorem?

– W dzieciństwie go nienawidziłam, a nawet się go wstydziłam. Kiedy jeździłam na wieś do babci, która miała robione na szydelku poduszki, patrzyłam na niepojęte dla mnie zestawienia wściekłego różu z równie wściekłą zielenią. Czułam, że „jestem z miasta”, że to kompletnie nie moja estetyka. Dzisiaj takie zestawienia kolorystyczne budzą mój zachwyt.

Na kolor nie wystarczy patrzeć, trzeba go też zobaczyć.

Jesteś historyczką sztuki i literaturoznawczynią. Co dzięki temu widzisz w kolorach?

– Jako historyczkę sztuki nauczono mnie opisu formalnego obrazu. Należało dostrzec kolor i go opisać. Na tym się to zasadniczo kończyło, choć pamiętam też intrygujące zajęcia poświęcone konserwacji koloru malarzkiego i pigmentom.

Niedawno miałam ogromną przyjemność gościć na zaproszenie Fundacji Dom Stanisława Wyspiańskiego w Krakowie w Szafirowej Pracowni artysty przy ul. Krowoderskiej. Godzinę spędziłam przed dziurą w murze, w której znaleziono pierwotny kolor ścian. Siedziałam na podłodze

i gapiałam się w ten intensywny błękit. To było niezwykle przeżycie. Właśnie przeżycie historyka sztuki.

Jeżeli chodzi o przygodę z kolorem w literaturze, to – prawdę mówiąc – częściej jest on badany przez językoznawców, którzy szukają pochodzenia nazw, zastanawiają się, w jaki sposób można oddać różne tony poprzez nazewnictwo i różne formy gramatyczne.

Są świetne badania komparatystyczne dotyczące nazw kolorów między różnymi językami. Natomiast literaturoznawcy o kolorze mówią przeważnie w kontekście przestrzeni poetyckiej czy świata przedstawionego w powieści, jego semantyce, symbolice.

Ja chciałam trochę inaczej zmierzyć się z kolorem w Młodej Polsce. Postawiłam sobie pytanie, czy kolor w literaturze tego czasu zależał jedynie od preferencji estetycznych pisarza czy poety, czy też może funkcjonował w słowie jako jednym z elementów ówczesnej kultury. Odpowiedzi poszukiwałam przez kilka lat. I jak jest? To cały wykład, na który mi nie pozwolisz.

To prawda. Myślę, że warto, żebyś opowiedziała, jak wygląda twoja książka, bo sama w sobie jest ciekawą opowieścią o kolorze.

– Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego uznało, że można tę książkę wydać tak, żeby od pierwszego z nią spotkania mówiła o sobie wszystko. Wiele razy pisałam o idei XIX-wiecznej „książki pięknej”, ale nie sądziłam, że uda się wydać pracę naukową w tej konwencji. Forma publikacji, począwszy od obwoluty i okładki, przez nadruk na brzegach stron, wyklejkę, strony śródtytułowe, aż po wzornik kolorów i ilustracje towarzyszące tekstowi – wszystko jest idealne spójne z treścią. To była ogromna robota całego zespołu. Efekt, który udało się osiągnąć, przerósł moje oczekiwania.

Jaki jest kolor naszyjnika, który masz dzisiaj na sobie?

– To jeden z kobaltów, a więc błękit pomiędzy cyjanem a żółcienią. Idący w stronę zieleni.

I co mówi o właścicielce?

– O właścicielce mówi, że jestem bardzo wdzięczna koleżance, która mi go podała w ubiegłym roku na urodziny. To błękit południa, greckiego morza. Przez Francuzów bywa określany jako „glaouque” – transparentny lazur południowych mórz, zależny od światła i piaszczystego podłoża pobłyskującego srebrną miką. To tak naprawdę kolor, którego nie da się oddać ani pędzlem, ani słowem. ●



FOT. TOMASZ PIETRZYK / AGENCJA WYBORCZA.PL

***prof. Justyna Bajda**

• autorka książki „Błękitny »fin de siècle«...” literaturoznawczyni i historyczka sztuki, pracuje w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego.



JAK POKOCHALIŚMY Amerykę

Wiara w wyjątkowość Stanów Zjednoczonych zapuściła korzenie w Polsce i innych krajach naszego regionu ponad sto lat temu. I wciąż trzyma się mocno.

Maciej Górny

Na początku 2003 roku, kiedy państwa Europy Środkowo-Wschodniej szykowały się do podpisania traktatu akcesyjnego do Unii Europejskiej, wybuchła dyplomatyczna bomba. USA – w których hegemonię nikt wtedy nie wątpił – szykowały się do inwazji na Irak, uzasadniając ją współpracą Saddama Husajna z Al-Kaidą i gromadzeniem broni masowego rażenia. Inni członkowie Rady Bezpieczeństwa ONZ byli sceptyczni, jak się później

okazało, słusznie, bo wyszło na jaw, że oskarżenia były sfabrykowane.

Państwa Unii podzieliły się: Wielka Brytania wysłała do Iraku drugi po amerykańskim kontyngent wojskowy, Francja krytykowała inwazję. Aspirujące do Unii Polska, Węgry i Czechy poparły George'a W. Busha, co francuski prezydent Jacques Chirac skomentował sugestią, że zrobiłyby lepiej, milcząc. W kolejnych tygodniach obie strony nie poskramiały języków. Odnosząc się do europejskiej kłótni, sekretarz stanu Donald Rumsfeld symbolicznie przeciwstawił sobie dwie Europy: tę skupioną wokół Francji i Niemiec – „starą” oraz tę proamerykańską, którą nazwał „nową Europą”.

Podział, który zarysował się 20 lat temu, tłumaczy się doświadczeniem komunizmu. Europa Środkowo-Wschodnia lepiej uświadamia sobie, czym grozi zbyt słaba obecność amerykańskiej potęgi. Wszędzie tam, gdzie Zachód okaże się słaby, znajdą się inni kandydaci do przejęcia hegemonii, a nikt nie ma ochoty powracać za żelazną kurtynę.

Jednak jeśli spojrzymy głębiej w przeszłość, znajdziemy więcej czynników, które tłumaczą proamerykańskość tego regionu. Nie chodzi wyłącznie o „amerykański sen” milionów emigrantów ze wsi Galicji czy Królestwa Polskiego, o „dutki” przysyłane z Chicago na Podhale czy Pokucie. Proamery-



• **Herbert Hoover przy skrzyniach z pomocą humanitarną dla Europy. Organizację American Relief Administration, która zajmowała się jej dystrybucją, Kongres Stanów Zjednoczonych powołał w 1919 roku**

FOT. BETTMANN
ARCHIVE /
GETTY IMAGES

kańskość Europy Środkowo-Wschodniej ma także przeszłość polityczną. Podwaliny pod nią Ameryka położyła mniej więcej sto lat temu.

TRUDNE POCZĄTKI

Podczas świąt niepodległości nowo powstałych państw Europy Środkowo-Wschodniej opisywano ich początki w tonie uroczystym. Oto pod koniec Wielkiej Wojny zmaterializowały się wielowiekowe marzenia narodów dążących ku wolności. W ogniu walk o granice i zmagañ z bolszewickim zagrożeniem ustanowiony został nowy, bardziej sprawiedliwy ład.

Rzeczywistość pierwszych miesięcy wolności była jednak mniej koturnowa. Młode państwa nie miały sprawnych armii, urzędników, nie były w stanie poprawić warunków życia robotników i chłopów. Panoszyła się przemoc. Władza rekompensowała sobie niepowodzenia, posługując się strachem przed bolszewizmem, przed Niemcami oraz „wyzyskiwaczami”.

Ci ostatni przybierali różną postać: na Litwie „polskich panów”, w Polsce „żydowskich spekulantów”, na Słowacji „węgierskich arystokratów”.

Ten chaos okazał się trudnym wyzwaniem nie tylko dla konkurujących ze sobą obozów politycznych. Problemy ze zrozumieniem, co tu się właściwie dzieje, mieli też obcokrajowcy. Jens Christian Johansen, duński konsul w Tallinnie, odnotował rozmowę, którą pod koniec 1918 roku przeprowadził z estońskim wiceministrem wojny Tomisem Jürine. Estoński polityk przestrzegł go, że ma tylko 400 żołnierzy, którzy mogliby stawić czoło zbliżającym się bolszewikom. Pozostali ulotnili się, więc byłoby rozsądnie, gdyby konsul na wszelki wypadek spakował walizki.

Wojna doprowadziła mieszkańców Europy Środkowo-Wschodniej na skraj humanitarnej katastrofy. Trudno oczekiwać, by ludność zagrożona śmiercią głodową dała się porwać hasłom przebudowy kraju. Bez względu na sympatie polityczne ludzi zajmował przede wszystkim kryzys żywnościowy, zdrowotny, paliwowy i komunikacyjny. Jeszcze w 1921 roku, podczas pierwszego spisu powszechnego, istniały obszary Polski, na które żaden z komisarzy spisowych nie odważył się zapuścić z obawy przed tyfusem.

Na 623 kalorie posiłku z USA składało się m.in. mleko skondensowane, kakao, fasola i ryż, niezbyt często goszczące na stołach biedniejszej części społeczeństwa. Mleko odgrywało w tym jadłospisie szczególną rolę, gdyż amerykańscy uczeni sądzili, że to produkt od czasów przedhistorycznych powiązany z białymi Europejczykami. Sam Hoover mówił, że „biała rasa nie może przetrwać bez produktów mlecznych i żadne dziecko nie jest w stanie się rozwinąć przy brakach czy też mleku złej jakości”.

Wdzięczność Ameryce miała i negatywne skutki – skoro własne państwo nie sprostало humanitarnemu wyzwaniu, straciło okazję do zdobycia społecznego zaufania, jego deficyt odczuwalny jest do dziś

DOBRY WUJEK SAM

Na tym tle łatwiej zrozumieć niesamowitą popularność, którą w Europie Środkowo-Wschodniej cieszyły się Stany Zjednoczone i prezydent Woodrow Wilson. Ulice, place i dworce seryjnie nazywano jego imieniem. Niemieccy mieszkańcy dzisiejszej Bratysławy chcieli nawet przemianować swoje miasto na Wilsonovo. Region przeżył też w międzywojniu inwazję pomników prezydenta i innych amerykańskich dygnitarzy.

Przyzwyczailiśmy się widzieć w tym wdzięczność za amerykańskie wsparcie niepodległości Polski i innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Ale polityka nie tłumaczy autentycznego społecznego entuzjazmu, jaki towarzyszył proamerykańskim gestom. Ogromny prestiż prezydenta Wilsona i Stanów Zjednoczonych wynikał wprost z rozmiarów amerykańskiej akcji pomocowej.

Był to mariaż pomocy humanitarnej z oświeconym imperializmem, nawiązujący do spektakularnej akcji dokarmiania Belgów i Francuzów prowadzonej w czasie wojny pod auspicjami Commission for Relief in Belgium. Szefem tej operacji był Herbert Hoover i on także pokierował jeszcze ambitniejszym przedsięwzięciem, obejmującym niemal połowę kontynentu: American Relief Administration (ARA) Kongres powołał w lutym 1919 roku.

Kilka dni później, w Paryżu, Hoover stwierdził: „Przyjęcie przez Kongres ustawy o pomocy w wysokości 100 mln dolarów zdejmie ciężar z serc milionów ludzi w Europie. [...] Natychmiast po uchwaleniu ustawy pojawiła się ona w nagłówkach gazet w Bukareszcie, Sofii i Helsingforsie [Helsinki] i była znana w Warszawie, Łodzi, Pradze i Fiume, gdzie miliony ludzi z niepokojem spoglądały w stronę Stanów Zjednoczonych w poszukiwaniu przywództwa w walce z najbardziej bezpośrednim niebezpieczeństwem”.

Hoover nie grzeszył skromnością, ale w jego słowach nie było przesady. Polska działalność ARA i współpracujących z nią organizacji podlegała audytowi, mamy więc dokładne dane obrazujące jej skalę. Wiedząc z kolei, że pomoc dla Polski pochłonęła około jednej piątej amerykańskich środków pomocowych, możemy uświadomić sobie, co znaczyła dla naszych sąsiadów. W jednym ze sprawozdań opublikowanych w 1922 roku czytamy: „Ogólna suma żywności rozdanej dzieciom Polski do dnia 1 stycznia 1922 r. wynosi 1 072 184 ton (670 mln posiłków). Równa się to w przybliżeniu 10 721 towarowym wagonom (polskim), które połączone razem, utworzyłyby pociąg długości 43 mil angielskich (72 km). Ogólna wartość tej żywności wynosi 30 mln dolarów”.

BIAŁY BEZ MLEKA NIE PRZEŻYJE

W szczycie swojej działalności, w maju 1920 roku, ARA dożywiała w Polsce dokładnie 1 315 490 dzieci. W akcji, tak jak w niemieckim lub austriackim systemie kartkowym, obowiązywała kalkulacja kalorii. Ponieważ Amerykanie skupili się na dożywianiu dzieci, kobiet w ciąży i matek karmiących, posiłki komponowano ze składników uważanych za najbardziej dla nich wskazane.

Podobieństw do autorytarnych praktyk niemieckiej i austro-węgierskiej wojennej biurokracji było więcej. Pomoc nie objęła wszystkich dzieci. O tym, kto otrzyma dodatkowy posiłek, decydowała selekcja, polegająca na ważeniu i mierzeniu. Kto przekraczał wskazaną w tabeli granicę, oddzielającą niedożywienie od normy dla swego wieku, musiał się obejść smakiem.

Pozostali ustawiali się w kolejce na dźwięk dzwonów w południe bądź w porze wybranej przez obsługę kuchni czy pijalni mleka dla dzieci. Amerykanom zależało na utrzymaniu całkowitej kontroli nad przygotowaniem i wydawaniem posiłków. Mimo pojawiających się próśb nie godzili się na wydawanie produktów, z których ludzie sami mogliby sobie coś ugotować. Nie zmieniło się to nawet wówczas, gdy na wschodzie Rzeczypospolitej doszło do ataków na pracowników ARA.

POMOC PRAWIE PONAD PODZIAŁAMI

Z czasem okazało się, że potrzeby są znacznie większe. Akcja została rozszerzona o dokarmianie dorosłych oraz dostarczanie ciepłej odzieży, zwłaszcza na zimę z 1919 na 1920 roku. ARA uruchomiła także system banków żywności, polegający na tym, że amerykańscy obywatele mogli wpłacać środki, z których na miejscu wydawano posiłki wskazanym przez nich osobom. Z tej pomocy często korzystali Żydzi w Rosji Radzieckiej, gdzie amerykańska akcja trwała aż do 1923 roku. Hoover lubił podkreślać, że amerykańska pomoc nie ma nic wspólnego z polityką, więc nikt nie powinien rozróżniać między głodnymi dziećmi niedawnych wrogów i przyjaciół. Pomoc skierowana do Rosji w 1921 roku w czasie klęski głosu stanowiła dowód, że ARA stoi ponad podziałami.

Podobną wymowę miała strategia Amerykanów w czasie wojny polsko-bolszewickiej. ARA starała się działać na terenach opanowanych przez bolszewików, a tuż przed bitwą warszawską podjęła z nimi negocjacje w sprawie dalszej działalności, nawet gdyby rewolucja przeszła po trupie białej Polski.

W rzeczywistości akcja pomocowa miała charakter polityczny. Tyle że była to specyficzna forma jej uprawiania: nowoczesna, humanitarna i bardzo amerykańska.

Przemówienie Hoovera w Paryżu ilustruje, na czym miała opierać się amerykańska soft power. Jej najważniejszym adresatem były owe „miliony ludzi spoglądające w stronę Stanów Zjednoczonych w poszukiwaniu przywództwa”. Sformułowanie nie było przypadkowe, amerykańscy filantropi wyraźnie podkreślali, że ich działalność bezpośrednio dotyka „milionów”. Pomoc ARA dawała politykom w Stanach – przynajmniej w ich mniemaniu – prawo dyktowania polityki młodym państwom Europy Środkowo-Wschodniej. Chodziło oczywiście o powstrzymanie komunistycznej zarazy, ale nie tylko.

W korespondencji z polskim rządem Hoover pisał uprzejmie, ale bardzo bezpośrednio, jakiej pomocy oczekuje. Trzecią część kosztów dożywiania pokrywał





budżet państwa, a w pracę na miejscu – w kuchniach, sierocińcach i przy innych zajęciach – zaangażowało się kilkadziesiąt tysięcy Polek i Polaków. Jak pokazuje historyczka z Uniwersytetu Warszawskiego Sylwia Kuźma-Markowska, amerykański humanitaryzm opierał się na zasadach biznesowych. Stąd zamilowanie do liczbowych sprawozdań, twarde egzekwowanie zobowiązań od polskich organizacji i przekonanie, że amerykański model pomocy jest bezalternatywny.

Częścią dealu, który proponowali Amerykanie, było zobowiązanie lokalnych rządów do samodzielnego kontynuowania akcji, dopóki będzie to niezbędne. W Polsce spoczęło to na Polskim Komitecie Pomocy Dzieciom, organizacji ściśle współpracującej z ARA. Ciągłość akcji sygnalizowała na początku 1920 roku zmiana nazwy organizacji na Polsko-Amerykański Komitet pomocy Dzieciom.

WILNO WITA MAJORA ROSSA

Reakcje mieszkańców państw objętych amerykańską pomocą dowodziły, jak skuteczna jest polityka prowadzona za pomocą skondensowanego mleka i fasoli w puszkach. Żegnając kierownictwo ARA w 1922 roku, premier polskiego rządu Antoni Ponikowski pisał z patosem: „Cała polska ludność czci imię Hoovera i darzy wdzięcznością i szacunkiem wszystkich jego rodaków współpracujących przy akcji pomocowej w Polsce”.

W tych słowach nie było przesady. Wymęczone wojną społeczeństwa naszego regionu patrzyły na Amerykanów jak na wybawicieli. Litewski historyk Tomas Balkeis opisuje wydarzenie, do którego doszło 15 marca 1919 roku w Kownie:

„(...) miasto (...) eksplodowało entuzjazmem po przybyciu pierwszej zagranicznej delegacji, misji Amerykańskiego Czerwonego Krzyża pod przewodnictwem majora Rossa. Na dworcu kolejowym Amerykanie zostali uroczystie powitani przez ministrów rządu, wojskową gwardię honorową i ogromny tłum. Zostali eskortowani do najlepszego miejskiego hotelu, który został udekorowany amerykańskimi flagami, podczas gdy litewskie samoloty salutowały gościom na niebie. Oficjalna gazeta państwowa, „Lietuva”, opisała Amerykanów jako zwiastunów demokracji i samostanowienia narodów”.

Młode państwo litewskie rozpaczliwie potrzebowało jakiegokolwiek aktu oficjalnego uznania, co wystarczająco tłumaczy poderwanie samolotów z powodu jednego majora. Jednak entuzjazm ludzi nie był udawany. Kiedy w sierpniu 1919 roku sam Hoover złożył wizytę w Warszawie, dostojny gość po wizycie w biurze Centralnego Komitetu Pomocy Dzieciom przy Karowej i wysłuchaniu obu hymnów wraz z całym rządem i władzami Warszawy miał przejechać Traktem Królewskim. Na trasie mijał tłumy dzieci machających polskimi i amerykańskimi chorągiewkami. Na miejscu, po ponownym odegraniu hymnów, przed dostojnikami miały przedefilować kolejne tysiące dzieci.

KRAJE Z INNEJ LIGI

Chyba najlepszym świadectwem, jak dobrze przyjął się amerykański know-how, było zalecenie, by maszerujące w defiladzie dzieci nie zapomniały zabrać ze sobą kubków. Uczestnikom fety przysługiwał bowiem posiłek, bez wstępnej selekcji. Przed uroczystością Hoover wygłosił przemówienie. Czytając dziś jego słowa, nie ma wątpliwości, że reprezentował w Warszawie potęgę Ameryki:

„Polska utworzyła u siebie podstawy rządu, zapewniła sobie swobodę i uzbroidła

się przeciwko wrogom zewnętrznym [...] Teraz ma Polska przed sobą najważniejsze zadanie: budowę swojego życia gospodarczego. [...] Bolszewicy w Rosji sądzili, iż znaleźli drogę uszczęśliwienia ludzkości, każdy zaś wie, iż oni to właśnie dali swej ludności głód i nędzę przez zupełne wstrzymanie produkcji w kraju, który przedtem tak wiele wywoził. [...] Produkcja węgla jest dziś dla Polski równie ważna jak obrona granic. Niemniej trudno i chwalebnie jest żyć dla kraju, jak za niego życie oddać. Wspaniała to rzecz oddać swe życie dla ideału; lecz wytrwałość i przedsiębiorczość są niemniej dla tego kraju potrzebne. [...] Polska jest już mężem dojrzałym, mającym rozum w postaci rządu. Pierwszy okres samodzielnności był okresem niemowlęctwa, gdy pomoc z zewnątrz była niezbędna, musi teraz Polska sama myśleć o sobie i swej przyszłości”.

Wiele wskazuje na to, że tłumy witające reprezentantów amerykańskiej *soft power* w miastach Europy Środkowo-Wschodniej zgadzały się z Hooverem w ocenie sytuacji. Z ich perspektywy prawdziwym wyzwaniem było wyкарmienie, ubranie, zapewnienie dachu nad głową i ogrzanie milionów ludzi. Żadne z tych państw nie dorównywało Amerykanom pod względem finansowym czy organizacyjnym. Startowały w zupełnie innej lidze. Walka z epidemiami, niedożywieniem i ubóstwem pochłaniała czas i środki bardzo potrzebne także w innych sferach polityki i życia: armii, edukacji, administracji itp. A przede wszystkim do rozwiązania problemu sprywatyzowanej przemocy. Rządy tych państw po prostu nie mogły sobie pozwolić na akcję pomocową w amerykańskim stylu.

MNIEJ ŚWIETLANY REWERS

Taki podział zadań miał jednak długofalowe skutki. Skoro rozwiązanie najpilniejszych problemów stało się domeną amerykańskich filantropów i areną polityki zagranicznej USA, wdzięczność i społeczne zaufanie także stało się udziałem Ameryki. Daleki kraj, który już w XIX wieku przyciągał tysiące ludzi szukających lepszego życia, stał się w oczach ich potomków mocarstwem humanitarnym, jedynym reprezentantem etycznej polityki. Ta wiara w wyjątkowość Ameryki zapuściła głębokie korzenie w społeczeństwach tzw. Nowej Europy. Od czasu do czasu daje o sobie znać także dziś i niewiele wskazuje, żeby wygasła. Inwestycje Hoovera sprzed wieku wciąż procentują.

Uczucie wdzięczności Ameryce ma jednak także mniej świetlany rewers. Skoro własne państwo nie było w stanie sprostać humanitarnemu wyzwaniu, straciło okazję do zdobycia społecznego zaufania, dobra bezcennego w początkach niepodległości. Ten deficyt wciąż doskwiera demokratycznym rządom w Europie Środkowo-Wschodniej.

Podział na dobrą, moralną nie-politykę uprawianą przez Amerykanów i zwyczajną, przyziemną, a często nieprzyjemną lokalną codzienność, bił w oczy już w czasie, gdy ARA rozkręcała swoją działalność. Przy akcji o tak wielkiej skali musiało dochodzić do przekrętów, wszak amerykańscy współpracownicy ARA nie byli aniołami. Jednak w sferze publicznej cień podejrzenia padał na nich wyjątkowo rzadko albo wcale.

Na tej samej stronie, „Kuriera Warszawskiego”, na której przedstawiono program wizyty Hoovera w Warszawie, drobnym drukiem opisano bulwersującą sprawę kradzieży amerykańskiej mąki. Zamieszanych w nią było co najmniej kilkanaście osób, w tym kierownik magazynów żywnościowych na Pradze, jego koledzy, żydowscy pośrednicy i postacie z chrześcijańskiego półświatka. A nawet skorumpowany urzędnik warszawskiego magistratu. Współudział Amerykanów wykluczono. Zresztą w Ameryce coś takiego byłoby niemożliwe... ●

ŻYCIE PO KANCLER

„Pierwsza ofiara Hitlera” – tak zamordowanego 90 lat temu kanclerza Austrii Engelberta Dollfußa nazywała austrofaszystowska propaganda. Choć był dyktatorem i miał krew na rękach.

Bartosz T. Wieliński



• Kanclerz Engelbert Dollfuß przemawia podczas wiecu w Wiedniu 11 września 1933 roku
FOT. ÖNB/IMAGNO/GETTY IMAGES

ŚMIERCI ZA DOLLFUSSA

Jeszcze dwa lata temu w wiosce Texingtal 80 km na zachód od Wiednia można było zwiedzić jedyne w kraju muzeum kanclerza Engelberta Dollfußa. Złożono je w jego rodzinnym domu, bynajmniej nie w latach 30. XX wieku.

– Engelbert Dollfuß nie był demokratą, ale bez wątpienia był wielkim i odważnym patriotą, który desperacko bronił kraju przez narodowym socjalizmem – mówił otwierając muzeum 14 czerwca 1998 roku premier Dolnej Austrii chadek Erwin Pröll. Jego rząd dofinansował instytucję, mającą pokazywać przeszłość „w obiektywny sposób, poparty naukowo”, gdzie Austriacy

mogli „spotykać się, rozmawiać i uczyć się z przeszłości swojego kraju”.

W ciągu pierwszych kilkunastu lat istnienia muzeum odwiedziło 10 tys. ludzi. W porównaniu z Wiedniem czy Salzburgiem to śmieszna liczba, w skali malej wsi liczba olbrzymia.

W czterech izbach wiejskiej chaty zgromadzono ponad 100 eksponatów i 200 fotografii Dollfußa na różnych etapach życia. Jest też jego maska pośmiertna. „Wielki kanclerz”, „odnowiciel Austrii”, „bohater” „męczennik” – można było przeczytać na ekspozycji. Słowo „dyktator” nie pada, choć Dollfuß rządził po dyktatorsku i miał krew na rękach. Przeciwników zamykał w obozie koncentracyjnym w Wöllersdorf pod Wiener Neustadt. O nim na wystawie jest mowa jako sukces Dollfußa w walce z politycznym chaosem.

Wydawało się, że pod koniec lat 90. w Austrii do przeszłości podchodzi się w ostrożny i zróżnicowany sposób. Jeszcze nie przebrzmiała afera wokół wybranego w 1986 roku na prezydenta Kurta Waldheima, który – co odkryto 40 lat po wojnie – jako oficer Wehrmachtu w Salonikach co najmniej wiedział o deportacjach greckich Żydów do Auschwitz i innych zbrodniach. Ujawnienie tych faktów doprowadziło do obalenia mitu, że Austria była pierwszą ofiarą Hitlera i z wojny wyszła z czystą kartą.

Rok po otwarciu muzeum do rządu weszli politycy skrajnie prawicowej Partii Wolnościowej, której przywódca Jörg Haider lżył Żydów i gloryfikował SS. Ale muzeum w Texting nikt nie zauważał, wiedeńska prasa przegapiła jego otwarcie. Austrofaszyzm nie był tematem debat, a kult Dollfußa nie wpisywał się w austriackie dyskusje o przeszłości.

PUCZ I KULT

Kult kanclerza rozpoczął się 25 lipca 1934 roku. Tego dnia do gmachu urzędu kanclerskiego przy Ballhausplatz w Wiedniu wdarła się licząca 144 osoby grupa spiskowców. Nosili mundury austriackiej armii, w rzeczywistości byli członkami SA i SS.

Adolf Hitler dał zielone światło, by siłą przyłączyć Austrię do Rzeszy, wykorzystując do tego członków działającej w Austrii NSDAP i nazistowskich bojówek. Mieli oni opanować kluczowe obiekty w najważniejszych miastach. W Wiedniu zajęli siedzibę radia, skąd nadawano komunikaty o poddaniu się rządowi, co nie było prawdą.

Dollfuß nie skapitulował, tylko próbował uciekać przed dobijającą się do drzwi jego gabinetu ciżbą. Napastnicy dopadli go w jednym z bocznych pomieszczeń. Dowodzący akcją SS-mann Otto Planetta nie rozpoznawszy kanclerza (tak twierdził przed sądem), strzelił do niego z pistoletu. Kula przeszła krtani. Według jednej z wersji kanclerz, przez kilka godzin konał na podłodze. Zaplamione krwią dywan i sofę traktowano później jak relikwie.

NA CZELE AUSTRII

Dollfuß do polityki wszedł jako reformator rolnictwa. Pod koniec lat 20. liczący niespełna 155 cm wzrostu weteran walk na froncie

włoskim, odznaczony ośmioma medalami, rozwijał rolnicze organizacje, zakładał spółdzielnie, upowszechniał ubezpieczenia dla właścicieli gospodarstw i ich pracowników.

Wiosną 1931 roku kanclerz Otto Ender z Austriackiej Partii Chrześcijańsko-Społecznej, powierzył mu funkcję ministra rolnictwa. Austrię dusił światowy kryzys, w 1932 roku gospodarka skurczyła się o 10 proc., a bezrobocie przekroczyło próg 20 proc. i rosło. System bankowy był niewydolny. Na powierzchni dzięki zaciągniętych przez państwo pożyczkom ograniczonym utrzymał się tylko jeden bank.

Politycy byli coraz bardziej radykalni: w łonie partii socjaldemokratycznej przybywało zwolenników przekształcenia Austrii siłą w bolszewicką republikę rad. Działacze Heimwehry, wspieranej przez faszystowskie Włochy nacjonalistycznej organizacji paramilitarnej, w 1930 roku ogłosili, że chcą obalić republikę. Popularność zyskiwała też importowana z Niemiec nazistowska ideologia.

Dollfuß na czele rządu stanął 10 maja 1932 roku, choć wbrew zwyczajowi nie zasiadał w Radzie Narodowej, czyli parlamencie. Koalicja z partią chłopską i nacjonalistami, była niestabilna. Kanclerz próbował omijać parlament na mocy specjalnych pełnomocnictw dla rządu udzielonych jeszcze podczas I wojny światowej. By utrzymać spokój, zabronił demonstracji.

OD STRAJKU DO KARY ŚMIERCI

1 marca 1933 roku w kraju stanęły pociągi, kolej nie miała pieniędzy na wypłaty. Odpowiedzią był ogólnokrajowy strajk, na który rząd zareagował represjami: uczestników aresztowano albo zwalniano z pracy.

Trzy dni później podczas głosowania w Radzie Narodowej wniosków o uznanie – lub nie – strajku za polityczny, a nie pracowniczy protest, doszło do nieprawidłowości przy liczeniu głosów. Spór przerodził się w awanturę, w wyniku której ze stanowiska zrezygnowali przewodniczący parlamentu Karl Renner i jego trzech zastępców. Parlament nie mógł bez nich obradować.

Kryzys spadł Dollfußowi jak z nieba. Kanclerz uznał, że parlament „wyłączył się sam” i zaczął rządzić dekretemi. Gdy posłowie próbowali wrócić na obrady, by wybrać nowego przewodniczącego, gmach otoczył kordon policji, który nie przepuszczał nikogo.

Prezydent Wilhelm Miklas, wywodzący się jak Dollfuß z Austriackiej Partii Chrześcijańsko-Społecznej, ignorował apele, by rozwiązać parlament i roz�isać wybory. W podobny sposób Miklas pomógł wyłączyć trybunał konstytucyjny. Gdy sędziowie pod naciskiem rządu zrezygnowali z funkcji, prezydent nie mianował następców. Partie zlikwidowano, jedyną legalną siłą polityczną stał się Front Ojczyźniany z Dollfußem na czele. Pod koniec 1933 roku organizacja liczyła milion członków. Dla wielu zawodów przynależność do niej była obowiązkowa, kto się uchylał, tracił stanowisko na rzecz „prawdziwego austriackiego patrioty”. Przeciwników zamykano w obozie koncentracyjnym, kilkudziesięciu powieszono. Już w listopadzie 1933 r. w Austrii przywrócono karę śmierci.

W lutym 1934 podczas tłumienia protestów socjaldemokracji, które ogarnęły cały kraj, Dollfuß do walki wysłał nawet artylerię – mogło zginąć nawet 2 tys. osób.

HITLER CHCE AUSTRII

Dollfuß nie był radykałem. Wychowany na pobożnej wsi był typowym konserwatystą. Odrzucił parlamentaryzm, bo w jego kraju, pozbawionym demokratycznych tradycji ten eksperyment się nie powiódł. Dyktatorskie rządy miały być sposobem na wyjście z politycznego impasu. Dollfuß nie planował dyktatury na długo, nie chciał używać przemocy, ale uznał, że nie ma wyboru...

Symbolem nowego austriackiego państwa ustanowił Kruckenkreuz, krzyż z poprzecznymi belkami na końcach ramion. Była to odpowiedź na swastykę, która stała się symbolem nazistowskich Niemiec. Hitler ogłosił, że będzie dążyć do przyłączenia Austrii, dlatego Dollfuß zwalczał NSDAP, zaś jako protektora wybrał włoskiego dyktatora Benito Mussoliniego. Z powodu ideologicznej bliskości system, jaki tworzył, nazwano austrofaszyzmem.

Austriacki parlament, bez posłów zdelegalizowanej socjaldemokracji (zabroniono też działalności NSDAP), zebrał się tylko raz, 20 kwietnia 1934, by uchwalić nową konstytucję. Wprowadzała ona państwo korporacyjne, czyli takie, w którym autorytarna władza sprawowana jest w oparciu o organizacje zawodowe i klasowe. Społeczeństwo miało zostać zorganizowane w zawodowe izby. Konstytucja przewidywała siedem, stworzono tylko dwie: dla rolników i pracowników służby cywilnej.

PAŃSTWO I KOŚCIÓŁ

Fundamentem, na którym Dollfuß budował nowe państwo, był Kościół katolicki. Austriacka Partia Chrześcijańsko-Społeczna miała klerikalny charakter, a jej czołowi działacze łączyli funkcje polityczne i kościelne. Ignatz Seipel, w latach 20. dwukrotny kanclerz, był pralatem i profesorem teologii. Kościelny epizod miał sam Dollfuß, wychowanek niższego seminarium duchownego w Wiedniu. Księdzem nie został, porzucił studia teologiczne na rzecz prawa.

Duchowni mieli legitymizować politykę Dollfußa poprzez popierającą korporacjonizm katolicką naukę społeczną i wspierać autorytarne państwo. I tak się działo.

Dzięki finansowemu wsparciu państwa Kościół rozpoczął ofensywę w Wiedniu, by z robotniczych dzielnic wypłenić wpływy komunistów. Zakładano nowe parafie, budowano świątynie, agitowano. Religia w szkołach stała się obowiązkowa, apostazję była praktycznie niemożliwa. Krytyków Kościoła uciszano.

Ratyfikowany w 1934 roku konkordat nie dopuszczał rozwodu po zawarciu kościelnego małżeństwa. Duchowni czyścili biblioteki z niemoralnej czy politycznie niewłaściwej literatury. Ograniczono prawa kobiet, które zwalniano z pracy w urzędach, ze szkół, uniemożliwiono im studiowanie. Kobieta miała zajmować się domem.





Działalność Dollfuša wspierał nie tylko episkopat. Papież Pius XI w 1933 roku błogosławił „ludziom, którzy tak dobrze, tak zdecydowanie, tak chrześcijańsko rządzą w Austrii”. To właśnie Kościół po śmierci Dollfuša współtworzył kult kanclerza-męczennika.

ŚWIĘTY KANCLERZ

25 lipca po południu o męczeńskiej i bohaterskiej śmierci Dollfuša naród poinformował Kurt Schuschnigg, minister sprawiedliwości, który stanął na czele państwa. – Kanclerz nie żyje, ale żyje jego dzieło. Żyje Austria, a my wzywamy świat na świadka, że jego dziedzictwo będzie nas wiodło ku przyszłości – mówił w radiowym wystąpieniu.

Nazistowski pucz spacyfikowano, w Wiedniu zaczęły się aresztowania. W Karyntii, Styrii, Górnej Austrii i Salzburgu starcia puczystów z wojskiem i policją trwały jeszcze kilka dni. Zginęło 220 osób, 13 spiskowców, w tym Planettę skazano na śmierć i powieszono.

Kult Dollfuša rozpoczął się od jego pośmiertnej maski. Oryginał, zdjęty z twarzy zamordowanego kanclerza przechowywano jak relikwię w poświęconym mu wiedeńskim kościele, w którego krypcie spoczął. Kopie, często powiększone, wykorzystywano podczas uroczystości Frontu Ojczyźnianego. Wizerunek śpiącego męczennika wisiał nad trybuną, na tle z czarnego materiału jako symbol żałoby, ale i duchowej obecności kanclerza. Austrofaszystowska propaganda powtarzała, że Dollfuß choć umarł, dalej żyje w austriackich sercach i wyznacza drogę. Stał się nadprzyrodzonym przywódcą kraju. Z czasem maski zastąpiły popiersia i portrety, na których Dollfussa przedstawiano w mundurze oficera cesarsko-królewskiej armii. W całym kraju stawiano mu pomniki.

Kult nabrał religijnego charakteru, na pomniku Dollfuša w Hall am Tirol pod Innsbruckiem pojawiła się korona cierniowa. Kanclerzowi wystawiano specjalne krzyże. Pod Linzem taka rzeźba miała 15 m wysokości, nocą rozświetlało ją 6 tys. świec. Poświęcano mu kolejne kościoły, na freskach jego podobiznę malowano pośród apostołów albo samego Chrystusa, do którego go przyrównywano.

Wydano dziesiątki hagiograficznych publikacji, w których konanie kanclerza porównywano do męki pańskiej. Śmierć Dollfuša miała bowiem zbawić Austrię, a krew, która sączyła się z jego ran, miała użyźnić kraj. Przywoływano jego rzekome ostatnie słowa: „Chciałem tylko pokoju”. Ta fraza również miała mesjański wymiar. Równocześnie w Austrii rozkwitł kult św. Engelberta, średniowiecznego arcybiskupa Kolonii, który zginął męczeńską śmiercią. Do Wiednia z grobowca w kolońskiej katedrze sprowadzono jako relikwię, kawałek palca. Figury świętego stawiano wszędzie oddawanych do użytku dróg, które nosiły imię Dollfuša.

Polityczny projekt kanclerza nabierał nadprzyrodzonego charakteru, a jego polityczni spadkobiercy mogli kontynuować jego święte dzieło.

Zaraz po zamachu z szeregów duchowieństwa wyszedł postulat ogłoszenia kanclerza świętym. Arcybiskup Wiednia kardynał Theodor Innitzer podczas pogrzebu prosił zmarłego, by wstawił się za rodakami u Boga w niebie. Prasa katolicka zbierała dowody cudów, które miały dokonać się za jego wstawiennictwem. Wniosek o kanonizację wysłano do Watykanu, ale sprawie nigdy nie nadano biegu.

PIERWSZA OFIARA WHITLERA

Być może dlatego, że austrofaszystyzm upadł po niespełna czterech latach. 13 marca 1938 Hitler dokonał Anschlusu Austrii, kanclerz Schuschnigg, nie mogąc liczyć na

wsparcie Włoch, ugiął się pod niemieckim ultimatum. Do kraju wkroczyły oddziały Wehrmachtu. Kuckenkreuz zastąpiła swastyka, a Dollfuša, jako patrona ulic i placów – Hitler. Pomniki kanclerza zniszczono, ostały się jedynie św. Engelberta.

Kościół, których Dollfuß był patronem, zamknięto na polecenie Gestapo, by usunąć z nich wszelkie symbole związane z poprzednim reżimem. Ciało Dollfuša ekshumowano i po cichu pochowano na jednym z wiedeńskich cmentarzy. Schuschnigg został osadzony w obozie koncentracyjnym w Dachau. Hitler planował go sądzić za represje wobec austriackich nazistów, ale do procesu pokazowego ostatecznie nie doszło.

Kult Dollfuša rozwijał się w podziemiu. Choć z powojennych szacunków wynika, że w antynazistowski ruchu oporu zaangażowanych mogło być kilkadziesiąt tysięcy osób, to w Austrii nigdy nie powstała jednolita podziemna organizacja, opór miał polityczny charakter. Już w 1938 roku rozrzucano ulotki, na których Niemców określano mianem morderców Dollfuša. Podobne napisy pojawiały się na murach. Pod ocalałymi pomnikami palono świece, składano kwiaty. Opór zwalczało Gestapo, schwytani kończyli zwykle na przywieszonej do Wiednia gilotynie. W kręgach konserwatywnych Dollfuß pozostawał patronem kraju, czczonym jako pierwsza ofiara Hitlera. Taką formułę wobec Austrii jesienią 1943 roku alianci zastosowali również w tzw. Deklaracji Moskiewskiej, dokumencie, w którym ogłoszono, że An-schluss był nielegalny, a Austria powinna odzyskać niepodległość.

ROZLICZENIE Z FASYZMEM

Po wojnie Austria po raz drugi stała się republiką, a władzę podzieliły się socjaldemokracja i chadecja, która by odciąć się od austrofaszystyzmu, porzuciła nazwę Austriackiej Partii Chrześcijańsko-Społecznej. Stała się Austriacką Partią Ludową, a do czołowych działaczy z czasu austrofaszystwu trzymała dystans. Schuschniggowi nie pozwolono wrócić do polityki.

Ale na tym rozliczenia z przeszłością się skończyły.

Dotyczyło to zarówno represji z czasów rządu Frontu Ojczyźnianego, ale także udziału Austriaków w zbrodniach III Rzeszy (40 proc. członków załóg obozów koncentracyjnych pochodziło z Austrii).

W oficjalnej ideologii kraj był ofiarą Hitlera, a jego elity dopiero poddane nazistowskim represjom zrozumiały, że brutalna walka polityczna z lat 30. była błędem. Dollfuša określano mianem żarliwego patrioty, który poszedł złą drogą, ale winy odkupił poprzez męczeńską śmierć. W 1950 roku na gmachu urzędu kanclerskiego zawieszono usuniętą przez Niemców upamiętniającą go tablicę. Działacze Partii Ludowej pielegnowali pamięć o kanclerzu, otoczyli opieką jego grób, tłumnie uczestniczyli w corocznych mszach w jego intencji. Słuchając przemówień podczas uroczystości 20. rocznicy śmierci kanclerza, można było odnieść wrażenie, że kraj cofnął się w czasie. Płomienna retoryka o męczeńskiej śmierci była identyczna, jak ta używana za czasów kuckenkreuz.

Kult nie gasł, nawet gdy Austrią w latach 1970-83 rządził socjaldemokratyczny kanclerz Bruno Kreisky, za rządów Dollfuša skazany za zdradę stanu i uwięziony. Kreisky nie zapomniiał reżimowi cierpienia i upokorzeń, ale kultu Dollfuša nie zwalcział. – Martwy nie jest już naszym wrogiem – twierdził.

W tym czasie parlamencie, w sali posiedzeń klubu Austriackiej Partii Ludowej wisiał wielki portret Dollfuša. Jaj politycy na pytania dlaczego w parlamencie oddają cześć politykowi, który parlamentaryzm w Austrii zlikwidował, odpowiadali, że Dollfuß wie. ●

WSZYSTK

Totalitaryzmy skazały Romów na dwa graniczne doświadczenia: nazizm na zagładę, komunizm na osiedlenie

Z **AGNIESZKĄ CABAN**,
KULTUROZNAWCZYNIĄ,
DZIAŁACZKĄ NA RZECZ
SPOŁECZNOŚCI ROMSKIEJ,
ROZMAWIA **ANNA ZALESKA**

ANNA ZALESKA: Czym jest romskość?

AGNIESZKA CABAN: Tyle jest definicji romskości, ile jest społeczności i grup romskich na świecie. W Polsce mamy cztery najbardziej liczne grupy: Bergitka Roma, Polska Roma, Lowarzy, Kelderasze. Dla każdej z tych grup ta definicja jest trochę inna, choć podobna.

To kwestia urodzenia i wychowania w danej kulturze, ale dla jednych jesteś Romką/Romem, jeśli twoi rodzice byli Romami, dla innych musisz mówić językiem romani, a dla niektórych liczy się to, czy przestrzegasz romanipen – zasad kultury i społeczności, czy dobrze znasz kulturę, czy uczestniczysz w wydarzeniach ważnych dla grupy.

Nie ma jednej definicji romskości, ale stereotyp jest jeden.

– Upředzenia wobec Romów są bardzo rozpowszechnione. Są przekazywane w społeczeństwie większościowym od pokoleń, przez rodziców, dziadków, w procesie edukacji. Słowa Cygan, Cyganka są nacechowane negatywnie. Badania opinii publicznej pokazują, że Romowie są tą grupą, której się najbardziej nie lubi. Dopiero inwazja Rosji na Ukrainę spowodowała dostrzeżalną zmianę nastrojów i wzrost niechęci wobec Rosjan powyżej tej deklarowanej wobec Romów. Ale romofobia jest widoczna nie tylko w Polsce.

Zastanawiałam się, czy głos Romów jest dziś bardziej słyszalny? Obchodzimy właśnie 80. rocznicę Zagłady Sinti i Romów. To jedno z granicznych doświadczeń dla całej społeczności. Nie jest o nim za cicho?

– Symbolicznym momentem zagłady jest zamordowanie w ciągu jednej nocy – z 2 na 3 sierpnia 1944 roku – w romskim obozie w Auschwitz-Birkenau ok. 4300 osób. To moment likwidacji Zigeunerlager – cygańskiego obozu. 2 sierpnia jest obchodzony jako Międzynarodowy Dzień Pamięci o Zagładzie Romów i Sinti. Do Zigeunerlager w Auschwitz-Birkenau deportowano Romów z całej Europy. Był to obóz rodzinny, osadzano w nim rodziny, jako taki był wyjątkiem, ale w praktyce po prostu łatwiej było w ten sposób zgrupować Romów, którzy nie chcieli się rozdzielać, by potem ich wymordować. Do Zigeunerlager deportowano ok. 23 tys. osób, około 21 tys. zgładzono.

Likwidację Zigeunerlager w sierpniu 1944 roku poprzedziło powstanie Romów w maju 1944 roku, gdy naziści podjęli pierwszą próbę likwidacji obozu. Romom udało się „uzbroić” – oczywiście w żadne profesjonalne narzędzia, tylko w to, co było pod ręką – na tyle, żeby opóźnić o kilka miesięcy koniec. Przed sierpniem z Zigeunerlager przeniesiono młodych mężczyzn, żeby ograniczyć ryzyko kolejnego buntu. 16 maja obchodzony jest więc jako Dzień Pamięci o Oporze Romów – Romani Resistance Day.

Coraz więcej mówimy o pokoleniowych skutkach traumy. Czy społeczność romska miała szansę ją jakoś „przepracować”? – Spotkałam się z tezą niektórych historyków i badaczek, że częste milczenie Romów na temat zagłady to skutek tego, że „Romowie nie kultywują swojej historii”...

... nie kultywują, czy raczej nie mają przestrzeni, by ją opowiedzieć?

– No właśnie... Prześladowanie jest wpisane w życie romskie. Trauma jest ciągłym doświadczeniem, a to nie pozwala skupiać się mocno na przeszłości, trzeba się skupić, jak przeżyć tu i teraz. Niemniej oba systemy totalitarne w minionym wieku „zafundowały” społeczności romskiej dwa graniczne doświadczenia: nazizm – zagładę, a komunizm – osiedlenie.

W tym roku mija 60 lat od tej ostatecznej decyzji władz o przymusowym osiedleniu Romów. Skutki tego wydarzenia są bezpośrednio widoczne dziś. – Jednym z największych problemów tej akcji było to, że nie przygotowano do niej ani Romów, ani społeczności, w których mieli się osiedlać. A druga sprawa – osiedlenie zamknęło Romom ich dotychczasowe źródła zarobkowania, więc konsekwencje były znaczenie głębsze.

Opowiedz więcej o życiu Romów przed akcją osiedleńczą.

– Jedna z głównych grup żyjących w Polsce – Bergitka Roma, inaczej Romowie górcy – prowadzi osiadłe życie już od kilkuset lat. Taborzy natomiast wędrowały od wiosny do jesieni, często po tych samych szlakach, wyznaczanych np. przez jarmarki, gdzie Romowie oferowali swoje usługi i handlowali. Zimą mieszkali w wynajmowanych siedzibach, często na wsiach czy małych miasteczkach, bo mieli zwierzęta, które zimą także musieli pomieścić. Zimowiska najczęściej również były stałe.

IE TRAUMY ROMÓW



• Dawny obóz zagłady Auschwitz-Birkenau, sierpień 2019 roku. Obchody Międzynarodowego Dnia Pamięci o Zagładzie Romów

FOT. JAKUB PORZYCKI /
AGENCJA WYBORCZA.PL

To „wolne życie” było więc dość uporządkowane. Jak wyglądał tabor?

– Wędrowały w nim spokrewnione ze sobą rodziny. Kojarzymy tabor z kolorowymi wozami, ale taki wóz był bardzo drogi. Taki, na który mogli sobie pozwolić zażoźni Romowie, charakterystyczny dla terenów Polski to wóz typu ostrowskiego: drewniany, przypominający wagon, kryty najczęściej blachą, która się nagrzewała i oddawała nocą ciepło, na gumowych oponach, zdobiony. Mniej zażoźni poruszali się wiejskimi furmankami, nad nimi na palikach można było rozpiąć brezent. Niektórzy zaś poruszali się pieszo i spalili pod namiotami.

Taborzy przemieszczały się po trasach, gdzie Romowie mieli odbiorców swoich usług. Poza handlem, w tym handlem końmi, ich specjalnością było kotlarstwo – wyrabiali i naprawiali naczynia oraz inne elementy metalowe. W technikach kotlarskich, np. cynowaniu, byli mistrzami. W latach 50. XX wieku, gdy zaczęło się przygotowanie do osiedlania, jeszcze wtedy dobrowolne, powstawały spółdzielnie kotlarskie.

Przychodzi moment osiedlenia. Co się wtedy dzieje? Jak to wygląda?

– To bardziej proces niż moment. W 1952 roku prezydium rządu podejmuje uchwałę 452/52, której celem miało być zachęcenie społeczności do osiedlania się. Miało być wsparcie w znalezieniu mieszkania i pracy. Niemniej nawet informacja o tej uchwale nie dotarła szeroko – informowano o niej w gazetach, a to były czasy powojenne i wiele osób nie umiało czytać, albo w radiu, a w wozach nie było przecież odbiorników.

Ci, którzy się dowiedzieli, często po prostu bali się tak dużej zmiany. Wędrowanie było przecież powiązane nie tylko z tradycją, ale i ze sposobem utrzymywania się. Dobrowolnie więc osiedliło się mało osób, głównie z tych grup, które już wcześniej prowadziły życie bardziej osiadłe i np. dzięki temu zmienili miejsce zamieszkania na większe miasto, gdzie było więcej pracy.

Władze oceniły więc realizację tej uchwały źle.

I nadszedł rok 1964.

– Rząd uruchomił maszynę karno-administracyjną. 23 marca 1964 roku, zanim jeszcze ruszyły wiosenne taborzy, milicja wkroczyła na zimowiska – miejsca, gdzie Romowie mieszkali. Legitymowała ludzi,

z których spora część nie miała przecież dokumentów, nie tylko dowodów osobistych, ale i aktów urodzenia czy ślubu, i ostrzegła, że wyjazd będzie miał konsekwencje.

Posypały się mandaty – za brak dokumentów, za brak meldunków, za nieoznakowane wozy, za rozpalać ognisk, za włóczęgostwo. Ludzie decydowali się osiedlać, bo już nie mieli pieniędzy na to, by płać kolegium za kolegium.

Miejsce zamieszkania, które oferowano Romom, były tymczasowe, niedostosowane do ich potrzeb. Wymusiły sprzedaż zwierząt, np. koni.

Migracje trwały jeszcze przez jakiś czas, rodziny przenosiły się bliżej krewnych. Wiele osób mieszkalo nie tam, gdzie w mniemaniu urzędników powinny. Ani milicja, ani administracja w ogóle nie rozumieli, że społeczności romskie żyją w szerokich relacjach rodzinnych. Koncepcja różnic kulturowych w ogóle wtedy nie istniała – za to wzmocniły się stereotypy o „obcych” Romach, Romach, którzy nie chcą pracować, nie chcą się uczyć itd. A przecież do obowiązku szkolnego też nie przygotowano ani rodziców, ani dzieci romskich, ani szkół. Dzieci szły do szkoły i w najlepszym razie były wytykane palcami.

Wszystko to nazywano akcją produktywizacyjną, która tak naprawdę tylko narażila ludzi na szok kulturowy i konieczność życia w najczęściej nieprzychylnym sąsiedztwie. To się odbiło na zdrowiu, pojawiła się depresja, zdarzały się samobójstwa.

I w konsekwencji po 60 latach nadal mówimy o niewystarczającej integracji.

Co rozumiesz przez integrację?

– Współistnienie, współpracę, we wzajemnym szacunku. To nie grupa mniejszościowa musi „zasłużyć” na miejsce w społeczeństwie, to grupa większościowa musi zrobić jej miejsce. Jeśli społeczeństwo większościowe chce integrować społeczność romską, to przede wszystkim musi ją dobrze poznać. Te źródła są, tylko trzeba po nie sięgnąć. To takie zadanie domowe. Dostrzec też różnice, mieć wobec nich zrozumienie i empatię, a nie wymuszać dostosowanie do jednego, większościowego wzorca.

Jeśli np. weźmiemy pod uwagę wszystkie uwarunkowania historyczne, językowe, społeczne, które dotyczą społeczności romskiej, to bezsensowne jest oczekiwanie, że wszystkie dzieci romskie nie będą sprawiać trudności w szkole. Więc jeśli dziecko

sprawia kłopot w szkole, to znaczy, że można skorzystać z każdego pretekstu, żeby je jak najszybciej z tej szkoły wypchnąć? Nie. Czy to potwierdzenie, że niechęć do szkoły to „element kultury romskiej”? Nie. Może to dziecko zraziło się do tej konkretnej szkoły? Może rodziców nie stać na pomoce szkolne? A może wydarzyło się jeszcze coś innego?

Teraz łącznikiem między społeczeństwem większościowym a społecznością romską są w głównej mierze organizacje pozarządowe. To oczywiście bardzo dobrze, tylko że to jeden element. Trzeci sektor może dużo, ale systemowe zmiany – w edukacji, administracji, w wymiarze sprawiedliwości zależą od decyzji państwa.

Według ostatniego spisu powszechnego z 2021 roku pochodzenie romskie zadeklarowało około 13 tys. osób, a 10 lat temu było ich ok. 17 tys. Co się stało z czterema tysiącami polskich Romów i Romek?

– Widzę trzy możliwe przyczyny. Po 2000 roku sporo osób wyjechało do Wielkiej Brytanii i Europy Zachodniej. Nie wszyscy mogli się spisać – spis przez internet był dość skomplikowany i czasochłonny, poza tym musimy brać pod uwagę, że niektóre osoby są wykluczone cyfrowo. I wreszcie – nie wszyscy chcieli podać przynależność do społeczności romskiej, właśnie ze względu na wysokie ryzyko dyskryminacji i negatywnych konsekwencji.

Dyskryminację widać wszędzie – w rozmowach kwalifikacyjnych, w urzędach itd. Mam koleżankę, która z powodu romofobii jest gotowa emigrować z Polski.

Agnieszka M. Caban

• Kulturoznawczyni, doktorantka Uniwersytetu Warszawskiego w Szkole Doktorskiej Nauk o Kulturze i Religii, wykładowczyni i trenerka z zakresu komunikacji międzykulturowej, antydyskryminacji, self-advocacy. Wiceprezesa Radomskiego Stowarzyszenia Romów „Romano Waść” (2009–2020). Prezeska Fundacji Dom na Pograniczu oraz wiceprezesa Stowarzyszenia Alumnów. Autorka licznych publikacji, m.in. „Romowie – przewodnik. Historia i kultura” (2009), „Romowie i Sinti w obozie pracy i zagłady w Bełżcu” (2014, 2020), „Z życia Romów. Tradycja a współczesna cywilizacja – rozmowy” (2014).

Jak na tę demograficzną sytuację wpłynie obecność Romów uciekających z Ukrainy przed wojną? Czy odnaleźli się w Polsce? W tekstach dotyczących zamknięcia ośrodka na Podkarpaciu powtarzało się określenie, że to grupa „najsłabsza z najsłabszych”. Czy zostaną w Polsce i na jakich warunkach?

– Z pewnością Romowie z Ukrainy jeszcze zostaną w Polsce, niektórzy może przez wiele lat. Wszystko zależy od tego, jak potoczyć się wojna. Jak liczna jest ta grupa, nie wiemy, bo tych danych się nie zbiera. Możemy się spodziewać, że pojawią się nowe grupy, które przyjadą z rejonów, gdzie nasila się ataki.

Z doświadczenia wiem, że Romowie często wybierają Polskę z prostej przyczyny: liczą, że jeśli konflikt się skończy, będą mogli szybciej powrócić do Ukrainy. Koszty powrotu do domu nie będą tak wysokie, niż gdyby musieli wracać z jakiegoś zachodniego kraju europejskiego. Ze względu na podobną mentalność i kulturę lepiej się też tu czują.

Bardzo aktywne są organizacje romskie w Polsce i międzynarodowe, które skupiają się na pomocy Romom. Sama taką prowadzę. Myślę, że to też ułatwia decyzję, by zostać u nas, jednak problemy są duże. Choćby właśnie likwidacja ośrodka dla uchodźców na Podkarpaciu. Wiele osób nagle znalazło się bez dachu nad głową, niektórzy wrócili do Ukrainy. Takich sytuacji nie powinno być, musimy jako społeczeństwo obywatelskie działać szybciej i skuteczniej.

Jakie zmiany w społeczności romskiej obserwujesz?

– Bardzo dynamiczne. Aż żałuję, że nikt tego naukowo nie bada. Po pierwsze, to kwestia nowych mediów, internetu, następuje zmiana podejścia do obrzędów czy zwyczajów, opóźnia się moment zakładania rodziny. Po drugie, długofalową konsekwencją przemian po 1989 roku i przystąpienia Polski do Unii Europejskiej w 2004 roku, a więc otwarcia granic, jest zdynamizowanie migracji. Romowie więcej się przemieszczają, stają się wielokulturowi. Dzieci mówią w romani, po angielsku czy po niemiecku i po polsku.

Myślę, że w ciągu kilku dekad Polska stanie się mniej homogenicznym krajem. Będzie nam potrzebnych więcej specjalistów i specjalistek w kwestiach edukacji wielokulturowej i międzykulturowej, mam nadzieję, że w końcu edukacja antydyskryminacyjna trwale zagości w polskich szkołach. Może zwiększy się świadomość, że istnieją różne style życia, myślenia, a w związku z tym powiększy się również reprezentacja osób romskich w życiu publicznym.

Zaczyna już być widoczna w kulturze. Serial „Infamia” to historia nastoletniej raperki Romki, która z rodziną wraca z Wielkiej Brytanii do Polski. A Małgorzata Mirga-Tas reprezentowała Polskę na Biennale w Wenecji w 2022 roku. Pawilon, który zaprojektowała, nawiązywał do kultury i tradycji romskich.

– Romowie są obecni na ziemiach polskich od setek lat, w kulturze byli postrzegani poprzez muzykę, taniec i wróżby. Teraz się pojawiają w różnych innych kontekstach, i bardzo dobrze. To pokazuje, że jednak mamy większą wrażliwość na różnorodność kulturową. Wartościowe jest unikanie wpisywania Romów w znane schematy – z tego względu bardzo ciekawy wydaje mi się zabieg w serialu „Rojst”, w którym policjantka ma ojca Roma. To nie jest tak, że jeśli urodzisz się Romem, nie możesz być lekarzem czy policjantem. Możesz być. Powtórzę: jest tyle romskości, ile jest osób ze społeczności romskiej. Czy przyszedłoby nam do głowy uznać za nieprawdopodobny serial o Polaku protestancie? ●

Rozmawiała Anna Zaleska

PŁONĄCA BIBLIOTEKA

Podczas powstania warszawskiego w gmachu Biblioteki Ordynacji Kasińskich z dymem poszła znaczna część polskiego dziedzictwa narodowego.

Sebastian Pawlina

1 sierpnia 1944 roku od rana po ulicach Warszawy panował wielki ruch. Najpierw krążyły po nich setki łączniczek, roznoszących rozkazy, a z czasem dołączyło do nich tysiące konspiratorów, pędzących na miejsca zbiorek. Działo się dużo i szybko.

ZASADA KUMULACJI

Ale na niewielkiej ulicy Okólnik, na granicy Śródmieścia i Powiśla, w budynku Biblioteki Ordynacji Kasińskich panował spokój. Taki, jaki powinien panować w bibliotece. Rano trwało tylko przenoszenie zbiorów z wyższych pięter do holu głównego, ale około godziny 14 – jak napisze po latach Alodia Kawecka-Gryczowa – „gmach zaczął zamierać. Wszyscy moi koledzy gdzieś zniknęli, zrobiło się dziwnie cicho i pusto. Cierpliwie nadal ustawiałam książki milanowskie w hallu. Bardzo zmęczona doczekałam godz. 15 i wtedy opuściłam Bibliotekę Kasińskich”. Nie wiedziała, że tego, co rozkładała na półkach, już nigdy nie zobaczy.

Książki milanowskie, czyli Biblioteka Czwarteyńskich, trafiły do Warszawy z Milanowa jeszcze przed wojną. Rozsądek podpowiadał, że duże miasto z solidnymi budynkami będzie w czasie wojny najbezpieczniejszym miejscem dla zabytków. Oblężenie stolicy w 1939 roku, kiedy wiele budynków uległo zniszczeniu lub uszkodzeniu, nie skłoniło muzealników, bibliotekarzy czy archiwistów do zmiany podejścia.

Kolejne lata potwierdzały słusność takiego myślenia. Okupacja i niemiecka polityka rabunkowa wręcz wymuszały przywiązanie do zasady kumulacji najważniejszych eksponatów na niewielkim obszarze. Dawalo to szansę kontroli nad nimi.

ESESMAN POMAGA ZBIOROM

W zabezpieczaniu zbiorów wsparł Polaków nieoczekiwanie Niemiec – 53-letni w momencie wybuchu wojny Gustav Abb, bibliotekarz z zawodu i pasji. Dzięki doświadczeniu w zarządzaniu dużymi instytucjami szefował m.in. bibliotece uniwersyteckiej w Berlinie, ale przede wszystkim dzięki temu, że od 1933 roku należał do NSDAP, a w SS dosłużył się stopnia Sturmbannführera, w 1940 został mianowany dyrektorem Zarządu Głównego Bibliotek w Generalnym Gubernatorstwie. Od tego momentu podlegały mu wszystkie biblioteki na ziemiach polskich.

Ku zaskoczeniu wielu starał się dbać o zbiory polskich księżnic. Urzędowanie rozpoczął od ściągnięcia do Warszawy tego, co jego rodacy zdążyli wywieźć od

początku wojny. Znając efekty alianckich bombardowań Berlina, obawiał się, że i w jego królestwie może do nich dojść.

Polecił współpracownikom zabezpieczenie warszawskich księgozbiorów. Zaczęło się przenoszenie książek i rękopisów między piętrami bibliotek, tak żeby najcenniejsze były jak najlepiej chronione na wypadek trafienia budynku.

Szczególną wiarę pokładano w gmachu Biblioteki Ordynacji Kasińskich. Jerzy Zathey, bibliotekarz, przyznał po latach: „w naiwnej wierze w moc konstrukcji żelaznej magazynu (...) uważano na ogół rękopisy na niższych poziomach za względnie bezpieczne, a zabezpieczenie w piwnicach pod magazynem za prawie wystarczające. Toteż wykonując ponownie przedwojenne instrukcje o wyborze cenniejszych rękopisów, wydzielaliśmy rękopisy na podstawie rozszerzonych przedwojennych wykazów i umieszczaliśmy je w skrzyniach w piwnicy, w centrum, tj. koło windy”.

MOŻE LEPIEJ WYWIEŹĆ?

Z czasem, gdy front zbliżał się do miasta, wiara w słusność trzymania kolekcji w jednym miejscu słabła. Zaczęto szukać okazji do rozproszenia ich po Warszawie, ale również poza nią. Sam Abb kilka tygodni przed powstaniem chciał wywozić zbiory aż do Garbicza, niewielkiej wsi leżącej w połowie drogi między Świebodzinem a Frankfurtem nad Odrą.

Żaden z tych planów się nie udał. Tymczasem magazyny na Okólniku coraz bardziej puchły od nowych książek i rękopisów. Stał za tym komisaryczny dyrektor Staatsbibliothek Warschau, Wilhelm Witte, który ściągnął tam najcenniejsze okazy z polskich zbiorów. Wściekły Abb wytykał mu, że naraził je na zniszczenie jedną bombą. Ale nie tylko Witte wierzył w potęgę Biblioteki Ordynacji Kasińskich. Zathey przyznał po latach, że w powszechnej opinii budynek uchodził za bezpieczny.

Gdy 1 sierpnia Kawecka-Gryczowa opuszczała Okólnik, na miejscu pozostała niewielka załoga. Gdy zbliżał się front pracownicy, postanowili pełnić w gmachu dyżury. Uważali, że dzięki temu szybciej zareagują na zagrożenia. Kolejne dni nie przynosiły jednak niebezpieczeństwa. Powstańcze Powiśle, choć trwały na jego obrzeżach walki, było w sierpniu spokojnym. Zmieniło się to po upadku Starego Miasta.

TRZY BOMBY

Niemcy uderzyli na Powiśle 3 września. Słabe uzbrojenie powstańców oraz trudny do obrony teren sprawiły, że postępy oddziałów pacyfikujących insurekcję były błyskawiczne. Duży wpływ miał na to zmasowany ostrzał dzielnicy. I to on stał się bezpośrednią przyczyną tragedii na Okólniku.

We wtorek 5 września, krótko po godzinie 10, w budynek biblioteki trafiły trzy bomby – zaczęła się spełniać przepowiednia Abba.



• Fasada gmachu Biblioteki Ordynacji Kasińskich przy ul. Okólnik w Warszawie, rok 1930. FOT. ZDZISŁAW MARCINKOWSKI, ZE ZBIORÓW BIBLIOTEKI NARODOWEJ

Jerzy Zathey zanotował, że „jedna (mniejsza) skruszyła dwa najwyższe piętra, druga (wielka) w ślad za nią przebiła się aż do parteru, krusząc prawe skrzydło w pobliżu windy, trzecia (wielka) spadła windą i utkwiała w ścianie I piętra jako niewypał”.

Jedna osoba zginęła na miejscu. Reszta, ranna i poobijana, rzuciła się do ratowania kolekcji.

Sytuacja, w której się znaleźli, była dramatyczna. Dookoła słychać było nieprzerwane serie broni maszynowej. Trwała zacięta walka o Powiśle. Ludność cywilna w panice uciekała do Śródmieścia, przechodząc przez Nowy Świat pod osłoną niewielkiej barykady. Już niebawem w ich ślady mieli pójść także żołnierze, którzy teraz jeszcze ostatkiem sił zatrzymywali nacierającego wroga. Załoga na Okólniku nie zamierzała jednak uciekać. Bardziej niż o siebie martwili się o starodruki.

BEZNADZIEJNA WALKA

Akcję ratowniczą spowalniały gruzy oraz pożar. Płomienie szybko opanowały dwa najwyższe piętra, które od razu spisano na straty. Nie znajdowało się na nich nic ważnego. Ale na kolejnych stały regały pełne XVIII-wiecznych druków oraz część Biblioteki Milanowskiej Czwarteyńskich, którą Kawecka-Gryczowa układała w holu 1 sierpnia.

Z ogniem zderzyli się na trzecim piętrze. Tam część ekipy ratunkowej próbowała go zatrzymać, podczas gdy reszta wyrzucała z niższych poziomów na podwórko, co tylko się dało z nadzieją, że tam książki i rękopisy ocaleją. Nie mogli liczyć na żadną pomoc. Los najcenniejszych zabytków polskich bibliotek zależał od poświęcenia kilkunastu osób.

Relację z tamtych godzin znajdujemy we wspomnieniach Zathey'a: „Pożar tkwił w rumowisku, przenosząc się wciąż niżej i chwilami przybierał na sile. Gaszono wodą, którą w ostatnich godzinach trzeba było

przynosić z ul. Szczyciej, a nawet Pierackiego (Foksal). W końcowych stadiach wystarczyło co pewien czas polewać rumowisko. W gaszeniu przeszkadzały, zwłaszcza z początku, krążące samoloty i brak silniejszej pomocy z zewnątrz. Straż pożarna w obawie przed nalotem w ogóle usunęła się z sąsiedniego domu, gdzie przebywała. Sekretarz komitetu ochrony zabytków, p. Prusinowski, wręcz odmówił osobistego udziału w akcji, która trwała z drobnymi przerwami około 12 godzin”.

Ranny w czasie akcji Zathey wieczorem opuścił Okólnik.

Następnego dnia całe Powiśle znalazło się w rękach Niemców. Od tego czasu nie można było sprawdzić, co się dzieje z gmachem biblioteki i ocalonymi z pożaru zbiorami. Pewnego dnia zjawiał się tam niemiecki oddział z miotaczami ognia.

NOGI W POPIELE

Dopiero w połowie października, już po upadku powstania, dwóch bibliotekarzy, Ksawery Świerkowski oraz Leon Bykowski, znaleźli się na Okólniku w towarzystwie gestapowców. To, co tam zobaczyli, opowiedzieli innym.

Mówili o przesuwaniu nóg w sypkim popiele. Tadeusz Mikulski we wstrząsającym literackim opisie zanotował, że „gdy brali w ręce ów popiół, w dzień strasznego polskiego Popielca, nikt z nich nie wiedział, czy przebiera karty modlitewnika Henryka Wależjusza, bogato zdobne minia i lazurem, czy może wielką, kreśloną drobnym pismem pedantycznym *Bibliotheca Polona magna universalis* Józefa Załuskiego”.

Na Okólniku bezpowrotnie zginęła część polskiej kultury. W jej miejsce pozostały, jak pisał Mikulski, „sześciennne kwadraty popiołu, o których być może mówiła niegdyś Roza Weneda na pobożowisku lechickim, sypkie kopczyki polskiej twórczości wszystkich czasów i wszystkich wymiarów”. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34329442

GODZINA „W”

**80. rocznica wybuchu
Powstania Warszawskiego**



FOT. UM WARSZAWA

ORGANIZATORZY

wyborcza.pl wysokieobcasy.pl ODESZLI.pl

REKLAMA

PARTNERZY



SPONSOR GŁÓWNY



SPONSORZY

MEDCOM budimex



Historia, która inspiruje pokolenia

PZU Mecenasem obchodów
80. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego

#Partnerzy w Historii





W środę, w Nowym Jorku Basketball Association of America i National Basketball League połączyły się w jedną, 18-zespołową ligę, zwaną National Basketball Association. To kończy konflikt trwający ostatnie trzy lata. W skład nowej ligi wejdzie 10 drużyn z BAA, w tym obecni mistrzowie, Minneapolis Lakers oraz 8 ekip z NBL [...] Maurice Podoloff, prezydent BAA, będzie zarządzał nową ligą, z kolei Ike Duffey, uprzednio prezes MBL, zostanie prezesem NBA. Start ligi planowany jest na 1 listopada – tak pisał Glen Gaff w „Star Tribune”, ukazujący się w Minneapolis, z 4 sierpnia 1949 roku.

Tym samym do życia oficjalnie powołana została najlepsza i najsłynniejsza liga koszykówki – NBA. Choć za oficjalną datę jej założenia uznaje się 6 czerwca 1946 r. – wówczas powstała BAA, pierwsza zawodowa liga koszykarska w Ameryce (a National Basketball Association uznawała wszystkie rekordy BAA) – to nazwa NBA pojawiła się przeszło trzy lata później.

Ostatecznie do pierwszego sezonu NBA przystąpiło 17 ekip. Mistrzem zostali Minneapolis Lakers, którzy w finale play-offs pokonali Syracuse Nationals 4-2. Gigantyczna w tym zasługa środkowego George’a Mikana, zwanego „Pan Koszykówka”, który był najskuteczniejszym strzelcem sezonu – zdobył 1865 punktów. Mikan pięciokrotnie zdobywał mistrzostwo ligi, cztery razy był jej najskuteczniejszym strzelcem.

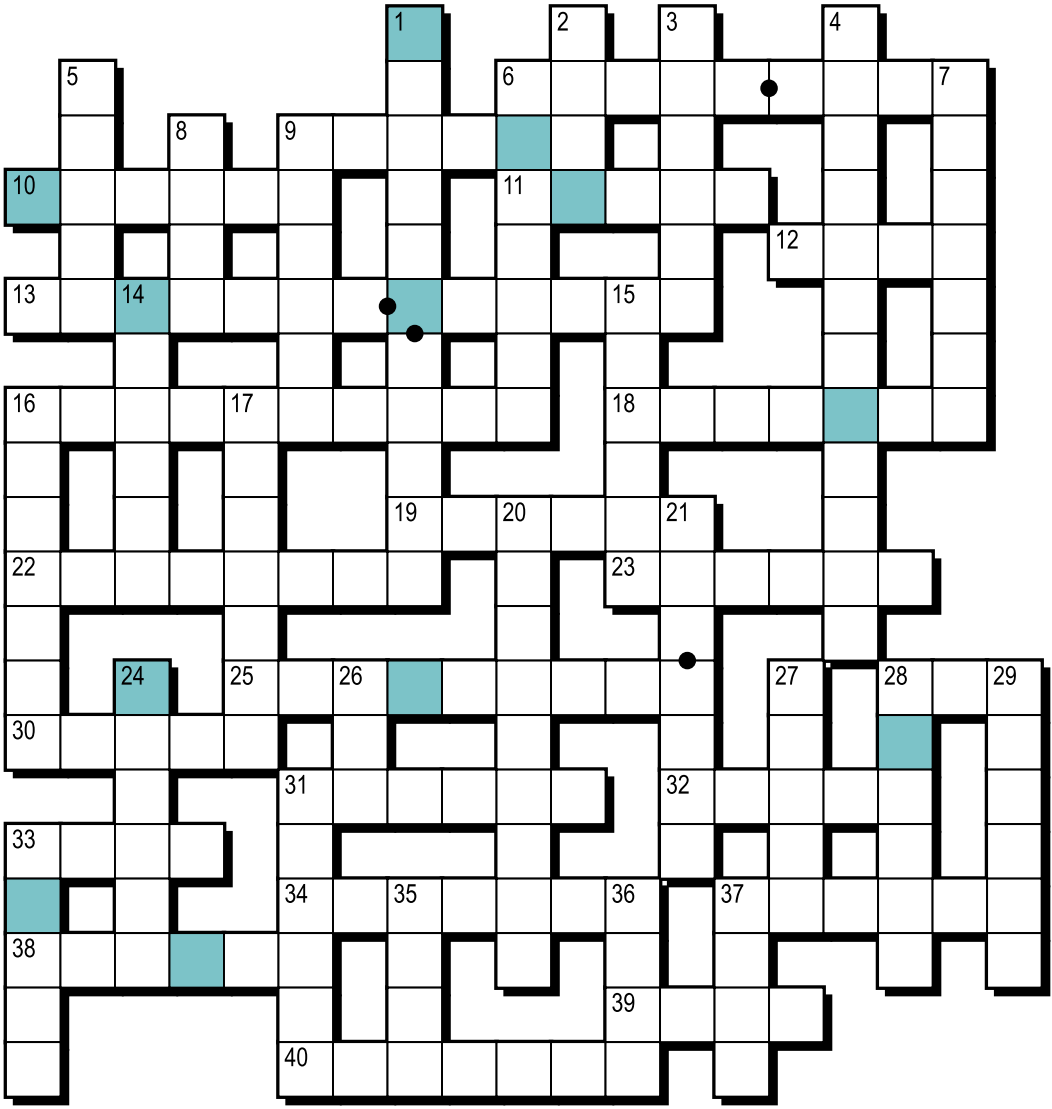
Wkrótce po fuzji dwóch lig zamierzenie, by NBA (wzorem BAA) koncentrowała się na dużych miastach, a mecze rozgrywane były w największych arenach, zaczęło być wprowadzane w czyn. W 1950 roku NBA liczyła już tylko 11 ekip, w 1953 zaledwie dziewięć (najmniej w historii).

Dziś w NBA gra 30 ekip, zapaleni kibice koszykówki z pewnością wymienią bezbłędnie wszystkie, ale ciekawe, jak byłoby z tą „oryginalną 17”? Boston Celtics, New York Knicks i Denver Nuggets do dziś grają pod swoimi sztyldami. Minneapolis Lakers przenieśli się oczywiście do LA, Philadelphia Warriors dziś znani są jako Golden State Warriors, z kolei Syracuse Nationals to obecne „76-tki” z Philadelphii. Fort Wayne Pistons to rzecz jasna dzisiejsi Detroit Pistons, Rochester Royals – Sacramento Kings, zaś Tr-City Blackhawks – Atlanta Hawks.

Nie istnieją już Baltimore Bullets, Washington Capitols, Chicago Stags, St. Louis Bombers, Anderson Packers, Indianapolis Olympians, Sheboygan Red Skins i Waterloo Hawks.

Na pewno jasnym już jest, że dzisiejszą „Weekendówkę” poświęcamy koszykówce. Aż tak gruntowna znajomość historii NBA nie będzie potrzebna, przyda się za to wiedza ogólna oraz ta o rodzimym baskecie. Życzymy stuprocentowej skuteczności!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 113 z 27.07:

Poziomo: 5) Krecik, 8) Pocahontas, 9) Franklin, 10) Tom i Jerry, 11) Mulan, 12) Artur, 14) dzieci, 15) film, 16) Homer, 20) Luke, 21) listonosz, 23) kręgle, 24) Mars, 25) Krowa, 27) kot, 28) cyrk, 31) Toy Story, 32) pingwiny, 34) melodie, 35) smoczyca, 37) Noddy, 38) Jetson, 40) dobranocki, 41) ryby.

Pionowo: 1) kojot, 2) Zasadniogórogród, 3) Bolek, i Lolek, 4) mały miś, 5) kraina, 6) Colargol, 7) Kangurek, 9) Filemon, 13) Afryka, 17) mutanty, 18) Reksio, 19) psikus, 22) Scooby Doo, 26) Auta, 28) troll, 29) Clifford, 30) pies, 33) Disney, 34) Maja, 36) Yogi, 39) sny

HASŁO:
FINEASZ I FERB

KOSZYKÓWKI

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 6) wieloletni gracz zespołu Boston Celtics, gwiazda lat 80.
- 9) Jeremy, ma polskie obywatelstwo i gra w San Antonio Spurs
- 10) Marcin, grał w NBA przez 13 lat
- 11) koszykarze z Sacramento
- 12) drużyna z Miami
- 13) ikona ligi NBA na planie filmu „Kosmiczny mecz”
- 16) szybkie akcje po odebraniu piłki rywalom
- 18) miasto, w którym kibicują drużynie Pistons
- 19) Scottie, partner 13 poziomo w drużynie Chicago Bulls
- 22) zawody sportowe

23) New ... Nets

- 25) przenosiny zawodników między klubami
- 28) gdy piłka opuszcza boisko
- 30) drużyny, zespoły
- 31) Kobe, zginął w wyniku katastrofy helikoptera
- 32) osobiste lub „trójki”
- 33) gimnastyczna – w szkole, z boiskiem do kosza
- 34) ... koszykarska, zaprasza dzieci na treningi
- 37) koszykarze z Zielonej Góry
- 38) sportowca z określenia 13 poziomo – przed halą United Center w Chicago
- 39) ... strzelców, zdobył najwięcej punktów w sezonie ligowym
- 40) „zaplecze” kosza

Pionowo:

- 1) Polak, występował w NBA w latach 2003–2006
- 2) dopingują ukochane drużyny
- 3) stan USA, w którym trzymają kiuki za Portland Trail Blazers
- 4) Minnesota ..., z siedzibą w Minneapolis
- 5) błąd, który sędzia zasygnalizuje, obracając pięściami
- 6) lokalni rywale Clippersów
- 7) często poprzedza oddanie rzutu do kosza
- 8) ... Jazz
- 9) potocznie: sposób obrony, w którym każdy z graczy kontroluje pewien fragment boiska
- 14) gracz nazywany także środkowym
- 15) imię Urlepa, słoweńskiego trenera (prowadził m.in. drużyny Śląska Wrocław, Anwilu Włocławek)

- 16) zatrzymanie rywala przez fizyczny ..., dozwolone podczas wykonywania zastrony
- 17) Phoenix – Stońca, Houston – ?
- 20) faza turnieju, w której biorą udział już tylko 4 drużyny
- 21) ... Knicks
- 24) ... Globetrotters, objazdowe koszykarskie show
- 26) przydomek gracza z określenia 13 poziomo
- 27) Andrzej, wielokrotny reprezentant Polski
- 28) podanie, po którym zdobyto punkty
- 29) ligowe zestawienie
- 31) Orlen ... Liga
- 33) miasto kojarzące się z Treflem
- 35) Energia Toruń lub KGHM BC Polkowice
- 36) drużyna z Gdyni
- 37) ruch mylący przeciwnika

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Rozwiązuj gdzie chcesz i kiedy chcesz

Pobierz w App Store

POBIERZ Z Google Play

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację

Kraj/34310976